

Milena Wójtowicz

# PODANEK



Fabryka Słów

SERIA 05

Milena Wójtowicz

# PODATEK

Fabryka Słów

Lublin 2005

Copyright © by Milena Wojtowicz, Lublin 2005 Copyright © by  
Fabryka Słów Sp. z o.o., Lublin 2005

Wydanie I

ISBN 83-89011-53-0

Opracowanie graficzne i projekt okładki  
Dariusz Nowakowski

Redakcja serii  
Eryk Górski Robert Łakuta

Grafika na okładce  
Andrzej Łaski

Redakcja  
Dominika Repeczko

Korekta  
Barbara Caban Joanna Dudziak

Skład i łamanie  
Dariusz Nowakowski

Opracowanie wersji elektronicznej  
lesiojot

Wydawnictwo Fabryka Słów Sp. z o.o.  
20-777 Lublin, ul. Rynek 2  
e-mail: [fabryka@fabryka.pl](mailto:fabryka@fabryka.pl), [www.fabryka.pl](http://www.fabryka.pl)

## Rozdział 1

**N**a widok ciemnej linii drzew dziewczyna skrzywiła się z niechęcią. Z jeszcze większym niesmakiem obejrzała drogę, zarośniętą wszelkiego rodzaju chwastami i połyskującą licznymi oczkami kałuż. Westchnęła ciężko, usiadła na skraju czegoś, co zapewne w poprzednim życiu było ławką, i szybko, klnąc pod nosem za każdym razem, gdy sznurówka wpadała w błoto, zmieniła eleganckie półbuty na solidne traperki. Właśnie przyszło jej pożegnać się z nadzieją, że wykonanie tego pierwszego samodzielnego zadania ułatwi jej nieco dyskretna elegancja pewnej siebie pani urzędnik. Pozostał jedynie wątpliwej wartości urok harcerki. Nie takie wrażenie miała zamiar zrobić.

Wrzuciła buty do torby, teraz przynajmniej już nie tak wypchanej, i wyciągnęła z kieszeni spray, który, zgodnie z informacją na etykiecie, miał natychmiast wyprawiać wszelkie latające żyjątka do owadziego raj. Obficie potraktowała specyfikiem powietrze wokół siebie. Nie bardzo poskutkowało. Najchętniej miotnęłaby w te paskudztwa czymś innym, ale to mogło się nie spodobać szefostwu. Więc tylko naciskała rozpylacz raz za razem i starała się nie myśleć o żukach, których wstrętne, ciepłiwe nóżki wyjątkowo szybko wplątują się we włosy. Ani o maleńkich muszkach, przez które człowiek puchnie jak balon w zupełnie nieprawdopodobnych miejscach. A już z pewnością nie o pająkach, które nie tylko zostawiają gdzie popadnie ohydne i lepkie sieci, ale jeszcze mają koszmarny zwyczaj wpadania Bogu ducha winnym ludziom za kołnierz. Bardzo, ale to bardzo nie lubiła tego cudownego łona natury.

Droga przez las zajęła jej ponad godzinę, nogi co chwila grzęzły w błocie, a roje natarczywych muszek atakowały niczym wirusy grypy w

marcu. Zatrzymała się dopiero, kiedy poczuła, że to dokładnie tu. Las wyglądał wprawdzie tak samo jak gdzie indziej i miała poważne obawy, że nie tylko insekty się po nim pętają, ale też zbrojeńcy tudzież przedstawiciele lokalnej mafii celem przeprowadzenia nielegalnych pochówków, jednak nie miała wątpliwości – dotarła na miejsce.

Nasłuchiwała przez chwilę, ale tylko drzewa szumiały, muszki brzęczały, a wiatr gwizdał. Przymknęła powieki, wzięła kilka głębokich oddechów, uniosła dłonie na wysokość piersi i uczyniła znak. Kiedy otworzyła oczy, wszystko wokół było takie samo. Poza atmosferą. Coś czało się wśród drzew, coś bardzo złowrogiego. Czuła to. Czało się, ale też i zbliżało, z pewnością nie z zamiarem nawiązania przyjacielskiej pogawędki.

Odetchnęła głęboko raz i drugi ze skupieniem, jakby jej sytuacja miała zależeć od ilości nabranego powietrza. Nic to wprawdzie nie dawało, ale pozwalało choć na chwilę zająć myśli czymś innym niż opracowywaniem najlepszego wariantu panicznej ucieczki. Opanowała się nieco.

– Spokój! – wrzasnęła tak, że aż gardło ją zabolowało. – Jestem Poborcą! Przyszłam odebrać...

Nie zdołała dokończyć. Coś uderzyło w nią z siłą tornada. Porwało w górę, prawie odebrało oddech. Zanim zdążyła pomyśleć, że to chyba już taki prawdziwy koniec wszystkiego, miotnęła zakłęcie. I to nie jedno.



– Skąd wyście ją wzięli?! – Elegancki biznesmen w garniturze spytał swojego mniej eleganckiego kolegę w kraciatej koszuli, ale już pozbawionego swetra. W sweter ubrali przemoczoną Monikę, kiedy nagle zmaterializowała im się w recepcji.

– Z ogłoszenia, jak wszystkich. Przecież wiesz, że to już nie te czasy, że wybiera się każdego osobiście. Dajemy ogłoszenie, zgłasza się setka zdesperowanych, bezrobotnych absolwentów, kogoś z nich zawsze się zatrudni do prac biurowych, a z reguły trafi się przynajmniej jedna

sztuka z minimalnym chociaż potencjałem.

– Minimalny, cholera, potencjał – warknął elegancik. – Nie dość, że teleportowała się na taką odległość, ile to było? Pięćdziesiąt kilometrów?

– Pięćdziesiąt cztery – uściślił facet w kraciastej koszuli. Robił wrażenie zakłopotanego.

– To jeszcze wywaliła przy okazji pięćdziesiąt metrów kwadratowych lasu! – irytował się ten pierwszy. – Czego wy tych stażystów uczycie?

– Standard. Zakłęcie ochronne, zakłęcie odkrywcze, zakłęcie poboru, zakłęcie...

– Przecież wiem, że standard! – pieklił się wytwornis. Przyteleportował się aż z Warszawy, jak tylko donieśli im o Monice. – A ty widziałeś, co ona z tym standardem zrobiła? Taka moc! Dziwne, że wy tego nie odkryliście...

– Na testach wypadła tylko trochę ponad przeciętną – wtrąciła się szefowa komisji rekrutacyjnej oraz działu personalnego, chorobliwie chuda blondynka z ustami koloru malin i na obcasach rozmiaru wieży Eiffla.

– ...dziwne, że nikt inny tego nie odkrył – ciągnął elegancik jak w transie. – Czy ona ma z nami podpisaną umowę? Tak? To świetnie. – Zatarł ręce zadowolony. Wściekał się intensywnie, ale z zasady niedługo.

– Zawsze inni zbierają śmietankę. Uczniów sobie, do diabła, szukają, tak to się nazywa. Zarejestrujcie ją jak najszybciej jako maga, bo jeszcze znajdą jakąś furteczkę prawną i nam ją zabiorą.

– Nie możemy, ona nie jest magiem! – zaprotestowała blondyna.

– E tam, zanim skończycie rejestrować, już będzie. Szóste Prawo Poboru. – Mrugnął porozumiewawczo i wyteleportował się z powrotem do stolicy.



Kiedy Piotrek wszedł do sali konferencyjnej, nerwowo mnąc rękawy kraciastej koszuli, Monika natychmiast podniosła głowę.

– I co? – zapytała niepewnie.

Wzruszył ramionami.

– No, niby dobrze. Zrobisz w tej firmie karierę, czy chcesz, czy nie.

Teraz ona wzruszyła ramionami. Niezupełnie o takiej karierze marzyła. Raczej widziała siebie jako kogoś w rodzaju Ally McBeal. Ale w obecnej sytuacji, gdy bezrobocie osiągnęło niebywałą wysokość dwudziestu procent, każda praca była dobra. A ta była przy tym ciekawa. Dziwna, trochę przerażająca, ale ciekawa. Co prawda Monika ciągle nie do końca była przekonana, że to wszystko jest realne. Przez większość swojego życia nie wierzyła w magów, czary, a już na pewno nie w magiczny podatek liniowy. Ale jakoś dobrze się w tym wszystkim czuła. I ten incydent w lesie nie przstraszył jej tak do końca. Raczej dał jej wiarę w siebie jakiegoś innego typu, przecucie jakichś nie do końca sprecyzowanych, za to ogromnych możliwości. Podobało jej się to uczucie.

– Jaką karierę? – zainteresowała się.

– Zrobią z ciebie Poborcę, ale takiego prawdziwego. Wysokiej klasy. Specjalistę.

– Kiedy?

– Prawie już. Pamiętasz szóste Prawo Poboru?

Odpowiedni akapit wielkiej, grubej księgi, którą wszyscy nowo zatrudnieni musieli wkuć na pamięć, sam wypłynął gdzieś z jej umysłu i przysiadł na końcu języka.

– „Napad na Poborcę karany jest Grzywną. Wysokość Grzywny zależy od intencji napadającego i możliwych skutków napadu. Grzywnę pobiera na swoją korzyść napadnięty Poborca lub też, w przypadku jego śmierci, sukcesor Poborcy, będący również Poborcą”. – wyrecytowała.

– W skrócie o to właśnie chodzi. – Pokiwał głową Piotrek. – Pojedziemy do lasu, odbierzesz Podatek i Grzywnę, a kiedy wrócimy, będziesz już miała własne biurko, a może nawet własny gabinet.

Monika zachłysnęła się herbatą.

– Chyba zwariowałeś! To coś chciało mnie tam w lesie zabić.

– To teraz ty to zabijesz i będzie z głowy.

– Zabiję? – Kubek z herbatą wypadł jej z ręki i rozbił się na

wykładzinie.

– To chciało zabić ciebie. „Wysokość Grzywny zależy od intencji napadającego i możliwych skutków napadu”. – przypomniał. – Nie będzie tak jak myślisz, żadnej krwi, sieczki i rzezi jak w kiepskim horrorze. Po prostu pójdziesz tam i rozpoczniesz Pobór. I nie przestaniesz. Zabierzesz całą moc.

– Zabiję kogoś! – Owo grzeczne wyjaśnienie bynajmniej nie trafiło do Moniki, nadal była wstrząśnięta. – Miałam być poborcą podatkowym, nie mordercą.

– Tylko widzisz, nasza definicja Poborcy jest czymś innym niż ta powszechna, zwykłoludzka. Podpisałaś umowę. – Piotrek niechętnie uciekał się do gróźb. To zresztą nie była tylko groźba, ale też prawda. – Drugie Prawo Poboru, pamiętasz?

Spojrzała na niego ponuro.

– „Poborca ma obowiązek pobrać Podatek, Grzywnę, Daninę, Rekompensatę, Opłatę, Spłatę zgodnie z Prawami Poboru. Poborca, który bez istotnych powodów odmówi Poboru, podlega karze Grzywny”. Niech zgadnę, sumienie to nie jest istotny powód?

Piotrek podał jej kurtkę i torbę.

– Jedziemy.



Przez całą drogę do lasu Monika milczała. Tylko raz mruknęła przez zaciśnięte zęby coś bardzo niecenzuralnego na temat swoich pracodawców. Piotrek też się nie odzywał. Potrafił sobie wyobrazić, co czuje siedząca obok dziewczyna. Rzeczywiście, dla kogoś, kto ten dziwny świat dopiero poznawał, zasady były niezrozumiałe i przerażające. Jak ze średniowiecza albo jakiejś innej niezyciowej epoki.

Skręcili z dwupasmówki w piaszczystą drogę, dojechali nią do lasu. Niemalże natychmiast Piotrek zaczął kłąć, bo samochód ugrzązł w niewielkim bagienku, które z powodzeniem udawało niegroźną kałużę. Może i było niegroźne dla przechodnia w gumofilcach, ale przednie koła



wozu utknęły w nim na amen. Monika wysiadła z auta. Sama nie wiedziała dlaczego, bo tak właściwie to nie miała na to ochoty. Na zewnątrz był tylko mokry, pusty las. Przeszła kilka metrów, rozprostowała nogi, przeciągnęła się. Kiedy się odwróciła, dach samochodu już znikał w bagnie. Po Piotрку zaś nie było ani śladu.

Poprawiła torbę. Zastanowiła się chwilę. Nie bardzo wiedziała, czy właśnie wydarzyło się coś niepokojąco dziwnego, bo od chwili, gdy zaczęła pracę Poborcy, „dziwne” stało się synonimem słowa „normalne”. Jeszcze przed chwilą sama stała na skraju tej kałuży, na powierzchni której pokazał się teraz wesoły bąbel – wspomnienie po samochodzie. I za jedyną szkodę mogła w zasadzie uznać świeżą warstwę błota na swoich traperkach. Najprawdopodobniej więc owo coś z lasu postarało się wyeliminować przeciwników zawczasu. Nie podejrzewała bowiem, że w ten sposób kochani pracodawcy postanowili dać jej całkowicie wolną rękę. Miała tylko nadzieję, że Piotrek teleportował się na bezpieczną odległość, nie chcąc dzielić losu swego auta. Ona z pewnością by tak zrobiła, gdyby nie ten irracjonalny pomysł z wysiadaniem. W ten sposób została sama w wielkim lesie pełnym, między innymi, komarów. Nie żałowała sobie i miotnęła w nie zakłęcie. Od razu raźniej jej się zrobiło.

Paskudztwo czekało przyczajone. Wyczuwała je, chociaż nawet nie zrobiła znaku Odkrycia. Instynkt jej mówił, że gdzieś tam jest. A wyobraźnia usłużnie podsuwała obraz ogromnego czarnego żuka, posiadającego oczywiście ohydnie wiele odnóży, czułków i potwornych szczęk. No ale skoro nie uciekła z tego lasu od razu, to co jej szkodziło iść naprzód i skopać temu robalowi odwłok.

Może gdyby nie usłyszała przypadkiem, co ten elegancik z Warszawy mówi do Piotrka, to bardziej by się bała. Ale jeśli mogła być jakimś magiem, maginią, magiczką czy jak to zwać, to przecież byle co nie mogło jej tak od razu pokonać. Owe przeczuwane, nieodkryte jeszcze własne możliwości kusily coraz bardziej. Nawet przestała żałować tego czegoś, z czego pobierze całą moc aż do końca. Bo niby dlaczego miało jej być przykro z powodu stwora, który, jej zdaniem, wyglądał jak

obrzydliwy robak, a do tego chciał ją utopić w kałuży. Pogwizdując, ruszyła w głąb lasu.



Siedzący na dachu lekko zrujnowanej szopy mężczyzna zgasił papierosa. Cofnął zaklęcie dalekowzroczności i teraz czekał, aż oczy przestaną piec i zaczną normalnie funkcjonować. Wysłał go tu na wszelki wypadek, żeby zakończył Pobór, jeśli dziewczynie się nie uda. Uważał to za zadanie grubo poniżej swoich możliwości, ale rozsądnie nie wypowiedział tej opinii na głos. Narozrabiał w Niemczech, narozrabiał w Anglii, za karę zesłali go do Polski. Tu starał się siedzieć cicho i tylko wypalał kolejne papierosy, wykonując zadania o wiele, jak na jego upodobania i ambicje, za proste. Tyle miał nadprogramowej mocy, że zużywał ją na takie umilające życie drobiazgi jak choćby osłona przed deszczem. Jego ubranie, starannie przycięta broda i malowniczo zmierzwione włosy były suche.



Monika powitała deszcz ciężkim westchnieniem. Dopiero co wyszła po poprzedniej wycieczce. Do miejsca, do którego doszła poprzednio, było jeszcze daleko, ale dziki lokator nabrał widać pewności siebie i rozpanoszył się już po całym lesie. Czowała to. Nie miała zamiaru dłużej moknąć i iść dalej w paszczę lwa, a raczej między owadzie szcękoczułki czy jak się to nazywało.

Wyjęła z plecaka biały kryształ, ujęła go w obie dłonie i wyciągnęła przed siebie.

– Jestem Poborcą! – krzyknęła do tego czegoś, ukrytego między drzewami. – I zgodnie z Prawami Poboru przyszedłam po Podatek i Grzywnę!

Głośno wypowiedziała zaklęcie i zaczęła Pobór.

Opór, jaki napotkała, prawie zwałił ją z nóg. Coś w lesie walczyło z nią ze wszystkich sił, uparcie, desperacko. Miała wrażenie, że ziemia faluje, drzewa się wałają. Odczekała tylko, aż kryształ napełnił się mocą, odrzuciła go na trawę i prosto w wyciągnięte dłonie zaczęła pobierać Grzywnę.



Siedzącemu na szopie Jensowi nie było łatwo przejść do porządku dziennego nad tym, co widział. Zamarł ze zdziwienia z dopalającym się papierosem w dłoni. Oprzytomniał dopiero, gdy żar oparzył mu palce.

Cały las falował jakby był gigantycznym dywanem, którym ktoś potrząsa dla zabawy. Drzewa padały, wlatywały w górę, wyginały się w dzikim tańcu jakby były z gumy. Kiedy już wszystko się uspokoilo, Jens musiał przypomnieć sobie kilkakrotnie, że przecież w tej dziurze brakowało mu wrażeń. Wysłał SMS do Centrali i teleportował się w sam środek lasu.



Na mokrej ściółce leżały plecak i kryształ Fiskusa pełen Podatku. Kawałek dalej, na plecach, leżała Monika z rozrzuconymi ramionami, wpatrzona nieruchomymi oczami w niebo.

Pod sosną pojawił się kopczyk, jakby usypany przez niewidzialnego kreta, i z ziemi, wypluwając żyłtka, wychylił się Piotrek. Jens pomógł mu wygrzebać się do końca.

– Co to niby było? – jęknął Piotrek, otrzepując się z błota. Niewiele mu to pomogło, dalej wyglądał jak ekshumowany nieboszczyk.

– Sam chciałybym wiedzieć. – Niemiec stanął przy Monice w odległości mniej więcej dwóch metrów, bo bliżej podejść się nie dało. Iskry strzelały w powietrzu.

– To miało być proste jak żyłka od wędki. – Piotrek ostrożnie podszedł

do kryształu. – Dostaliśmy cynk o jakimś nielegalnym lokatorze, więc wysłałem młodą, niech się wczuwa. Z tymi nielegalnymi to zwykle nie ma kłopotu. Srają w gacie, jak tylko usłyszą, że Urząd Skarbowy się nimi interesuje.

– Z tym kłopot był. – Jens wyciągnął papierosy, wsadził jednego do ust. Drugiego, już zapalonego, wetknął w rękę Piotrkowi. Ten zaciągnął się nerwowo, a potem rozkaszał spazmatycznie.

– Co teraz robimy? – wykrztusił po dłuższej chwili. Nadal był do tego stopnia ogłuszony wydarzeniami, że nie docierało do niego, iż o decyzję prosi swojego podwładnego.

– I tak jej stąd nie zabierzemy, przynajmniej dopóki to pole wokół się nie wyczerpie. Czekamy na Centralę. – Niemiec nawet nie zauważył tego występuku przeciw służbowej hierarchii, wciąż przyglądał się leżącej nieruchomo Monice.

Usiedli na jednym ze świeżo zwalonych pni i czekali. Warszawa zaczęła odezwać się po półgodzinie. Nad poziomkami zafalowało powietrze.

– Jest Łukasz. – Jens zgaślił papierosa.

Na polanie pojawił się elegancik w towarzystwie staruszka odzianego w coś pomiędzy opończą a koszulą nocną. Dziadek, nucąc pod nosem, ruszył w las, a Łukasz rozejrzał się nerwowo po pobojowisku.

– No, troszkę się popieprzyło – westchnął.

– Popieprzyło się, pewnie, że się popieprzyło! – jęknął Piotrek. – Ziemia mnie zeżarła, a Monika... – Machnął ręką w stronę leżącej dziewczyny.

Łukasz poprawił krawat. Minę miał nieco niewyraźną i już na pierwszy rzut oka było widać, że nie zamierza zanadto roztrząsać problemu.

– No niestety, humanum errare est i dotyczy to nawet naszego Urzędu.

– Czyli? – Jens nie dał się zbyć przysłowiem.

Łukasz troszkę się zdenerwował. Nie lubił tego Niemca, bynajmniej nie ze względu na narodowość, ale poglądy i metody pracy. Jako urodzony biurokrata nie czuł się dobrze w towarzystwie awanturników i lekkoduchów, a do tej kategorii zaliczał Jensa.

– To nie jest zwyczajny nielegalny lokator. To... no nie wiem, jak to

nazwać... sól tej ziemi, duch Lubelszczyzny, pradawny byt. Ma prawo do terenu przez zasiedzenie. Płaci, rzecz jasna, podatki, tyle że według innej stawki, no i ostatnio był aktywny paręset lat temu! Wtedy nie było jeszcze instytucji, takich Poborców jak teraz, sami wiecie. Nie bardzo wiedzieliśmy, co z nim zrobić, na szczęście przypomniałem sobie o dziadziu. – Wskazał na staruszkę, który właśnie z dziecinną radością śpiewał coś do kępki mchu. – Rodzice upchnęli go w domu spokojnej starości dla wariatów, ale jakoś dało się go wyciągnąć. Pogada z tym czymś i będzie okay. – Uśmiechnął się z niejakim przymusem.

– Okay?! A Monika?

Łukasz zerknął na nieruchome ciało dziewczyny i natychmiast odwrócił wzrok.

– No niestety, nieprędko trafi się nam kolejny mag. Duża strata do Urzędu.

Coś poderwało go w powietrze i prawie rozpląszczyło na pniu sosienki.

– Dla Urzędu?! – Monika wstawiała z trudem. – A dla mnie to niby nie strata? Siedzicie na tych swoich tyjących tyłkach i nawet nie chce wam się sprawdzić, gdzie posyłacie nowicjuszy?! Mogła mi głowa pęknąć od nadmiaru mocy! Mogłam zwariować od tego! Już się dziwnie czuję!!!

Łukasz unosił się coraz wyżej i wyżej. Bezradnie zamachał nogami nad wierzchołkami drzew. Jens rzucił się w stronę dziewczyny, chciał złapać ją za rękę, zdekoncentrować, ale odepchnęła go tak, że przeleciał kilka metrów, wrywając po drodze spore kępy trawy. Nucący staruszek patrzył na to wszystko z dziecięcym zachwytem. A Monika prychnęła jak rozjuszona kotka, złapała plecak i wyteleportowała się z lasu. Gdy tylko zniknęła, Łukasz runął na ziemię, łamiąc po drodze gałęzie. Jens w ostatniej chwili zakłębieniem złagodził upadek. Dziadek z radości zaczął podskakiwać i klaskać w ręce.

– Niech dziadek przestanie! – wrzasnął Łukasz, wrywając z garnituru igły i gałązki. – To wcale nie jest śmieszne! Znajdźcie ją! Zapłaci Grzywnę zgodnie z szóstym Prawem Poboru.

– Takie proste to nie będzie. – Piotrek podrapał się w głowę. – Zanim tu przyjechalіśmy, zarejestrowałem ją jako maga, a zgodnie z dziesiątym

Prawem Magów: „W odwecie za narażenie życia mag ma prawo domagać się sprawiedliwości lub też wymierzyć ją samodzielnie, jednak zgodnie z zasadą proporcji”. Tak teoretycznie, to jej kara była mniejsza od krzywdy, więc możesz ją, co najwyżej, oskarżyć o miłosierdzie.

– Nie będzie mi mag uciekał z Urzędu – zagrział Łukasz, wyrażając pięścią. – Skoro nie będzie płaciła Grzywny, to przynajmniej będzie pracować. Jest Poborcą, nie może odmówić Poboru. Chwilowo udzielam jej bezpłatnego urlopu, z którego ma jak najszybciej wrócić, jasne?

– Niby ja mam ją znaleźć? – zdziwił się Jens, do którego te słowa były skierowane.

– No niby ty! Nudzisz się tu przecież, no to już!

Niemiec wzruszył ramionami i teleportował się z lasu. To samo zrobił Łukasz, przykazawszy przedtem Piotrkowi pilnować dziadka.

## Rozdział 2

Czerwcowy dzień był naprawdę upalny. Statek wycieczkowy leniwie sunął po Dunaju. Jens poprawił ciemne okulary, przecisnął się pomiędzy wyjątkowo hałaśliwymi dziećmi i zatrzymał przy balustradzie.

– Wykorzystać tę moc na podróże, całkiem niezły pomysł – powiedział.

Monika spojrzała na niego przelotnie znad różowych szkielek. Potem wróciła do podziwiania krajobrazów.

– Chyba nie będziesz uciekać? – zapytał. – Masz moc, ale poza tym jesteś kompletną amatorką. Nie znasz sztuczek profesjonalistów.

– To mnie naucz – zaproponowała, uśmiechając się kusząco.

Nerwowo strząsnął z siebie jej zaklęcie jak ohydny robak. Ledwo mu się udało. Zaciskał mocno zęby, żeby tylko nie pokazać, jak blisko była sukcesu. Gdyby postarała się troszkę bardziej, już byłby jej.

– Urocza propozycja, ale może nie skorzystam – powiedział spokojnie. – Kto cię tego nauczył?

– Nikt. Instynkt.

– Akurat – zapalił papierosa. Wytrąciła mu go z ręki, tak że wpadł do Dunaju.

– Palenie szkodzi – oznajmiła surowo.

– Wiem. Studiowałem medycynę. – Zapalił następnego, zaciągnął się dymem, zakrztusił. Smakowało obrzydliwie jak nigdy. Cisnął całą paczkę do rzeki.

– Co to ma znaczyć?

– Uroki coraz lepiej mi wychodzą. Mam to w genach. Wiesz, że ojciec mojego ojca miał tylko synów, i jego ojciec też, i jego ojciec też i tak do

dziewięciu pokoleń wstecz?

Strasznie zachciało mu się papierosa. Poborcy nie znali się na takich sprawach, ale on kiedyś tak marzył, żeby zostać magiem. Zaczytywał się w księgach, zapamiętał parę rzeczy. To wszystko, co było w obficie ilustrowanej książce o demonach, zjawach i żywinach płci żeńskiej, pamiętał doskonale. Chociaż najciekawsze były obrazki.

– Tam w lesie coś się we mnie obudziło. Poczułam... moc, chyba, to nawet trudno opisać. Zaciekało mnie, skąd nagle się to wszystko we mnie wzięło, więc poszperałam trochę w genealogii własnej i w książkach. Niezły tupet musiał mieć mój prapraprapraprapradziadek, że zbałamucił pannę z bagien. Zresztą, może nie o tupet tam chodziło. Rusałka związana ze śmiertelnikiem ma samych synów. I samych wnuków i samych prawnuków i tak aż do dziewiątego pokolenia. A potem rodzi się następna panna z bagien i wszystko zaczyna się od nowa.

W różowych okularach Moniki odbijała się rzeka. Dziewczyna spoglądała na fale z zagadkowym wyrazem rozmarzenia na twarzy. Dopiero teraz Jens zauważył, że we włosy wpięła jakiś kwiat. Dłonie miała dziwnie smukłe. Odsunął się od balustrady, powoli, ostrożnie. Gdyby teraz go wypchnęła, nie miałby szans. Wodniki nigdy nie pałały sympatią do Urzędu Skarbowego i, nawet bez próśb rusałki, utopiłyby go radośnie.

– Kim ty właściwie jesteś? – zainteresowała się nagle Monika.

– Takim Poborcą do zadań specjalnych. – Jens postarał się w miarę nonszalancko usiąść na ławeczce i dokładnie w tej samej chwili uświadomił sobie, że robi z siebie głupka. – Właściwie to odrzutem – przyznał szczerze. Nie było sensu ukrywać czegoś, o czym i tak wszyscy wiedzieli. – Nabroiłem w paru miejscach, więc się mnie pozbywali. W końcu trafiłem do centrali w Warszawie.

– A co masz zrobić ze mną? – usiadła obok.

– Przekazać ci, że urlop się skończył i praca czeka.

– Szkoda. – Na chwilę zapatrzyła się w błękitne niebo i słońce. – Ale skoro trzeba wracać, to trudno.



– Wracasz ot tak, bez żadnych problemów? Bez protestów?!

– A co mam, twoim zdaniem, zrobić? Szaleje bezrobocie – przypomniała trzeźwo. – Niby mogłabym pójść na bagno, ale chyba nikt jeszcze nie widział rusałki z insektofobią. Mam tańczyć na uroczysku ze sprayem na komary w każdej ręce? To już zakrawa na parodię. A Poborca to pewne zajęcie, nawet czasami interesujące. Gdyby nie ta pomyłka w Poborze, nie wiedziałabym o sobie tylu fascynujących rzeczy.

Wstała i pomachawszy wodnikom na pożegnanie, uśmiechnęła się do Jensa nad wyraz przyjaźnie, po czym wyteleportowała się ze statku.

Niemiec siedział jeszcze przez chwilę, patrząc na przesuwany się powoli brzeg. Jakże ona się uśmiechała! Nic dziwnego, że tylu szaleńców tonęło na bagnach, szukając roześmianych rusałek. Sam też pewnie by utonął.



Teleportacja nie była przyjemna. Na statku powietrze było świeże i krystalicznie czyste, a w Centrali jak zwykle panował zaduch, do tego wszystko zasnuwała siwa mgła tytoniowego dymu. Ledwie Jens pojawił się na korytarzu, a już wpadł na niego posłaniec. Jak się okazało, znajomy.

– Stary, nie uwierzysz, jaka heca! – Tomek prawie pękał od wiadomości, którą miał okazję rozpowszechnić. – Szefowie zarejestrowali rusałkę jako maga! I ani rusz nie mogą tego odkręcić!

Drzwi w głębi korytarza otworzyły się i prawie wybiegł przez nie Łukasz. Na przemian bladł i czerwieniał na twarzy. Za nim wyszła Monika.

– Może ja z nimi porozmawiam? – zaproponowała uprzejmie.

– Wykluczone! – Łukasz niemal krzyknął. Przechodząc, rzucił Jensowi wściekłe spojrzenie i trzasnął drzwiami od gabinetu Piotrka. Najwyraźniej rozmowa z Centralą nie należała do przyjemnych.

– To przez tę rusałkę – szepnął radośnie Tomek.

Monika pokiwała głową.

– Dokładnie – powiedziała. W jej głosie dźwięczała satysfakcja.

Tomek dopiero teraz ją zauważył i oczy prawie wylazły mu na wierzch. Monika nie wyglądała wcale nadzwyczajnie, ubrana w dżinsy i bluzeczkę, no i miała ten idiotyczny kwiat wciąż wpięty we włosy. Ale czar rusałki działał.

– Przestań – syknął jej do ucha Jens.

Monika spojrzała na niego zdziwiona, dopiero kiedy dostrzegła wyraz twarzy Tomka, ze zrozumieniem kiwnęła głową.

– Samo się czasami włącza. – Uśmiechnęła się przeproszająco.

Szturchnięty w ramię Tomek zamrugał, jakby obudził się z głębokiego snu.

– Co jest? – zapytał nieprzytomnie.

– Pozwól, że cię przedstawię – powiedział Jens. – Tomek, poślaniec z biura. Monika, rusałka.

Chłopak najpierw zamarł z wrażenia, a potem rzucił się do całowania Moniki po rękach. W tym momencie na korytarzu pojawił się zbolący Piotrek, ściskając naręcze jakichś papierów. Zatrzymał się przy nich.

– Idźże stąd – poprosił, popatrując na dziewczynę z wyrzutem.

– Ja tu pracuję – przypomniała.

– To maszeruj pracować w teren. Pobierz podatki. – Wetknął jej plik wezwań.

Monika obejrzała je uważnie.

– Nie mój rewir – stwierdziła krótko. – Ja pracuję w Lubelskiem.

Piotrek wyrwał jej kartki i natychmiast wcisnął inne.

– Idź sobie stąd – powtórzył. – I ty też – spojrzał na Jensa. – Zejdźcie mi oboje z oczu!



– Zarejestrowanie rusałki jako maga to taka straszna rzecz? – zapytała Monika, kiedy już jedli lody w kawiarnianym ogródku na lubelskim deptaku.

– Nikt chyba jeszcze niczego takiego nie zrobił. – Jens nerwowo bawił się papierosem. Strasznie chciało mu się palić, ale jednocześnie urok rusalki ciągle działał i na samą myśl o zaciągnięciu się dymem robiło mu się niedobrze. – Formalnie magiem może być tylko człowiek, nie zwykłocząłek, rzecz jasna.

– Moi rodzice są ludźmi, to ja chyba też – zauważyła Monika.

– Nie chodzi o genetykę. W twoim przypadku to już bardziej o genealogię. I o formalności. Formalnie jesteś w prostej linii potomkiem rusalki w dziewiątym pokoleniu, potomkiem płci żeńskiej, czyli rusalką. Z formalnego punktu widzenia twoi synowie raczej będą ludźmi, chociaż nie wiadomo.

– Raczej? – obruszyła się dziewczyna.

– A skąd ja mam wiedzieć, z kim ci strzeli do głowy mieć dzieci? – Jens wzruszył ramionami.

– No rzeczywiście – zgodziła się. – Tego to nawet ja jeszcze nie wiem. Ale wracając do tematu...

– To taki prosty wywód logiczny. Przesłanka A: rusalki nie są ludźmi. Przesłanka B: tylko ludzie są magami. Skoro jesteś rusalką, to nie jesteś człowiekiem, skoro nie jesteś człowiekiem, to nie możesz być magiem.

Monika pokiwała głową na poły ze zdziwieniem, na poły ze zrozumieniem.

– Trochę głupio, że świat magii trzyma się praw logiki formalnej.

– A nie głupio, że od magii pobiera się podatek? – Jens zgniótł papierosa. – Nie mogłabyś odwrócić wreszcie tego uroku? Czekam i czekam, aż się cholerstwo wyczerpie.

– Nie mogę. – Uśmiechnęła się ślicznie i przepaszająco. – To byłoby niezgodne z moją naturą. Potępiam palenie. Chodź, pójdziemy po Podatek, to przestaniesz myśleć o zgubnym nałogu.



Klatka schodowa była brudna i śmierdząca, kolejne piętra prezentowały się jeszcze gorzej. Monika stanęła tak, by przypadkiem nie dotknąć

któreś ze ścian. Jens sprawdził adres na wezwaniu.

– To tutaj.

– Świetne miejsce dla maga. – Dziewczyna prawie podskoczyła, kiedy za którymś załomem korytarza trzasnęły drzwi i rozległy przekleństwa. – Takiej wiązanki to jeszcze nie słyszałam – stwierdziła, przysuwając się bliżej do swojego towarzysza. – Miejmy to już za sobą, co?

Jens zapukał z niejakim obrzydzeniem.

– Jestem Poborcą – powiedział, kierując głosem tak, żeby w żadnym razie nie dotarł do niepowołanych uszu. – I zgodnie z Prawami Poboru przyszedłem po Podatek.

Przez chwilę panowała cisza, a potem zadzwonił zdejmowany łańcuch. Skrzypnęły zawiasy.

– Widzisz. – Jens uśmiechnął się zadowolony, wchodząc do środka. – To w gruncie rzeczy banalnie proste.

Monika ruszyła za nim. Znalazła się w zwykłym, wyłożonym boazerią przedpokoju. Po jej towarzyszu nie było śladu. Tylko dywanik falował złowrogo, jakby coś przełykał.

– Znowu – westchnęła nieco zrezygnowana.

Nie szła dalej, wołała nie ryzykować.

– Jest tu ktoś? – zawołała.

Słodki, kuszący głos odbił się echem od ścian.

Drzwi do pokoju otworzyły się i pojawił się niewysoki mężczyzna w okularach, na oko około trzydziestki.

– Kim jesteś? – zapytała Monika, uśmiechając się przy tym najpiękniej, jak tylko mogła.

– Jestem sługą. – Oczywiście miał tak samo nieprzytomne, jak goniec Tomek, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy.

– Gdzie twój pan? – Głos rusałki wibrował słodczyą.

– Wszedł.

– Co się stało z Poborcą?

– Wpadł w pułapkę mojego pana.

– Żyje?

– Póki mój pan nie postanowi inaczej.

– A kiedy wróci twój pan?

Monika ostrożnie ominęła dywanik i podeszła do sługi, któremu pot pokrył czoło drobnymi kroplami. Położyła mu dłoń na policzku.

– Kiedy wróci twój pan? – powtórzyła.

– Niedługo – wyjąkał tamten z trudem. – Za pół godziny.

– Potrafisz wyciągnąć Poborcę z pułapki?

– Pppotrafię. – W jego oczach pojawiła się panika. – Ale nie mogę. Mój pan...

– Możesz – szepnęła miękko. – Dla mnie.

Kiedy siedziała w wygodnym, obitym skórą fotelu, piła aromatyczną herbatę i patrzyła, jak sługa krok po kroku rozmontowuje pułapkę, zastanawiała się, dlaczego żadna rusalka nie przejęła jeszcze władzy nad światem. Przecież to było takie proste. Wystarczył jeden uśmiech, jedno powłóczyście spojrzenie, by wszystko zaczynało toczyć się po jej myśli. Spojrzała na delikatne sploty sieci, połyskujące na czubkach jej palców. Oto klucz do władzy...

Szczęknął zamek przy drzwiach wejściowych. Sługa podniósł głowę.

– Mój pana wraca – powiedział ze smutkiem. – A ja jeszcze nie skończyłem.

– Pracuj dalej – poleciała Monika, odstawiła filiżankę i wstała z fotela.

Rzuciła sieć. Jednak po wejściu do mieszkania mag wcale nie padł przed nią na kolana, jak tego oczekiwała, ale miotnął takim zaklęciem, że aż wyładowała na środku pokoju. Dobrze, że dywan był miękki.

To dlatego, pomyślała, żadna rusalka nie rządzi światem.

– Co to ma, u diabła, znaczyć?! – warknął gospodarz, celując w nią palcem.

– Mnie się pytasz? – Dziewczyna poderwała się na nogi, odruchowo sięgając ręką do obolałych pośladków. Może i rusalki nie nadają się na władców absolutnych, ale to wcale nie znaczyło, że można nimi pomiatać. – A te cholerne pułapki na gości to co mają znaczyć? – prychnęła jak rozszłoszczona kotka.

– Gości to ja tu nie widzę – odparował tamten zgrzyźliwie, ale już nieco spokojniej.

– No dobra, nie na gości, ale na Poborców. Ładnie to tak?

– A ty, koteczku, co masz wspólnego z Poborcami? – złowrogo zmrużył oczy.

– Chłopaka – oznajmiła Monika, unosząc zadziornie podbródek. – Mieliliśmy iść do kina i na kolację, tylko ten cholerny pracoholik uparł się jeszcze Podatek odebrać. I co? Wszedł i nie wyszedł!

Mag zarechotał zadowolony.

– No zobaczymy, co to za zuch podbił serce panny z bagien. – Pochylił się nad rozmontowaną pułapką.

Monika bez namysłu złapała dzbanek z herbatą i rozbiła mu na głowie. Dla pewności poprawiła jeszcze słownikiem wyrazów obcych, ściągniętym z najbliższej półki. Mag zwałił się nieprzytomny na podłogę. Sługa patrzył na to ze smutkiem, konflikt lojalności wyraźnie go przygnębiał.

– Kończ – poleciła mu Monika słodko. – Dużo jeszcze zostało?

– Już nie. – Posłusznie wyciągał z niewidzialnej dziury kolejne elementy, aż wreszcie pokazała się głowa Jensa. Poborca nie wyglądał najlepiej.

Po dzbanku z herbatą pozostało jedynie wspomnienie, więc Monika przyniosła z kuchni szklankę wody, po czym bez ceregieli chlusnęła Jensowi w twarz jej zawartością. Podziękowało. Niemiec otworzył oczy, zamrugał niepewnie i wreszcie spojrzał dość przytomnie na Monikę, która wyciągała mu z kieszeni kryształ. Pewnym głosem wyrecytowała zaklęcie Poboru.

– Grzywnę też bierzemy? – zapytała.

– Nie, chyba że mu udowodnisz, że to była pułapka na Poborcę konkretnie. A nie udowodnisz. – Jens zaczął rozcierać sobie skronie, krzywiąc się przy tym boleśnie. – Każdy ma prawo zabezpieczać swój dom jak chce. Może zwalić wszystko na służę.

Rusałka trochę się zafrasowała.

– Szkoda – westchnęła. – Antypatyczny był. A sługi nie możemy wyzwolić?

– To nie robota dla Poborców. – Jens wstał powoli, chwając się lekko

na nogach. – Ależ ta pułapka była paskudna. Zna się facet na rzeczy.

Monika podtrzymała go troskliwie.

– Powinieneś wziąć co najmniej jedną aspirynę i trochę się przespać – zdecydowała.

– Po co? – Wzruszył ramionami. – Zaraz mi przejdzie.

Spojrzał jej w oczy i to był błąd. Przeklęte rusałki, zdążył jeszcze pomyśleć, zanim oplotła go siecią.

– Aspiryna i spać – powiedziała łagodnie, wyprowadzając go z mieszkania, a on mógł tylko iść za nią, zachwycać się blaskiem jej oczu i melodią głosu.

## Rozdział 3

**W** oddziale lubelskim Baśka nerwowo postukiwała swoimi gigantycznymi obcasami. Spojrzała z ukosa na Jensa, który z wyjątkowo ponurą miną obracał w palcach kolejnego papierosa i obserwował otoczenie.

– Czy on się musi tak gapić? – westchnęła, przewracając oczami.

Monika podniosła głowę znad wypełnianego skrupulatnie druku raportu.

– Co ci on przeszkadza? – zdziwiła się. – Na mnie się gapi.

– Na ciebie? – Baśka nie zdołała ukryć zawodu. Może i Niemiec nie był tak do końca w jej typie, ale miał w sobie to „coś”.

– Urok się jeszcze nie wyczerpał. Chyba za mocno go wczoraj potraktowałam. Z tymi papierosami też trochę przesadziłam – oceniła rusałka. W jej głosie pobrzmiwało poczucie winy.

– Praktyka czyni mistrza – pocieszyła ją Baśka sentencjonalnie. – Następnym razem wymierzysz lepiej.

– Nie w tym rzecz. – Monika odłożyła wypełniony raport do przegródki. Westchnęła lekko. – On mi się podoba. No i w związku z tym...

– Podryw na urok. – Baśka wyduła swoje krwistomalinowe usta w zadumie. – Zaczynam ci zazdrościć.

Monika wzruszyła ramionami. Zanim jednak miała szansę wytłumaczyć Baśce, na czym polega różnica między facetem pod wpływem uroku, a takim prawdziwie zauroczonym, na środku sali zmaterializował się Łukasz.

– Załatwione – oznajmił tonem łaskawego pana. – Zostaniesz w



rejestrze magów.

Nikt jakoś nie pospieszył z pochwałami czy wyrazami uznania. Większość obecnego personelu wbiła wzrok w to, co miał zawieszona na szyi.

– Szefie – zapytała słodko Baśka – po co ci ręka nieboszczyka?

Łukasz wzdrygnął się nerwowo.

– Nie wasza sprawa.

– Amulet przeciw rusałkom – wyjaśnił Jens, podrzucając w dłoni pustą paczkę po papierosach. Całą jej zawartość wykruszył do kosza na śmieci.

Monika obrzuciła przełożonego pełnym zainteresowania spojrzeniem.

– To działa?

– Pewnie, że działa! – Łukasz odsunął się od niej. Tak na wszelki wypadek. Monika przyjrzała mu się uważnie, potem zerknęła na Jensa i znów powędrowała wzrokiem do warszawiaka.

– Dość makabryczna ozdoba – stwierdziła, ruchem głowy wskazując amulet. – A te posiniałe palce nie pasują ci do krawata – dodała, starannie kryjąc wstręt. Przelotnie zastanowiła się nad tym, czy jakakolwiek woda toaletowa będzie w stanie zneutralizować woń, jaką Łukasz zacznie roztaczać już za kilka dni. Z wysiłkiem zapanowała nad dreszczem obrzydzenia.

– No i lekkie toto też nie jest – dorzuciła podstępnie. – Mogę solennie obiecać, że nie potraktuję żadnego współpracownika urokiem. A już na pewno nie własnego szefa. To by nam chyba ułatwiło współpracę? – Popatrzyła na Łukasza wyczekująco.

– Mogę się zastanowić – zgodził się wspaniałomyślnie. – A w ogóle, to nie było łatwo zostawić cię w rejestrze. Jesteśmy winni magom przysługę, więc do roboty oboje, ale już!

– Ja też? – Jens poderwał się na równe nogi. Wyraźnie odzyskał wigor. Albo urok się wyczerpał, albo amulet Łukasza działał też na otoczenie. – Nie chcę z nią pracować!

– A kto cię pyta o zdanie, co? – zachnął się Łukasz. – Ja tu jestem szefem i ja tu decyduję! A wy oboje działacie mi na nerwy i będziecie pracować razem, żebyśmy mogli zawsze mieć was jak najdalej od siebie.

Jasne?

– Jasne, jasne – odparła ugodowo Monika. Nie było sensu się sprzeczać. Pociągnęła Jensa za ramię. – Chodź.

Nie ruszył się, ale zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze, zakrył jej usta dłonią.

– Żadnych uroków, jasne? – warknął.

Monika pokiwała głową i wywróciła oczami, dając mu do zrozumienia, że ten temat uważa już za ostatecznie zamknięty. Jeszcze i on udałby się do najbliższej nekropolii i wygrzebał sobie stosowny amulecik!

– Jeszcze legitymacje. – Łukasz rzucił w ich stronę dwa zestawy dokumentów.



Galerie w centrach handlowych awansowały ostatnimi czasy do rangi przybytków rekreacyjnych i stały się niewątpliwie celem pielgrzymek spacerowiczów, posiadających wprawdzie mierne zasoby finansowe, za to sporo wolnego czasu. Nikt więc nie zwracał uwagi na przechadzającego się dostojnie, nobliwego starszego pana z laseczką. Tymczasem mag rozglądał się uważnie wśród kupujących i zwiedzających. Dziewczyne na ławeczce zauważył prawie natychmiast.

Ubrana była w niebieskie dzinsy i czarny żakiet, z którego kieszeni wystawały wyjątkowo różowe okulary. We włosy miała wetknięty jakiś kwiat. Nie wyglądała na Poborcę i mag z pewnością nie zwróciłby na nią większej uwagi, gdyby nie książka, którą czytała. Przepisy prawa podatkowego. Na wszelki wypadek rozejrzał się jeszcze uważniej.

Długo szukał możliwości odzyskania swojego „długu” w najdyskretniejszy sposób. Dopiero kilka godzin temu dowiedział się, że poborcy są winni magom przysługę. Dzięki swoim znajomościom mógł to wykorzystać. Urząd Skarbowy raczej nie słynął ze skłonności do negocjacji, ale przysługa jest przysługą. Dług Urzędu dawał magowi realną szansę na odebranie swojego. Wystarczyło wykonać kilka telefonów, a potem w umówionym miejscu spotkać się z Poborcą.

Mag uklonił się dziewczynie i jak najuprzejmiej zapytał, czy miejsce obok jest wolne. Uśmiechnęła się ślicznie, kiwając twierdząco głową.

Jens wyjrzał ostrożnie ze sklepu z meblami. Na wszelki wypadek pstryknął starszuskowi kilka zdjęć. Nie ufał magom, od wczoraj jeszcze bardziej niż zwykle. Pułapka, którą miał okazję obejrzeć od wewnątrz i dogłębnie poznać zasady działania, z pewnością nie należała do najwygodniejszych. A dokładniej, była nieprawdopodobnie wręcz niewygodna. Na samo wspomnienie Poborca poczuł nieprzyjemny dreszcz. Na szczęście aspiryna zniwelowała jej skutki. Gdyby tylko wziął tabletkę dobrowolnie, a nie pod wpływem uroku rusalki. Zrobił jeszcze jedno zdjęcie. Zupełnie na wszelki wypadek.

– Pani zajmuje się podatkami? – zapytał starszy pan, gładząc swoje wypielęgnowane wąsiki.

– Taką mam pracę – odparła uprzejmie Monika.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się zadowolony. – Czekają pani na kogoś?

– Owszem. – Dziewczyna zamknęła książkę. – A pan kogoś szuka?

– W istocie. – Mag skinął głową i wsparłszy dłonie na gałce laski, popatrzył na Monikę z tajoną ciekawością. Niewątpliwie miał do czynienia z właściwą osobą. Zanim jednak miał okazję wyłuszczyć swój problem, obok niego usiadł postawny mężczyzna w ciemnym garniturze i ciemnych okularach. Machnął mu przed nosem odznaką.

– Inspektorzy Urzędu Skarbowego – oznajmił. – W czym rzecz?

Mag trochę się spłoszył.

– Jest was dwoje?

– Oficjalna polityka firmy – uświadomił go Poborca urzędowym tonem. – Tajne zadania z reguły nie bywają bezpieczne.

Starszy pan zamilkł na chwilę, popatrując to na dziewczynę, to na jej partnera. Wreszcie pokiwał głową.

– Bardzo rozsądnie, ale to doprawdy nie będzie nic niebezpiecznego. Tajemnicę jestem zmuszony zachować przed moimi kolegami po fachu. Zbyt żądni są pewnych przedmiotów.

– Jaki to przedmiot i jakie mamy podstawy prawne do jego uzyskania? – zapytała rzeczowo Monika.

– Księga magiczna znacznej mocy. – Interesant wyciągnął z kieszeni pergamin pokryty runami. – To weksel, wręczony mi przez wdzięcznego przyjaciela. Mam prawo do opisanego tam przedmiotu.

Jens obejrzał uważnie dokument i podał go Monice. Dziewczyna zerknęła na runy i wypisany poniżej, współczesnymi literami, aktualny adres dłużnika.

– To idziemy. – Wstała. – Gdzie przekażemy spłatę?

– Będę tu czekał. – Staruszek uśmiechnął się miło. – Powodzenia, moi drodzy.

– Powodzenia – mruknął sarkastycznie Jens, kiedy już wyszli z hipermarketu. – O co się założysz, że planuje nas zabić, jak tylko wrócimy z tą księgą?

– Wcale się nie założę. – Rusałka oblizwała pistacjowego loda. – Zabije nas na sto procent. Przynajmniej taki ma zamiar. Miał to prawie wypisane na czole. Ale mnie będzie mu trochę żal. Przypominam jego wnuczkę.

– Nie zorientował się, że jesteś rusałką? – upewnił się Niemiec.

Pokręciła głową.

– Zabroniłeś mi pleść sieci. Poza tym, kto by się spodziewał rusałki zbierającej podatki.

– A dałabyś radę wmówić mu, że jesteś jego wnuczką?

– Zakładając, że kompletnie nie zwróci uwagi na to, że plotę sieć, to pewnie tak. – Monika schrupała wafelek od loda.

– Mogę cię zapewnić, że nie zwróci. Ciekawe, ilu magów zabił, żeby dostać ten weksel.

– Możesz go o to zapytać, kiedy będzie już w sieci – podsunęła Monika; sama nie była szczególnie spragniona wiadomości na ten temat. W sumie to irytował ją spokój, z jakim Jens mówił o magach mordujących się dla jakiejś książki. Nawet jeśli była to wyjątkowo cenna książka. Założenie, by nie dziwić się niczemu, co jeszcze może ją spotkać w świecie magii, zaczynało pękać pod naporem zasad, w jakich została wychowana i które, co tu kryć, nadal uważała za nienaruszalne. Odephnęła gorzką konkluzję na temat podobieństw obu światów.

– A tak z ciekawości, nie boi się, że zabierzemy mu książkę albo... Sama nie wiem albo co, ale na jego miejscu nie zlecałabym tego Urzędowi. W zasadzie nikomu bym nie zlecała.

– Ale! Gość to sobie dokładnie przemyślał, możesz być pewna. Odwali brudną robotę cudzymi rękami. – Jens skrzywił się z niesmakiem. – Wybrał najlepsze rozwiązanie. Poborcy mają akurat tyle umiejętności, żeby sobie poradzić z odebraniem książki, a przy tym na tyle mało wiedzy, żeby się nie zorientować, ile jest warta. Zwykle nie znają się na takich sprawach – wyjaśnił. – Ktoś, kto przeszedł szkolenie maga, nie będzie zniżał się do pracy komornika. Nasz sympatyczny staruszek może spokojnie założyć, że w Urzędzie, przynajmniej wśród Poborców, nie trafi na takich, którzy mają jakieś pojęcie o magii zaawansowanej albo znają się na przedmiotach magicznych.

– Ty się znasz, a nie jesteś chyba magiem – zauważyła przytomnie rusałka.

– Byłem, zanim trafiłem do Urzędu.

– To z tego można zrezygnować? – zdziwiła się Monika.

– Mnie to akurat wywalili i wykreślili z rejestru – mruknął niechętnie. Nie lubił o tym mówić, ale miał poważne obawy, że gdyby nic jej nie wyjaśnił, to przy najbliższej okazji oplotłaby go siecią ze zwyczajnej ciekawości. Była wyjątkowo dociekliwa. – Mówiłem ci przecież, że trochę nabroiłem.

– Duże było to „trochę” – skwitowała z ironią. Stanowczym gestem zabrała mu mapę, na której szukał właściwej ulicy. – Tulipanowa jest tu – poinformowała go tonem, jaki zazwyczaj rezerwuje się do rozmów z małymi dziećmi. – Dom pewnie będzie czuć z daleka.



Miała rację. Ten właściwy wyczuli, zanim jeszcze go zobaczyli.

– Mają oczko wodne w ogrodzie – ucieszyła się Monika. – A w nim wodnika.

– Powie im, że koło domu pęta się rusałka?

– Żartujesz – oburzyła się. – Wodne plemię trzyma się razem.

– Wodniki to szczone stworzenia. – Jens nie był przekonany. Jak na kogoś, kto od niedawna dopiero zdaje sobie sprawę z tego, kim jest, wykazywała zaskakującą pewność co do zwyczajów i zasad swoich pobratymców. Uznał jednak, że lepiej będzie tę uwagę zachować dla siebie, a przynajmniej na stosowniejszą okazję. – Jeśli dobrze mu u pracodawców, to sprzeda braci i siostry za kępę trzciny.

– Nie sprzeda – powiedziała Monika z tą samą niewzruszoną pewnością. – To bardzo małe oczko. Nawet żab w nim nie ma.

– Ale nam też nie pomoże? – zapytał. Może faktycznie nie tylko odrobiła pracę domową, przeczytała co trzeba, przeprowadziła stosowny *research*, ale jeszcze znalazła czas, by nawiązać jakieś kontakty ze swoimi. W końcu za rękę jej cały czas nie trzymał.

– Niesolidni pracownicy nie znajdują zatrudnienia.

– Tak, wiem, szaleje bezrobocie. – Pokiwał głową. Ciągłe go zaskakiwała tym swoim praktycznym podejściem do rzeczywistości. No bo czy ktoś słyszał o pragmatycznej pannie z bagien? Jednak niewątpliwie miała rację. – Kiedyś to magowie na głowie stawali, żeby ściągnąć jakiegoś wodnika do swojego stawu, a teraz... Lepiej nie mówić.

Doszli już prawie do właściwego płotu. Domek był biały, piętrowy, zadbane. Balkon tonął w kwiatach. Na eleganckiej żelaznej bramie wisiała zwyczajna tabliczka z napisem UWAGA ZŁY PIES.

– Myślisz, że naprawdę mają psa?

Jens zajrzał przez szparę między prętami. Wzdrygnął się nerwowo.

– Rotweilera. Wielkie czarne bydlę. Idźmy stąd, zanim go wyprowadzimy z równowagi.

Przeszli kawałek i zatrzymali się na drugim końcu ulicy.

– Nie powiesz mi, że to będzie w gruncie rzeczy banalnie proste? – Monika usiadła na murku, który kiedyś w przyszłości miał się stać ogrodzeniem eleganckiej rezydencji. Chwilowo zamiast rezydencji leżał stos cegieł. Mieli stąd widok na przeciwną stronę ulicy i białą połówkę bliźniaka.

– Nie będzie proste. – Jens wyszperał z kieszeni gumę do żucia. Bardzo

go irytowało, że nie może palić. – Będzie w ogóle beznadziejne, ale przysługa za przysługę, trzeba tę cholerną książkę zdobyć. Urząd nie może mieć zobowiązań.

– To właściwie moja wina – westchnęła za skrucłą Monika.

– Gdzie tam twoja. Warszawa się machnęła, nie sprawdzili cię, tylko od razu kazali zarejestrować jako maga, więc kiedy wszystko się wydało, rzucili się ratować swoje grzędy. Za taką pomyłkę mogliby polecieć ze stanowisk. Gdyby wyszło na jaw, że wchodzi w układy z magami, też by polecieci.

– Mało kryształowy ten nasz Urząd – stwierdziła Monika melancholijnie.

– Żaden inny nie jest lepszy. Wszędzie to samo. – Jens wzruszył ramionami. Z idealizmem skończył, kiedy miał siedem lat i poszedł do szkoły. – Nie ma co filozofować, tylko trzeba pomyśleć, jak zdobyć tę książkę. I jak przejść obok tego monstrum.

Rusalka pokiwała głową ze zrozumieniem.

Rzeczone monstrum właśnie skoczyło do bramy, basowo obszczekując pudelka, który akurat zażywał spaceru w towarzystwie swojej leciwej właścicielki. Tych dwoje z pewnością nie miało wątpliwości co do tego, że pies, strzegący posesji, jest naprawdę zły. Starsza pani teatralnym gestem chwyciła się za serce, a pudełek skulił się przerażony, zostawiając na chodniku niewielką kałużę.

– Mogłabym spróbować go zauroczyć – zaproponowała Monika. – Ogródek pewnie jest czysty, ze względu na sąsiadów.

– Ale drzwi i okna na parterze raczej nie. Jak użyjemy magii, to nas wyczują.

– Gdyby jakoś przekonać ich sąsiadów, żeby nas wpuścili na swój balkon... – Monika w zadumie przyglądała się bliźniaczym domkom i wspólnej balustradzie balkonów na piętrze.

– To jest świetny pomysł! Lubisz koty?

– Lubię, a co to ma do...

Zanim dokończyła, Jens zaczął się kurczyć i zmieniać kształt. Po chwili był zadowolonym z siebie, rudym kocurem. Wypreżył się ostentacyjnie i

przebiegł przez ulicę, prawie wpadając pod przejeżdżający samochód. Monika rzuciła się za nim, nie musiała nawet udawać przerażenia. Kompletny wariat! Jeszcze coś mu się stanie, a tego z pewnością nie zniosłaby spokojnie!

– Jens, wracaj natychmiast!

Zdawał się jej nie słyszeć. Przepisnął się pomiędzy sztachetami płotu ogradzającego sąsiednią posesję, wspiał się na rosnącą przed domem brzozę, przeskoczył z niej na balkon i wygodnie ułożył się na balustradzie.

Monika dopadła ogrodzenia. W głębi dostrzegła mężczyznę, koszącego trawę.

– Halo, proszę pana! – wrzasnęła, przekrzykując kosiarkę. – Proszę pana, kot mi uciekł do państwa ogródka! O, tam siedzi, widzi pan? Ja go muszę stamtąd zabrać, przecież tam obok jest taki straszny pies, jak mój kotek go zobaczy, to jeszcze ze strachu wejdzie na dach i jak ja go wtedy ściągnę?

Nie plotła sieci, bo mieszkańcy sąsiedniego domu mogliby coś zauważyć, ale na szczęście gospodarz okazał się sympatyczny i życzliwy. Sam zresztą miał kota, którego regularnie poszukiwał w ogródkach sąsiadów, i w przerażonej Monice widział bratnią duszę. Od razu zaprowadził ją na balkon.

Na ich widok Jens zastrzygł uszami.

– Chodź koteczku, kici kici... – Monika, podeszła do balustrady. – Dobry Jens, kochany, chodź do pani.

Jens podniósł się dostojnie i przeskoczył na sąsiedni balkon. Natychmiast rozległo się wściekłe szczekanie rotweilera. Kot zjeżył się i miauknął dramatycznie. Monika, niemalże ze łzami w oczach, przelazła przez balustradę.

– Ty potworze, zostaw mojego Jensa – krzyknęła i porwała kota na rękę.

W tym momencie otworzyły się drzwi balkonowe i wyjrzała zza nich zdumiona właścicielka tej części bliźniaka. Uprzejmy sąsiad zajął się wyjaśnianiem sytuacji, tuląca zwierzaka Monika dołączyła z



przeprosinami. Tę chwilę wybrał sobie Jens, by wyrwać się z ramion rusałki. Smyrgnął między nogami pani domu i wpadł do mieszkania. Monika prawie wybuchnęła płaczem. Wyglądała na tak głęboko zrozpaczoną, że gospodyni, tyleż oszołomiona, co wzruszona, pozwoliła dziewczynie wejść i złapać niesfornego ulubieńca, który, jak zapewniała Monika, do utraty zmysłów przerażony był potworem, grasującym w ogródku.

Kiedy już obie były w pokoju, gdzieś w głębi domu rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Właścicielka oniemiała, a potem rzuciła na Monikę zaklęcie znieruchomienia i wyszła z pokoju, mrużąc coś o tym, że rzuci tego wstrętneho zwierzaka Brutusowi na pożarcie.

Chociaż zaklęcie przeznaczone było na zwykłoczątkę, potrwało chwilę, zanim Monika odtajała. Jak tylko odzyskała zdolność ruchu, zaczęła cichutko, palcami jednej dłoni, pleść sieć. Wyjrzała ostrożnie na korytarz. Pusto. Po czarownicy ani śladu. Pewnie pobiegła ocenić rozmiar szkód. Monika wyszła na paluszkach. Mijała właśnie uchylone drzwi łazienki, kiedy usłyszała pluśnięcie. Przez kran wylewał się wodnik. Zaraz zyskał ludzki kształt przystojnego blondyna o intensywnie niebieskich oczach.

– Szukam mojego kota – szepnęła rusałka.

Kształt człowieka zafalował i zmienił się w kota. Ślicznego, szarego. Dziewczyna pochyliła się i podrapała go za uszami.

– Przykro mi, ale przywiązałam się do tamtego – powiedziała, nie podnosząc głosu.

Wodnik przybrał swoją właściwą formę. W brzydkiej, niekształtnej, osłizłej głowie błyszczały przepiękne błękitne oczy. Wzruszył kościstymi ramionami, wciąż patrząc na Monikę z nietajonym zainteresowaniem.

– To wcale nie jest kot – syknął.

– Wiem.

Na parterze coś runęło, robiąc potworny hałas. Drzwi obok łazienki otworzyły się z impetem.

– Niby mam się uczyć, a w takich warunkach jak wy to sobie wyobrażacie?! – wrzasnął na całe gardło skołtuniony przedstawiciel

współczesnej młodzieży.

Monika natychmiast zarzuciła na niego sieć.

– Stracę posadę – zmartwił się wodnik. – A bezrobocie szaleje.

– Może nie będzie aż tak źle – pocieszyła go rusalka. – Musimy tylko uzyskać Spłatę i wynosimy się stąd.

– Jesteście z Urzędu Skarbowego? – zabulgotał zaskoczony. – Odkąd rusalki tam pracują?

– Bezrobocie szaleje – przypomniała Monika.

Wodnik pokiwał głową i popatrzył na nią z jeszcze większą sympatią. Nie ma to jak rusalka, one zawsze człowieka... to jest wodnika, rozumieją.

– Dobrze płacą? – zainteresował się konfidencjonalnie.

– Da się wyżyć. – Dziewczyna wepchnęła oplątanego siecią młodzieńca do pokoju. – Ucz się – poleciła i starannie zamknęła za nim drzwi.

Oceniła sieć. Miejsca wystarczy na jeszcze dwie osoby, może nawet na trzy, jeśli zdąży trochę dopleść.

– To gdzie jest mój kot? – zapytała.

– Na dole. Tłucze się z gospodarzami. Sąsiedzi już wzywają policję.

Rusalka zbiegła schodami na dół. W holu natknęła się na gospodarza, nieźle już posiniaczonego przez zaklęcia. Zarzuciła na niego sieć i uwiązała do wieszaka na ubrania. W salonie leżała pani domu opleciona jakimś magicznym zielskiem, a wymęczony Jens w porwanym garniturze raczył się zawartością barku.

– Bardziej to wygląda na nalot mafii niż na wizytę Urzędu Skarbowego – oceniła Monika, oglądając porozbijane meble. Widok żywego i zdrowego Jensa natychmiast ją uspokoił. – Wodnik mówi, że sąsiedzi już wezwali policję. Gdzie ta książka?

Jens spojrzał na nią, jakby dopiero sobie przypomniał, po co tu przyszli.

– Cholera, zapomniałem spytać.

Rusalka pochyliła się nad gospodynią. Kobieta miała wprawdzie otwarte oczy, ale nie wyglądała na zdolną do rozmowy. Z kącika na w pół otwartych ust ciekła jej ślina. Monika westchnęła cicho i zajrzała

do holu. Gospodarz powoli wyplątywał się z sieci, udało mu się nawet zrobić kilka kroków w głąb mieszkania. Zarzuciła sieć drugi raz. Podwójnie omotany, prawie zupełnie stracił kontakt z rzeczywistością. Patrzył tylko na Monikę z absolutnym uwielbieniem. Potrząsnęła nim.

– Gdzie książka z zaklęciami?! Gadaj, ale już!

Uśmiechając się nieprzytomnie, machnął ręką. Monika westchnęła ponownie; gdyby miała kierować się tym gestem, równie dobrze mogliby zacząć poszukiwania na księżycu.

– Gdzie jest książka z zaklęciami? – ponowiła pytanie, tym razem wyraźnie akcentując każdą sylabę. Mężczyzna zamrugał niepewnie i wciąż z tym samym rozanielonym uśmiechem ruszył w kierunku okna. Z każdym krokiem oglądał się, żeby sprawdzić, czy Monika idzie za nim. Szła. Wreszcie, wyraźnie szczęśliwy, że może spełnić życzenie rusałki, puknął palcem w szybę.

– Tam. – Wskazał wędzarnię, wybudowaną w kącie ogródka. Na ulicy zawyły syreny policyjne. Monika wyjrzała przez okno i zarzuciła resztkę sieci na psa. Tylko tego brakowało, żeby gliny zastrzeliły biednego bydłaczka. Ogłuszony urokiem pies przestał być zły.

Jens z niejakim żalem rozstał się z butelką, ale nie było już czasu na leczenie nadszarpniętych nerwów. Przez wybudowany z tyłu domu taras wyszli do ogródka. Słysząc było policjantów, kotłujących się przy bramie. Była wyjątkowo solidna.

Poborcy obejrzeliby dokładnie wędzarnię. Jens na wszelki wypadek sięgnął ręką do komina. Osmalił sobie zniszczony rękaw, ale w środku nic nie znalazł. Z ulicy dobiegł ich odgłos pękającego metalu, policjanci sforsowali bramę...

– Szukaj książki – ponagliła Monika. – Ja się nimi zajmę.

– Masz tyle sieci?

– Rusałki to nie tylko sieci i uroki – rzuciła z wyższością. Podobał jej się błysk podziwu w jego oczach.

Jens zajął się uważnym badaniem każdego elementu konstrukcji. Za jego plecami Monika zaczęła coś nucić pod nosem, poruszając się w takt muzyki, którą tylko ona słyszała. Nagle wszystko ucichło, czar Moniki

utworzył wokół nich magiczny wir wiatru i czasu. Teren w promieniu może metra od wędzarni zamknięty został w czymś w rodzaju oka cyklonu. Poza czarodziejską barierą widać było policjantów, wchodzących i wychodzących z domu, rozglądających się po ogródku, przepytujących sąsiadów. Wszystko robili nadzwyczaj powoli.

Jens zaczął rozmontowywać palenisko.

– Nawet nie użyli magii, zbudowali najwykleszy schowek – oznajmił z goryczą, wyciągając spod kraty metalową skrzynię. W środku była książka. Zabral ją, a do skrytki włożył weksel z adnotacją ZAPŁACONE.

Monika wyciągnęła do niego dłoń.

– Będziemy musieli się stąd wytańczyć. Jeśli przerwę, to nas zobaczą. – Kiwnęła na Jensa palcem.

– Mam płaszać jak jakiś przyglup na uroczysku w czasie pełni? – Odsunąłby się od niej jak najdalej, ale plecami trafił na wędzarnię.

– Znasz lepszy sposób? – Wyciągnięte ramię, tak jak i cała Monika, poruszało się w rytm niesłyszalnej muzyki. – Właściciele już dochodzą do siebie, lada chwila sieć na psie pęknie. Będziemy sterczeć przy tej wędzarni do końca świata? Nie dam rady tak długo!

– Nie umiem tańczyć z rusałkami – zaprotestował Niemiec.

– Tego nie trzeba umieć. – Złapała go za rękę.

W tej samej chwili usłyszał melodię, dziwną, niezemską. Zanim się zorientował, już podrygiwał w korowodzie prowadzonym przez Monikę. Wyjątkowo krótki był to korowód, tylko rusałka, on i wodnik z oczka wodnego, który nie mógł sobie odmówić płasów. Tańcząc, szli przed siebie, prowadzeni przez pannę z bagien. Świat wokoło zlewał się w jedną barwną plamę, nie było ani domu, ani ogródka, ani psa, ani policjantów, ani ulicy. Nie było nawet czasu.

Kiedy Monika w końcu się zatrzymała, okazało się, że siedzą pod płotem ogrodu botanicznego, Jens spojrzął na zegarek. Korowód trwał godzinę.

– Trochę czasochłonna metoda – stwierdził. – Normalnie, piechotą, zajęłoby nam to niecały kwadrans. Wolnym krokiem.

Wodnik westchnął z rozmarzeniem w błękitnych oczach. Wspominał

tańce, jakie kiedyś bywały. Najwspanialszy korowód trwał miesiąc, a było w nim w sumie ponad trzystu tancerzy, samych rusałek z pięćdziesiąt. Paru zwykłoczłków, którzy zaplątali się pomiędzy świętujących, ledwo to przeżyło.

Monika odebrała Jensowi magiczną księgę. Nawet nie protestował, sposób, w jaki wydostali się z posesji, był nie tylko czasochłonny, ale i męczący. Obejrzała ją uważnie. Wolumin był bogato ozdobiony szlachetnymi kamieniami. Jeden z nich obrócił się nagle, jakby był żywym okiem.

– Czego? – zapytała księga.

– Pokaż mi swoje tajemnice – poprosiła Monika.

Księga zaśmiała się szeleszcząco.

– Rusałce?! Za dużo wymagasz.

– Jestem magiem. – Monika wyciągnęła z kieszeni odznakę Poborcy. Spod okładki wyjęła metalową płytkę wielkości wizytówki, na której lśniącymi literami, w starożytnym języku, wypisano słowo MAG.

– Co za czasy nastały – westchnęła księga. – Skoro tak, to nie mam przed tobą tajemnic, ale żeby mnie otworzyć, trzeba dwóch magów.

Monika uważnie obejrzała zamek spinający okładki – sporej wielkości diament, w którym wyżłobiono dwie wąskie, pionowe rysy. Odwróciła się do Jensa.

– Masz jeszcze swoją kartę maga?

Wzruszył ramionami.

– Mam. Na pamiątkę dawnych dni, ale nic ci z niej nie przyjdzie. Jest już nieważna.

– Tak jak karta martwego maga – prychnęła Monika. Logika miała być ponoć domeną mężczyzn. – Myślisz, że nasz czarujący staruszek dopuściłby kogoś do swojego skarbu?

Jens pogrzebał chwilę w kieszeni i wręczył jej kawałek metalu. Był pordzewiały, a litery zmatowiały. Monika wsunęła obie karty krawędziami w diament. Zamek puścił. Pochylili się oboje nad księgą.

Kartki były pośliznięte i zupełnie puste. Monika przewracała je ostrożnie jedną po drugiej. Wreszcie trafiła na odrysowane na dwóch stronach

kontury dłoni. Spojrzeli sobie w oczy.

– Nie wiem, czy to nie podpada pod defraudację mienia powierzonego – mruknął Jens nieco niepewnie. Im dłużej przebywał w towarzystwie Moniki, tym bardziej był przekonany, że nie chce więcej żadnych kłopotów, a myśl o kolejnym przeniesieniu budzi w nim coraz głębszą niechęć.

– Nie defraudujemy. To samoobrona – stwierdziła stanowczo rusalka, przerywając mu kontemplowanie uroków okolicy. – Przecież on chce nas zabić, jak tylko dorwie się do księgi. I wcale nie jestem pewna, czy wcześniej będzie na tyle na niej skupiony, żebym zdążyła rzucić sieć.

Znowu musiał jej przyznać rację. Położył dłoń w miejscu wyznaczonym przez jeden kontur. Monika ułożyła swoją na sąsiedniej stronie.



Czekający w hipermarkecie mag zaczynał się poważnie niepokoić. Iluż jego kolegów po fachu przyszło tu dziś na zakupy! Gdzie się obejrzał, widział znajome twarze. Oni też go poznawali i pozdrawiali uprzejmie.

Jens i Monika zajrzeli przez przeszklone wejście do środka.

– Kto by pomyślał, że jedno małe zakłęcie wywoła taki *Kaufsucht*. – Niemiec przyglądał się magom, miotającym się między sklepami galerii.

– Mieli głowy ci starożytni – dodała z podziwem Monika. – Czas oddać naszemu drogiemu klientowi jego Spłatę. Gotowy?

Przykucnęła i pogłaskała brązowego spaniela, który grzecznie siedział u jej stóp. Pies popatrzył na nią pięknymi, błękitnymi oczami. Można by wręcz przysiąc, że uśmiecha się szelmowsko. Wodnik jakoś nie bardzo chciał wracać do swojego oczka wodnego, mimo szalejącego bezrobocia. Zresztą jego posada dość gwałtownie stała się jakby mniej pewna, a towarzystwo panny z bagien pozostawało niezmiennie kuszące. Teraz, w psiej postaci, miał się stać kluczowym elementem planu Poborców. Jens wyciągnął aparat i wycelował go w maga. Monika podała księgę spanielowi, który ostrożnie zacisnął na niej zęby.

Psiak wbiegł do galerii. Ochroniarze, oplątani przez rusałkę cienką siecią, nawet go nie zauważyli. Zauważyli za to wszyscy magowie, właściwie nie tyle samego psa, a bardziej to, co miał w pysku. Wodnik-spaniel pobiegł prosto do ławeczki, wskoczył na nią zgrabnie i upuścił księgę prosto na kolana siedzącego tam maga. Nie czekając, aż starszy pan ochłonie z zaskoczenia, pies zwał ze sklepu prosto w ramiona Moniki, a w spokojnej galerii rozpętało się coś na kształt piekła. Albo przynajmniej średnich rozmiarów apokalipsy.

Wszyscy ochroniarze rzucili się pacyfikować kłębowisko na ławeczce. Klienci rzucili się do ucieczki, przynajmniej w znakomitej większości, mniejszość, korzystając z zamieszania, rzuciła się na pozostawione bez dozoru towary. Obsługa rzuciła się do telefonów, wzywać policję, straż pożarną i pogotowie. Tylko Poborcy i towarzyszący im wodnik zachowali spokój. Rusałka pogłaskała spaniela, wzięła Jensa pod rękę i wszyscy troje spokojnym spacerkiem udali się w stronę Lubelskiego Oddziału Urzędu Skarbowego (tego DRUGIEGO Urzędu Skarbowego).



W drzwiach oddziału spotkali Baśkę, która mrugnęła do nich porozumiewawczo.

– Coś nas Warszawa coraz częściej odwiedza – powiedziała konfidencjonalnie. – Tylko patrzeć, jak sprowadzą się tu na stałe.

Już w recepcji czekał na nich Łukasz. Towarzyszył mu Piotrek. Najwyraźniej i jemu dały do myślenia częste odwiedziny zwierzchników, bo ostrzygł włosy na przyzwoitego jeża, a i koszulę założył w elegancki prążek, zamiast dotychczasowej w prząsną kratę.

– No ładnie. – Na widok Moniki i Jensa Łukasz wykonał niezadowoloną minę numer pięć. – Co wyście narobili?

– My? – Jens uniósł brwi w wyrazie uprzejmego zdziwienia. Nawiązana jakiś czas temu nić antypatii była już w zasadzie całkiem mocną linką. Łukasz zmierzył Niemca wrogim spojrzeniem.

– No a kto wywołał rozruchy w sklepie? Że już o włamaniu i rozboju

nie wspomnę.

– Ależ wspomnij – zachęcił go Jens z kpiącym uśmiechem. – Może jeszcze wspomnij o tym, że absolutnie z własnej woli i oczywiście wbrew twoim poleceniom poszliśmy załatwiać jakieś ciemne sprawy maga...

– Który, tak na marginesie, planował nas zabić – dodała uprzejmie Monika. – Nawet się z tym nie krył, miał to wypisane na wierzchu umysłu.

– Potem poszliśmy po tę przeklętą książkę – ciągnął Jens tym samym tonem. – I stawaliśmy na głowie, żeby zlikwidować zobowiązania Urzędu wobec magów, a to wszystko dlatego, bo ty, nieszczęsna kreaturo, musiałeś ratować swój tyłek po tym, jak Monika bezczelnie zataiła, że jest rusalką i jeszcze zmusiła cię do zarejestrowania jej jako maga. Rzeczywiście, co myśmy narobili?

Łukasz nerwowo poprawił kołnierzyk.

– Po co się od razu denerwować – zaczął ugodowo. – Taka tam mała awantura wybuchła.

– My się nie denerwujemy – stwierdziła pogodnie Monika. – Nie mamy czym.

– Nie macie czym – powtórzył z goryczą Łukasz. – Bardzo się cieszę, że nie macie czym. Czy ja już wspominałem, że jestem najszczęśliwszy, jak jesteście daleko, daleko ode mnie?

– Mało ci do szczęścia potrzeba – zauważył Jens. – Może byś w takim razie rzadziej nas odwiedzał? Zobaczysz, że od razu lepiej się poczujesz.

– Nie irytujcie mnie jeszcze bardziej. Wiecie, jakie będę miał kłopoty przez to zamieszanie w hipermarkecie?!

Jens wyjął z kieszeni aparat.

– Tu masz dokumentację fotograficzną. Najwyżej kogoś zaszantażujesz.

– Niezły pomysł. – Łukasz obejrzał aparat z zainteresowaniem. – Ale dalej uważam, że powinniście chwilowo na dłużej zejść z oczu nie tylko mnie, ale też magom.

– Mamy jeszcze podatki do odebrania. – Monika wyciągnęła z plecaka plik pomiętych wezwań.

Łukasz wziął je od niej, przejrzał i oddał z powrotem tylko jedną



kartkę.

– Tym się zajmiecie – zdecydował. – Zanim to załatwicie, to wszyscy zapomną o tej awanturze.

## Rozdział 4

**M**ijał czwarty dzień, odkąd pojawili się nad jeziorem, a nawet nie zobaczyli płatnika na oczy. Rozbili mały namiocik na skraju kempingu, tuż obok podmokłej łąki. Starczyło w nim miejsca akurat na dwie osoby i wodnika. Wokoło obozowiska unosiła się mgiełka środków owadobójczych, rozpylanych obficie przez Monikę.

Wodnik Ślipiak kąpał się w jeziorze, a po zmierzchu wracał do wypełnionego wodą wiadra ustawionego w przedsionku namiotu. Jens złapał kilka żab, które wieczorami rechotały razem z wodnikiem i Ślipiak był zachwycony. Tylko trochę narzekał, że po muchy dla swoich współlokatorek musi chodzić dziesięć metrów dalej, bo koło biwaku nawet jedna się nie uchowała. Monika przywiozła magnetofon i w kółko puszczała piosenkę o pannie z bagien, co nie ma lat i jest wolna jak marzenia. Późno w nocy zamieniała magnetofon na discmana, wkładała słuchawki na uszy i szła na łąkę tańczyć. Za nią biegł Ślipiak, jego żaby i wszelkie żywiny poukrywane wokoło jeziora. Wszystkie oprócz płatnika, od którego mieli odebrać Podatek.

Sum mieszkał w jeziorze co najmniej od trzystu lat. Gdyby nie był rybą, można by go było określić mianem szcwanego lisa. Od mniej więcej stu lat między nim a Urzędem krążyła obfita korespondencja, dotycząca ulg, odroczeń spłaty, umorzeń i prognozy skarbowego. Jak na rybę świetnie sobie radził z językiem urzędowym i wszystkimi możliwymi kruczkami prawnymi. Po wielu bataliach Urząd postawił wreszcie na swoim i zażądał spłaty zaległych Podatków z okresu stu dwóch lat wraz z odsetkami. W tak zwanym międzyczasie płatnik odwołał się do paru sądów, oskarżył Urząd o nękanie i uzyskał zakaz wstępu Poborców na teren jeziora. W toku było pięć spraw sądowych z

powództwa podatnika i trzy z powództwa Urzędu. Trybunał do Spraw Niezwykłych miał ciężki orzech do zgryzienia, a Urząd zorganizował warty Poborców nad jeziorem. Sum napisał szósty pozew.

Trzymanie warty połączone z nękaniami psychicznymi niesolidnego płatnika (polecenie było dopisane w aktach czerwonym flamastrem i trzykrotnie podkreślone) było całkiem przyjemnym zajęciem. Jens łowił ryby, pokazywał im odznakę Poborcy i wpuszczał je z powrotem do jeziora. Monika robiła z wezwań do zapłaty łódzki i puszczała je na wodę. Wodnik zbierał kamyczki i puszczał kaczki przez całą długość akwenu.

Piątej nocy Jensa jak zwykle obudził chlupot wody w wiadrze, do którego wracali zmęczeni tańcami Ślipiak i żaby. Niemiec przewrócił się na drugi bok. Zazwyczaj zaraz za wodnikiem do namiotu wciskała się Monika i trwało chwilę, zanim uporała się ze śpiworem i ułożyła wygodnie. Dopiero wtedy Jens ponownie zapadał w sen. Jednak tym razem Monika jakoś nie wracała. Eksmag wyrzwał z namiotu. Rusałki nie było nigdzie widać, ale na środku podmokłej łąki płonęło ognisko. Strzelające w niebo płomienie miały dziwną, zielonkawą barwę. Jens poczuł wzbierający niepokój. Teoretycznie nic tutaj Monice nie groziło, ale, jak wiadomo, często teoria ma się nijak do praktyki. Niewiele myśląc, wygramolił się z namiotu i ruszył przez łąkę. Dopiero kiedy był tuż przy ognisku, zobaczył Monikę. Najwyraźniej czuła się doskonale, uśmiechnęła się do niego na powitanie. Pomysł, że coś mogło jej grozić, wydał się teraz Jensowi co najmniej niepoważny. Uspokojony, a zarazem nieco zakłopotany, Niemiec zaczął przyglądać się ognisku. Ogień nie dawał ani światła, ani ciepła. Jens, zaciekawiony, zbliżył twarz do płomienia tak, że gdyby to było zwyczajne ognisko, musiałby się pożegnać z brwiami, brodą i kawałkiem skóry.

– Błędny ogień – wyjaśniła uprzejmie rusałka. – Nie grzeje, nie oświetla, tylko zwodzi.

Mężczyzna wyciągnął dłoń.

– Ostrożnie – ostrzegła Monika.

Nie usłuchał jej i wsadził rękę w płomienie. To było dziwne uczucie.

Paralizujące. Chłód i odrętwienie ogarnęły całe jego ciało. Wszystko przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Zatracał się. Zapadał w otchłań zimnego ogniska.

Ocknął się, gdy Monika klepała go po policzkach.

– Czy ja cię przypadkiem nie ostrzegęłam? – zapytała z kwaśną miną.

– To było... – Złapał się za głowę. Potwornie bolała.

– To były błędne ognie! – niemal wyskandowała. – Czy to wszystkiego przypadkiem nie wyjaśnia?

Ognisko było już najzwyczajniejszym na świecie ogniskiem, czerwonym i gorącym. Obok leżała buteleczka ze środkiem odstraszającym insekty. Zawieszona w powietrzu wskazywała, że Monika nie pożałowała sobie ulubionego specyfiku.

– Czy taki spray nie jest przypadkiem łatwopalny? – zainteresował się Jens.

– Pewnie, że jest. A myślałeś, że dlaczego paliłam błędny ogień, zamiast polać parę patyczków benzyną?

Usiadła wygodniej i zapatrzyła się w płomienie.

– Wiesz, że nawet mi się tu podoba? – powiedziała nagle, a z wyrazu jej twarzy można było wnioskować, że dla niej samej ta myśl jest zaskoczeniem. – A zawsze kempingów nie znosiłam. Nawet telewizji mi nie brakuje. No, może trochę.

– Brazylijskich telenowel?

Rusałka popukała się w czoło.

– Za kogo ty mnie masz? Brakuje mi „Liberatora”. A zwłaszcza „Liberatora 2”. – Westchnęła tęsknie. – No i jeszcze niemieckich seriali o lekarzach. Kto inny potrafi przeszczepić serce pod znieczuleniem z akupunktury? Tylko doktor Bruckner.

– To kompletna fikcja – stwierdził Jens ciut zgorszony jej upodobaniami.

– Przecież wiem. Świat nie jest aż taki szalony. Trochę szkoda.

– I ty to mówisz?! – zdziwił się. – Trzy miesiące temu żyłaś sobie jak zwykłocządek, w uporządkowanej, zwyczajnej rzeczywistości, potem zostałaś Poborcą, okazałaś się rusałką, a teraz sterczysz i pilnujesz suma

ze skłonnościami do pieniactwa sądowego. I to nie jest, twoim zdaniem, szalony świat?

– Teraz to jest moja codzienność – stwierdziła rzeczowo Monika. – Trochę mi to ogranicza wyobraźnię. O czym marzyć, skoro ten fantastyczny świat stał się zwyczajnym?

– Ciekawa perspektywa. I trochę, a właściwie mocno pesymistyczna. – Jens popatrzył na uroczy profil panny z bagien, która, jako pierwsza chyba w historii świata, była bez wątpienia pragmatyczna.

– Moja, niestety. – Rusalka pokiwała w zadumie głową. – Nie marzyłeś nigdy o czarach, magii, tajemnicach, żeby być jak Henio Potter?

– Jak byłem dzieckiem, to nie było Heńka Pottera. – Uśmiechnął się lekko.

– Jak ja byłem dzieckiem, to też go nie było. Ale przecież wiesz, o co chodzi.

– No wiem. – Wyciągnął z kieszeni kurtki papierosa, popatrzył na niego i skrzywiwszy się, wrzucił do ogniska. – Chciałem być lekarzem. Jak już byłem lekarzem, to chciałem być chirurgiem plastycznym. Ale zanim mi się udało, okazało się, że mam potencjał i zamiast upiększać skalpelem kobiety, zacząłem się uczyć, jak to robić przy pomocy czarów. A potem... Potem już tylko marzyłem o tym, żeby ten cały koszmar nie skończył się tak źle, jak mógł. Właściwie to moje marzenie się spełniło.

– Nie powiesz mi, dlaczego cię wykreślili?

Pokręcił głową.

– W takim razie ja też ci nie powiem – zdecydowała Monika.

– O czym? – zdziwił się.

Rusalka wzruszyła ramionami.

– Tajemnica. Moja.

Być może przekomarzaliby się dalej, ale nagle usłyszeli warkot silników i na kemping po drugiej stronie podmokłej łąki wjechało kilka samochodów. Wysypało się z nich kilkunastu łysych chłopaków w eleganckich dresach.

– Tylko takich tu brakowało – mruknął Jens, nie kryjąc niechęci. – A tak było miło i spokojnie.

Monika uśmiechnęła się nagle, najwyraźniej tknięta jakąś myślą. Wstała.

– Co ty masz zamiar zrobić? – zainteresował się Jens.

Położyła palec na ustach.

– Ciii – szepnęła. – Nic nie mów i patrz.

Podniosła magnetofon, który jak zawsze miała pod ręką, podkręciła gałkę głośności do końca i włączyła „play”.

– *Polne kwiaty we włosy wplótnł Ci wiatr* – ryknęło z głośników.

Łysi, zdeorientowani, podnieśli głowy. Na polanie zapłonęły małe ogniki, niedające ani światła, ani ciepła. Rusałka uniosła ramiona i zaczęła tańczyć. Jej stopy prawie nie dotykały ziemi. Przewracając w pośpiechu wiaderko, z namiotu wybiegł wodnik, a za nim wyskoczyły żaby. Ruszyli za Moniką, dając początek korowodowi. Tańczyli między zdumionymi chłopakami, z których każdy najpierw wytrzeszczał oczy na rusałkę i jej świętę, a potem, ciągnięty pierwotną, nieodpartą siłą, dołączał do nich. Po chwili wszyscy już szli za Moniką, kilkunastu roślących młodzianów z ogolonymi głowami, podskakujących jak baletnice, machających ramionami jakby próbowali wzlecieć w powietrze. Byłoby to śmieszne, gdyby nie było takie piękne. Blask błędnych ogników nadawał łące odrealniony wygląd, tancerze pełni byli rozmarzonego skupienia, a pozornie bezładne i komiczne ruchy układały się w najpiękniejszy układ choreograficzny świata. Każdy zawodowy tancerz strzeliłby sobie w łeb po obejrzeniu takiego widowiska.

Monika tańczyła na czele korowodu, do którego stopniowo dołączali coraz to nowi uczestnicy. Pojawiło się jeszcze kilku wodników, jakies duszki, strachy, licha. Zmieszali się z ludźmi, połączeni melodią i tańcem. Rusałka przetańczyła przez całą łąkę i skierowała się na jezioro. Unosiła się kilka centymetrów nad powierzchnią wody, każdy ruch jej bosych stóp odbijał się w roziskrzonej światłem księżycy tafli. Tancerze podążyli za nią, wkraczając na niewidoczną ścieżkę, którą jej kroki wyznaczyły w powietrzu. Tańczyli nad wodą, opleceni nierzeczywistym blaskiem. Dotarli do drugiego brzegu i z wdziękiem zawrócili. Monika

zeskoczyła na trawę tuż obok Jensa. Zaraz dołączyli do nich Ślipiak i żaby.

– Już koniec... – Wodnik posmutniał.

– Będzie następny – obiecała Monika.

Ruchem ręki zgasiła ogień i okropnie ziewając, wróciła do namiotu. Po chwili już spała.



Z samego rana odwiedził ich Piotrek. Rozejrzył się tęsknie po kempingu, na którym o tej porze panowały spokój i cisza, westchnął na widok kajaczków, trochę się skrzywił, gdy z namiotu wyrzwał Ślipiak, a za nim jego żaby.

– Nie żebym się czepiała – ziewnęła Monika, moszcząc się na leżaku i owijając kocem – ale jest siódma trzydzieści. Rano. Bardzo byś był nieszczęśliwy, gdybyś nas obudził jakąś godzinkę później?

– Nie słyszałaś o normowanym czasie pracy? – Piotrek usiadł na składanym zydelku.

– Godziny pracy? Tutaj? – Jens spojrział na niego z politowaniem. – To kemping, a nie Manhattan.

– Wy tu sobie siedzicie...

– Na wyraźne polecenie zwierzchnika – wszedł mu w słowo Jens.

– ...a w Urzędzie rozpętało się istne piekło – ciągnął Piotrek, udając, że nie dosłyszał tej uwagi. – Magowie mają do nas pretensje, zarząd ma pretensje, możliwe, że Łukasz poleci ze stanowiska.

– Straszliwa strata – prychnął eksmag.

– Trochę mi go szkoda – powiedziała Monika z odcieniem lekkiego smuteczku w głosie.

– Niby dlaczego?

– Bo mam dobre serce – ucięła. – Przyjechałeś tu tylko po to, żebyśmy pozałowali Łukasza? – zapytała Piotrką.

– Nie, to tak przy okazji. Mam odebrać faktury.

Ślipiak bez słowa zniknął na chwilę w namiocie, wrócił i nadal milcząc,

wręczył Piotrkowi rachunki. Po czym z westchnieniem zadowolenia zmienił się w szarego kota i ułożył wygodnie Monice na kolanach. Żaby poskakały trochę wokoło, a potem oddaliły się w stronę łąki i pożywienia. Piotrek obejrzał faktury.

– Wydaliście sześćset złotych na środki owadobójcze? – zapytał z niedowierzaniem.

– Monika ma duży przerób. Jak myślisz, skąd ten opar nad namiotem? Piotrek wstał i powęszył chwilę. Kiedy opadł na zydelek, był zielony na twarzy.

– Jeszcze się nie podusiliście?

– Człowiek się do wszystkiego przystosuje – westchnął filozoficznie Jens. – Ale wspomagamy nasze drogi oddechowe stosownym czarem.

– Mnie to nie zaszkodzi?

– Krótkie przebywanie nie powinno. Poza tym, teraz jest tu względnie czysta atmosfera. Monika jeszcze dzisiaj nie zaczęła psikać.

– Zaraz zacznę. – Rusalka wyciągnęła spray spod leżaka. – Jakieś muszki już latają.

Piotrek profilaktycznie odsunął się od niej na bezpieczną, jego zdaniem, odległość.

– Po pierwsze, faktury – powiedział, chowając dokumentację do teczki.

– Po drugie, nieźle wam tu idzie, ale nie wiem, czy nie będziecie musieli się stąd wynieść. Dzisiaj rano wpłynęły na was trzy skargi. Urząd was stąd nie zabierze, a już na pewno nie po dobroci, ale jak znam tę rybę, to jeszcze dziś wyśle pozwы i możliwe, że Sąd zakaże wam zbliżania się do jeziora.

– Na co się skarży? – zaciekała się Monika. Nawet ją to bawiło.

Piotrek wyciągnął z teczki plik kartek.

– Terroryzujecie mieszkańców jeziora, nadużywacie uprawnień, zaśmiecacie jezioro, nękacie go psychicznie i fizycznie nieustannym hałasem powodowanym przez kamienie, odbijające się od powierzchni wody, a wczoraj urządziliście zjazd przestępców, zakłócaliście ciszę nocną, wtargnęliście na teren jeziora. Oprócz tego deprawujecie okoliczne żywiny.



– Ależ my jesteśmy szkodliwi – zdumiała się Monika obłudnie.

– Zakładając, że sąd nas stąd wyrzuci, to ile jeszcze mamy czasu? – zainteresował się Jens.

– Dwa, trzy dni.

Eksmag spojrział z zastanowieniem na jezioro.

– To będą ciekawe dni – powiedział z jakimś dziwnym wyrazem twarzy.

Monika poszeptała coś Ślipiakowi do ucha. Kot pobiegł do namiotu. Po kilku sekundach wrócił już w swej normalnej postaci, w wyciągniętej dłoni niosąc puszkę. Monika oderwała od konserwy etykietę.

– Szprotki w oleju – powiedziała, pokazując im obrazek. – Co ten Urząd Skarbowy robi z ludźmi. – Westchnęła, obracając papierek w dłoniach. – Staję się co najmniej wredna, a może i okrutna. – Położyła karteluszek na dłoni, przykryła go drugą, wypowiedziała kilka formuł, w których Jens natychmiast rozpoznał zaklęcie z prastarej księgi. Monika zademonstrowała im etykietkę. – *Voilà!* Sum w oleju.

Pod wizerunkiem ściśniętej ryby widniał napis „Czy już zapłaciłeś Podatek? Płacenie Podatku zapewnia ochronę prawną w przypadku Schwytania”.

– Za to sąd was skaże – oznajmił ze zgrozą Piotrek.

– A kto udowodni, że to my? – Monika zrobiła minę niewiniątka.

– Tej magii nikt nie skojarzy z Poborcami. – Jens wziął od niej etykietę i jednym zaklęciem powielił ją stukrotnie. – Więc jedyną osobą, która wie, kto za tym stoi, jesteś ty.

Piotrek podjął męską decyzję.

– To dla dobra Urzędu – powiedział stanowczo, poniekąd przekonując też i siebie. – Ta przeklęta ryba już od stu lat gra nam na nosie. Trzeba ratować honor Poborców.

Jens cisnął etykiety w powietrze. Wzleciały w górę, a potem, jakby obciążone kamieniami, powpadały do jeziora, idąc od razu na dno.

Monika ziewnęła, przeciągnęła się i rozejrzała po okolicy.

– Moi chłopcy wracają – powiedziała z radosnym ożywieniem.

Do swoich samochodów, porzuconych po drugiej stronie łączki,

wracali dresiarze. Byli wymęczeni, ciężko dyszeli i ślaniai się na nogach. Jeden przewrócił się na maskę i tak już pozostał.

– Przydadzą się. – Monika wyciągnęła przed siebie ręce i szybko, palcami obu dłoni, zaczęła pleść sieć. – Moi chłopcy będą łowić sumy – oznajmiła, wstając z leżaka.

– A wieczorem będziemy tańczyć! – Ślipiak w radosnych podskokach okrążył Monikę.

– Nie tylko my. – Rusałce zaświeciły oczy. – Wieczorem zatańczą wszyscy, moi chłopcy, wszyscy z kempingu, wszystkie żywiny. Całe jezioro będzie tańczyć.

Wodnik westchnął, a w jego błękitnych oczach pojawiło się rozmarzenie. Cokolwiek by nie mówić, decyzja o zmianie posady była chyba najlepszą, jaką podjął w życiu. Popatrzył na rusałkę z uwielbieniem. Piotrek poderwał się z zydelka.

– Ja już muszę iść – oznajmił stanowczo. Był absolutnie pewien, że nie chce wiedzieć, co knuje ta trójka, a już na pewno nie chce tego widzieć.

– Wydusimy podatek od tego suma – obiecał mu na pożegnanie Jens. – To kwestia ambicjonalna.

Monika uśmiechnęła się tylko i poszła rzucać sieci. Piotrek zaś czym prędzej wyteleportował się z kempingu.



Kilkunastu dresiarzy zgodnie chrapało na pomościku. Wszyscy spali na siedząco, dzierżąc w dłoniach prowizoryczne wędki, zrobione z kijków i sznurka. Monika opalała się na kocu i zza różowych okularów pilnowała, żeby żaden z łysych nie wypuścił wędziska. W zasięgu miała spray owadobójczy, całkiem niepotrzebnie zresztą, bo zawieszina utrzymująca się w powietrzu wygoniła z okolicy wszystkie insekty. O dziwo, nie szkodziła kwiatom wpiętym we włosy rusałki. Roślinki jakoś się przystosowały. Ślipiak, znowu w postaci kota, wygrzewał się obok, wystawiając pyszczek do słońca. Myśl o nocnym korowodzie sprawiała, że mruczał z zadowolenia. Żaby schowały się w wiadrze z wodą i tylko

co jakiś czas z namiotu dobiegało ciche „kum, kum, rech, rech”, gdy ćwiczyły swoje solówki.

Jens jako jedyny nie pograżył się w błogim lenistwie. Wcześniej Monika wydarła mu z rąk swój magnetofon, stanowczo protestując przeciwko wszelkim próbom pozbawienia jej ulubionej zabawki. Jens był więc zmuszony udać się do najbliższego sklepu ze sprzętem RTV. Kupił tam małe radyjko i ustawivszy je na odbiór muzycznej stacji, zaczarował tak, żeby działało pod wodą, po czym, zadowolony z siebie, wrzucił do jeziora. Razem z bąbelkami powietrza z dna leciała teraz muzyka, zaś Jens spacerował nad brzegiem i mamrotał pod nosem jakieś zaklęcia.

Kiedy zaszło słońce, Monika przeciągnęła się i wstała z koca. Była gotowa. We włosy miała powplatanę polne kwiaty, na sobie – długą błękitną sukienkę. Jens klasnął w dłonie i wokół całego jeziora zapaliły się ogniska. Drżące płomienie odbijały się w wodzie.

Urlopowicze powychodzili z namiotów. Stawali nad brzegiem i pokazywali sobie palcami dziwne zjawisko. Monika rzuciła w niebo sieć, którą plotła przez cały dzień. Na tle rozgwieżdżonego nieba zamigotała cienka pajęczyna, która zaraz opadła, okrywając całe jezioro, wszystkich ludzi, wszystkie żywiny. Wszystko, nawet trzciny, zaczęło poruszać się jednym rytmem. Zaczął się korowód. Ludzie, wodniki, żaby, żywinki tańczyli, słuchając melodii splecionej przez rusałkę. Jens usiadł sobie wygodnie na końcu pomostu, obok postawił wanienkę dziecięcą. Zaopatrzyli się w nią specjalnie celem sprowadzenia negocjacji z krnąbrnym sumiskiem na bardziej odpowiedni grunt. Po chwili opętane tańcem ryby zaczęły wyskakiwać z wody. Mężczyzna chwycił je bez trudu, na każdej czynił znak cofający urok rusałki i wypuszczał. Wreszcie płąsy wygoniły poza bezpieczną toń i suma. Poborca zręcznie podstawził mu wanienkę, a zaklęcie pułapka zadziało bez pudła. Jens zaczerpnął wody z jeziora, w końcu nie chodziło o to, żeby nieznośną rybę udusić. Sum miotał się dziko w swoim więzieniu.

– Chcę tańczyć – jęczał. – Wypuście mnie, chcę tańczyć.

– Nie da rady. – Jens z nonszalancją zapalił papierosa, ale zaraz obejrzał

go uważnie i cisnął do wody. – Tylko dla porządných podatników. A ty zalegasz z płatnością za sto lat.

– Chcę tańczyć – powtórzył płacząco sum.

Eksmag sięgnął do kieszeni. Wyciągnął zalaminowany dokument.

– Właściwie to mógłbym cię wypuścić – zaczął tonem sugerującym, że nie do końca jest przekonany co do słuszności owego pomysłu. – Jak podpiszesz mi upoważnienie na pobranie zaległego Podatku.

Sum cisnął się wściekle raz i drugi, wychlapując przy tym większość wody z wanienki. Ale urok rusalki był silniejszy niż chęć zagrania na nosie urzędnikom. Poza tym w ciepłym powietrzu letniej nocy sumowi zaczął wysychać grzbiet. Niechętnie nakreślił wężem lśniący znak na podsunętym przez Poborcę dokumencie. Magiczny podpis natychmiast wtopił się w laminat. Jens z miną kota, który właśnie opił się śmietany, cofnął zakłęcie więzące rybę w waniencie i nie czekając nawet, aż ta wróci do korowodu, wyteleportował się do warszawskiej Centrali. Tam obudził chrapiącego dyżurnego i niedbałym gestem wręczył mu upoważnienie. Dyżurny prawie spadł z krzesła. Natychmiast wezwał cysterne.

Pół godziny później Jens składał namiot i pakował rzeczy. Kiedy Monika skończy tańce, wszystko będzie gotowe do wyjazdu. Na brzegu nurkowie wchodziłi do jeziora w poszukiwaniu źródła mocy. Cysterna czekała na Podatek.

## Rozdział 5

**W**czesnym rankiem Jens siedział w eleganckim, ascetycznym holu oddziału lubelskiego i czytał gazetę. Monika spała z głową opartą na jego ramieniu. Kolorowe kwiaty wpięte w jej włosy powoli więdły. Na kolanach rusałki spał, wykończony tak samo jak i ona, Ślipiak. Spały nawet żaby Ślipiaka, które ten uparł się zabrać ze sobą razem z wiaderkiem. Kiedy skończył się korowód, Monika chwiała się na nogach, wodnik był półprzytomny, a ludzie z kempingów zasypiali w miejscu, w którym się zatrzymali i tam też padali twarzami w błoto. Wokół jeziora rozlegało się melodyjne chrapanie. Tylko Jens był w dobrej formie. Na tyle dobrej, by przeteleportować całe towarzystwo do macierzystego Urzędu.

Do poczekalni wszedł Łukasz. Nie tylko był nieogolony, ale nawet zapuścił bródkę a la młoda koza. W ciągu tych kilku dni, kiedy go nie widzieli, schudł ładnych parę kilo, zmizerniał i stracił gdzieś swój image młodego yuppie. Rozparł się w fotelu naprzeciwko Jensa. Na stoliku postawił dwa kubki z kawą.

– Przeżyłem oczyszczenie duchowe – oznajmił, wyciągając z kieszeni piersiówkę. Hojnie zaprawił swoją kawę alkoholem. – Już mnie nic nie ruszy.

Jens przyglądał mu się z twarzą zastygłą w wyrazie uprzejmego zainteresowania. W taki sam sposób, w jaki patrzyłby na świętego Mikołaja, który nagle oznajmia, że przechodzi na dietę, zmienia płęć i jedzie uprawiać marychę w środkowej Afryce. Kompletnie ogłuszony.

– Musiałem coś zrobić ze swoim życiem – wyjaśniał Łukasz w taki sposób z kolei, że nietrudno było zgadnąć, iż wyjaśnień tych udziela każdemu, kto akurat zechce posłuchać. – Inaczej skończyłbym u

czubków, jak dziadek. Albo na szczycie, jak moi kumple z liceum. – Westchnął ciężko. – Tak czy siak, nie byłoby ze mną dobrze. A tak, luzik totalny, koleś. – Wypił duszkiem kawę. – Nie wiem, co z wami zrobić – dodał szczerze. – Nieźle załatwiliście tego suma, ale wraca sprawa książki. Wcale nie przycichła. Okazało się, że to był jakiś super ważny zbiór zaklęć albo praw czy przepisów magicznych. Każdy mag dałby sobie za niego coś uciąć. I do tego ten zbiór im w tym całym zamieszaniu zaginął. Prawie od tego zwariowali. Ale wczoraj, wyobraźcie sobie, to sumisko zdążyło napisać jeszcze jeden pozew. Dołączyło etykietkę. Sąd powołał jakiegoś eksperta i nie zgadniecie, co on powiedział. Papierek zaczarowano zaklęciem bardzo rzadkiego typu, a do tego wyjątkowo starym. Takich zaklęć używali starożytni, a jak wszyscy wiemy, wiedza starożytnych to potęga. Ci wariaci, rzecz jasna, dodali jeden do jednego i wyszło im dwa. Cała banda magów przeszukuje teraz jezioro. Gdyby nie oczyszczenie duchowe, jakie przeszedłem, posłałbym was tam w cholerę, żeby was rozerwali na strzępy, bo już i tak narobiliście dość kłopotów. Ale po wewnętrznej przemianie jestem nowym człowiekiem, który z pewnością tego nie zrobi. Pracujcie sobie dalej i uważajcie na siebie. Ciao! – Nie czekając nawet na odpowiedź, warszawiak wyteleportował się z fotela. Z niejakim zmieszaniem Jens pomyślał, że ten nowy, wewnętrznie przemieniony Łukasz nie jest nawet taki zły. Nie mógł się zdecydować, czy ta myśl go cieszy, czy nie.

– Powiesz, że to wszystko moja wina? – Monika otworzyła oczy i stłumiła ziewnięcie.

– Nie mam nawet zamiaru zastanawiać się, czyja to wina – zapewnił ją Niemiec. – Mamy masę większych problemów. Bardziej mnie interesuje, jak unikniemy bandy magów. Prędzej czy później nas dopadną, a wtedy rzeczywiście mogą nas rozerwać na strzępy.

Ślipiak otworzył jedno błękitne oko.

– Usuniecie świadków – mruknął. – W filmach zawsze tak robią.

Monika zmarszczyła czoło.

– Pomysł trochę niemoralny, ale obiektywnie niezły – stwierdziła. –

Tylko że przecież nie będziemy nikogo mordować.

– Nie trzeba od razu mordować, wystarczy usunąć pamięć – skorygował Jens, pomysł wodnika wyraźnie padł na podatny grunt.

– Nie odtworzą im jej? – Miała jeszcze wątpliwości, ale już w jej oczach pojawił się błysk zdecydowania, jak zawsze, gdy przychodziło do konkretnych działań.

– Użyjemy starożytnych zaklęć, twoich uroków i czego jeszcze się da. Wyjdzie mieszanka wybuchowa. – Niemiec uśmiechnął się złośliwie. Nie ufał magom. Więcej nawet. Jakoś ich, psiakrew, nie lubił.

Monika sięgnęła po firmowy papier i ołówek.

– Ten mag, to raz. Plus mag, czarownica i subkulturowiec z Tulipanowej to już razem cztery. Trzeba sprawdzić, czy w hipermarkecie nie sfilmowały nas jakieś kamery. I musimy uważać na magów. Łatwo nie będzie – stwierdziła tonem, z którego jasno wynikało, że bynajmniej jej to nie martwi.

– Dzisiaj hipermarket, jutro mag, pojutrze Tulipanowa, weekend będziemy mieli wolny – zarządził Jens. – Tylko musimy gdzieś ulokować te żaby.



Żabom spodobała się wanna Moniki. Radośnie pluskały się w wodzie, ochlapując zielone kafelki. Zieleń na poły z błękitem były dominującymi barwami w niewielkim mieszkanku rusałki. Jedną ścianę pokoju zdobiły wymalowane na szmaragdowym tle kolorowe kwiaty. Dywan był błękitny, kanapa zielona. Meble wyraźnie zostały przemalowane na bardziej stosowny kolor.

– Jakoś mnie ostatnio wzięło – wyjaśniła Monika nieproszone, wypychając plecaki w kąt. – Nie mogłam znieść białych ścian. Doprowadzały mnie do szału.

Ślipiak usadowił się na środku stołu (zielonego w nierówne niebieskie pasy) i rozejrzał z zachwytem.

– Jak tu domowo.

– Od razu widać, że tu mieszka rusalka – stwierdził Jens. Nie potrafił wyjaśnić dlaczego, ale i on w mieszkaniu Moniki poczuł się jak u siebie.  
– Ładnie tu – pochwalił.

Monika zajrzała do lodówki, na której drzwiach wymalowano staw z liśćmi lilii wodnych.

– W kwestii śniadania, to mam pastę z tuńczyka i pieczywo niskokaloryczne. Nie wiem, co damy żabom. Much sobie nie nałapią, bo w oknach mam zamontowane siatki.

– Bardzo dobrze – wybełkotał Ślipiak, zajęty wyzeraniem płatków śniadaniowych z pudełka. – Są za grube. Powinny przejść na dietę. Ledwo sobie wodnika znalazły, a już się roztyły. A ja muszę dbać o *image*. Z takimi purchawami nikt mnie nie może zobaczyć.

Monika zamarła przy otwartych drzwiach lodówki.

– A ja myślałam, że żaby mają proste życie – zdumiała się.



Kilka minut po otwarciu hipermarket zaczynał wypełniać się ludźmi. Monika i Jens nie wmieszali się w tłum, bo tłumy jeszcze nie było. Stanęli na środku galerii i w miarę dyskretnie starali się obejrzeć sufit.

Oboje byli w okularach przeciwsłonecznych, Jens miał klasyczne czarne, rusalka różowe. Z uwagi na zadanie, jakie mieli wykonać, Monika ograniczyła się do maleńkiej stokrotki, niemalże niewidocznej wśród brązowych pukli. Za to eksmag wyglądał, jakby obejrzał o jeden film o agentach za dużo. Stanowił jedyną absolutnie czarną plamę w kolorowym wnętrzu. Ślipiak zakamuflował się w szumiącej dyskretnie fontannie.

Jens spokojnym krokiem ruszył w stronę koszyków. Monika z udanym zainteresowaniem obejrzała wystawę jubilera, zerknęła na witrynę sklepu z meblami i zupełnie przypadkiem znalazła się tuż przy schodach prowadzących do biur.

W tym samym momencie na sali zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Koszyki nagle zaczęły się ruszać, zrywać łańcuszki, którymi były



szczerzone, i w szybkim tempie przemieszczać się po sklepie. Spomiędzy półek rozległy się krzyki potrąconych klientów. Ochroniarze rzucili się na ratunek.

Jens oparł się o barierkę i obserwował to wszystko z ciekawością przypadkowego widza. Zaś Monika, korzystając z tego, że nikt na nią nie patrzy, wbiegła po schodach do biur. Dzięki eleganckim mosiężnym tabliczkom na drzwiach szybko znalazła właściwe, wślizgnęła się do środka i spojrzała na półki pełne kaset wideo. Przez chwilę miała poczucie, że trochę ją wszystko przerosło, ale szybko wzięła się w garść i zaczęła recytować formuły. W ciągu dziesięciu minut zawartość wszystkich kaset wyparowała. Rusałka wyszła z pomieszczenia, cichutko zamknęła za sobą drzwi i straciła grunt pod nogami.



Jensowi niewiele brakowało, by dostać rozbieżnego zeza. Jednym okiem patrzył na salę, a drugim zerkał, czy Monika nie wraca. Kiedy ją w końcu zobaczył, osłupiał tak, że wózki, pozbawione nagle woli, która nimi kierowała, rozsypały się na kawałki.

Monika wracała, ale nie sama. Prowadziło ją dwóch roślących, krótko ostrzyżonych typów, którzy wyglądali, jakby obejrzeni jeszcze więcej filmów o agentach niż on sam. Ponadto słowo „prowadziło” było nieprecyzyjnym określeniem, ponieważ miłośnicy kina szpiegowskiego trzymali rusałkę pod ramiona tak, że jej stopy znajdowały się kilka centymetrów nad podłogą. Na twarzy Moniki malował się wyraz całkowitego osłupienia.

Jens już niemal zrobił krok w ich stronę, ale w tej samej chwili zauważył pozostałych. Po galerii kręciło się ze dwudziestu takich ostrzyżonych i w ciemnych garniturach. Poza Jensem nikt nie zwracał na nich większej uwagi. Niemiec bez namysłu złapał za kark Ślipiaka, który rzucał się na ratunek rusałce i wepchnął go z powrotem do fontanny. Puścił go dopiero, kiedy ostatni typek w garniturze zniknął w wejściu na parking.

Wściekły wodnik wypluł sztuczne wodorosty.

– Co ty robisz?! – prychnął. – Trzeba ją ratować.

– Przecież wiem. – Eksmag, nie bawiąc się w zbędne dyskusje, wyciągnął go z wody i wepchnął pod połę kurtki. – Ale było ich za dużo. Poza tym, to nie zwykłoludzie.

– A kto? – sapnął zduszony Ślipiak, daleko bardziej zmartwiony niebezpieczeństwem grożącym Monice niż własną niewygodą.

– Nie wiem. Może magowie. – Jens schował się za wieszakiem z płaszczami i wyteleportował do mieszkania Moniki.

Jakoś dziwnie było wśród tych błękitnozielonych ścian bez rusalki. Jens wyciągnął z kieszeni komórkę i zadzwonił do Łukasza. A potem pozostało mu tylko siedzieć i czekać. Nie lubił tego.



Filmy sensacyjne z reguły pokazują dokładnie to, co zdaniem scenarzysty przyciągnie publiczność, i zgodnie z tą zasadą zachowują się ekranowi faceci w czarnych garniturach i ostrzyżeni na jeża. Przynajmniej tak zawsze myślała Monika. Teraz zmuszona była przyznać, że albo scenarzyści wcale nie wysysają wszystkiego z palca, albo ci konkretni ostrzyżeni faceci w czarnych garniturach uczyli się fachu z filmów.

Gdy tylko wyprowadzili ją z hipermarketu, jeden z nich psiknął rusałce w twarz czymś, co przypominało jej ulubiony spray owadobójczy. Potem już nic nie pamiętała.

Ocknęła się w zupełnie obcym miejscu, co, zważywszy ostatnie wydarzenia, nie było dla niej zaskoczeniem. Po czymś takim zdziwiłaby się, budząc się w miejscu znajomym.

Znajdowała się w ogromnym pokoju. Podłoga była z betonu, ściany z cegieł, okna zabite deskami. Całość sprawiała wrażenie na wpół ukończonej. Rusałka chętnie by obejrzała to wszystko bliżej, ale trochę jej w tym przeszkadzały solidne sznury, którymi przywiązano ją do krzesła.

Gdzieś za ścianą rozległy się głosy. Monika nastawiła uszu. Słyszała tylko pojedyncze słowa.

– Ma licencję maga... – mówił ktoś. – Nikt o tym nie wspominał. Gdyby... inaczej. Trzeba... dalsze instrukcje.

Fakt, że porywacze mają z nią dodatkowe, nieprzewidziane problemy, sprawił Monice satysfakcję. Przyćmił też kiełkujący powoli strach. Zamiast się bać, rusałka wyteńczyła swój umysł, przez lata impregnowany produktami amerykańskiego kina akcji. Już po chwili przypomniała sobie, co robiły w takiej sytuacji nieszczęsne blond bohaterki więzione z reguły przez psychopatów. Po pierwsze, czekały na ratunek. Ta opcja wchodziłaby w grę tylko, jeśli Monika nadal byłaby nieprzytomna. Bezwolne czekanie, aż ktoś przyjdzie i wyciągnie ją z kłopotów, było czymś stanowczo wbrew jej naturze. Czasami jednak jasnowłose i urodziwe bohaterki próbowały wydostać się z więzienia samodzielnie. Rusałka wzięła z nich przykład i zajęła się łamaniem krzesła, tak żeby przynajmniej uwolnić dłonie.



Telefon zadzwonił po kilku godzinach. Jens zdążył do tego czasu wydeptać ścieżkę od fotela do drzwi wyjściowych i z powrotem. Ślipiak demonstrował swoje oburzenie, ostentacyjnie pozostając w wannie pod wodą. Żaby solidaryzowały się z nim w tym niemym proteście.

Kiedy wreszcie rozległ się dzwonek, Jens rzucił się do słuchawki, a wodnik wyskoczył z wanny.

– Stary, nie jest dobrze. – Niemal było słychać, jak Łukasz zaciąga się czymś, co mogło, ale nie musiało, być cygarem. – Wygląda na to, że to były Tajne Służby Magiczne. Zamieszanie, jakie wywołało wśród magów pojawienie się księgi, doprowadziło do czegoś w rodzaju bitwy, a kiedy wreszcie skończyli się tłuc, księgi nie było. Ktoś zawiadomił tajniaków.

– To oni zabrali Monikę?

– Może tak, może nie. Księga wywołała strasznie dużo emocji. Gdyby

nie to, że jestem skończenie wyluzowany, sam bym się może zainteresował – westchnął Łukasz. – A na Monikę możemy tylko czekać. Może ją wypuszczą, może ktoś się przyzna do porwania, może będą jakieś przecieki.

Jens wyłączył telefon. Przez chwilę jeszcze siedział w fotelu, wpatrzony w błękitną ścianę. Potem wyteleportował się tak szybko, że wodnik ledwie zdążył wskoczyć w zamykający się korytarz teleportacyjny.



Połamanie drewnianego krzesła wyglądało na dziecinnie proste, kiedy ów proces obserwowało się na kinowym ekranie. W życiu okazało się strasznie trudne. Rusałce udało się przewrócić na betonową podłogę i nabić sobie kilka siniaków, a nogi i oparcie krzesła wciąż pozostawały w jednym kawałku. Monika powoli dochodziła do wniosku, że filmowe dziewczyny spokojnie czekające na ratunek były tymi rozsądniejszymi. Mimo to upór i ponura świadomość, że nie ma co liczyć na żadnego Arnolda z armatą w rękach, sprawiały, że miotła się po podłodze jak krab z nietypową skorupą.



Elegancki starszy pan, który udał się na miły spacer jak zwykle z nieodłączną, stylową laseczką, został nagle złapany za rękaw marynarki i brutalnie wciągnięty w jedną z bram na Starym Mieście. Przez chwilę rozpaczliwie walczył o zachowanie równowagi, w czym wyraźnie pomagała laseczka. Spodziewał się ujrzeć kilku dresiarzy albo chociaż wygoloną głowę i parę nędznej jakości tatuaży, ale zamiast tego zobaczył wypielegnowaną bródkę i całkiem gęstą czuprynę malowniczo rozczochraną za pomocą żelu. Obie bardzo znajome. Staruszkowi zwężyły się oczka.

– Nie radzę – ostrzegł Jens, unosząc prawą dłoń na wysokość jego

twarży. Wokół palców kłębiła się tęczowa mgiełka, buchająca gorącym niczym kocioł parowy. Niedokończone zaklęcie syczało i kłębiło się, zamknięte w swoim wymiarze. – Żeby je dokończyć, wystarczy jeden ruch – przypomniał Poborca.

Staruszek rozluźnił napięte mięśnie. Był bardzo doświadczonym magiem. Wiedział, że nawet jeśli powstrzyma napastnika przed wykonaniem ostatniego gestu, pozbawione kontroli twórcy zaklęcie wyzwoli się samo, przybierając prawdopodobnie jedną z mniej ciekawych, ale za to bolesnych form.

– Czego chcesz? – zapytał z niechęcią.

– Najpierw odpowiedzi na parę pytań. – Jens zacisnął dłoń na klapie eleganckiej, chociaż trochę staromodnej marynarki maga. – Kto zabrał księgę?

– Nie wiem. Zniknęła w zamieszaniu. – Twarz starszego pana wykrzywiła się w niekontrolowanym grymasie złości. Fakt, że stracił księgę, musiał go naprawdę boleć.

– Kto mógł ją zabrać?

– Każdy! – prychnął z irytacją staruszek. – Było tam co najmniej kilkudziesięciu magów. A potem przyplątały się jeszcze Tajne Służby Magiczne! Każdy chciałby mieć księgę.

– Co w niej takiego szczególnego?

– Wszystko! Ogromna władza! Boska nietykalność! Wystarczy odpowiednia wiedza i doświadczenie, a wtedy można osiągnąć wiele...

– Dobra, wystarczy – przerwał mu Jens, te informacje nie były mu do niczego potrzebne. Nie miał ani wiedzy, ani doświadczenia. Nie podejrzewał też o nie Moniki. Z władzą miewał głównie kłopoty, a w absolutną nietykalność jakoś nie wierzył. Puścił marynarkę staruszka. – Czy ktokolwiek wie, skąd księga wzięła się w hipermarkecie?

– Nie ode mnie. Nie mogłem im przecież powiedzieć, jak było.

Jens pokiwał głową. Odsunął się o krok i wykonał ostatni gest, wypowiedział ostatnie słowo zaklęcia. Uwolniona magia spłynęła z jego dłoni. Staruszek zdążył jeszcze zasłonić się rękami. Typowy ludzki odruch, w tym przypadku bezsensowny. Czar przeniknął przez ramiona

a potem przez wszystkie ścieżki umysłu. Starszy pan zwał się na ziemię jak podcięte drzewo.

Poborca pochylił się i sprawdził tętno. Do bramy zajrzał dryblas w niebieskim dresie, o intensywnie błękitnych oczach, który dotychczas stał na warcie.

– No chyba go nie zabiłeś? – zapytał z wyrzutem.

– Pewnie że nie! – obruszył się Niemiec. – Po prostu trochę przedobrzyłem. – Wyprostował się i wyszedł na ulicę. Wodnik podążył za nim. – Wymazałem mu z głowy więcej niż zamierzałem. Ale nie sądzę, żeby mu to specjalnie zaszkodziło.

– Dalej nie wiemy, co z Moniką – martwił się Ślipiak. Za nimi wybuchło zamieszanie. Ktoś znalazł nieprzytomnego staruszka.

– Od niego byśmy się tego na pewno nie dowiedzieli. Nie mam pojęcia zresztą, od kogo moglibyśmy. – Jens westchnął. Też się martwił i nawet nie próbował tego ukrywać. – Na razie trzymajmy się planu, trzeba wymazać wszystkie ślady naszego kontaktu z księgą. Może to w jakiś sposób zmieni sytuację. Jeśli rzeczywiście o księgę tu chodzi. A kto wie, może trafimy na jakiś ślad?



Monika nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, zanim wreszcie krzesło zaczęło pękać. Kiedy w końcu uwolniła obie ręce, spojrzała na zegarek, ale niewiele jej to dało. Był w opłakanym stanie, jak i wszystko inne, co miała na sobie. Tarzanie się po cementowej podłodze nie było zalecaną formą konserwacji odzieży. Pod ścianą znalazła swój żakiet, cały, chociaż solidnie przykurzony. Portfel, puderniczka, dokumenty, odznaka Poborcy nadal były w kieszeniach. Brakowało tylko karty maga.

Skradając się na palcach, podeszła do okna i wyjrzała przez szparę w deskach, którymi było zabite. Zobaczyła siatkę ogradzającą teren, kawałek pustej łąki, ulicę i domki jednorodzinne. Z widocznego skrawka nieba wywnioskowała, że zbliża się burza.

Pokój, w którym ją trzymano, znajdował się na drugim piętrze domku

w budowie. Wysokość i solidnie przybite deski wykluczały opuszczenie go przez okno. Gęsta od magii atmosfera nie zachęcała do teleportacji. Pozostawała tylko droga schodami na parter.

Gdy tylko rusałka wyszła na korytarz, usłyszała stłumiony hałas, dobiegający z dołu. Opadła na kolana i podczołgała się do schodów. Ostrożnie wyjrzała zza ustawionego przy otworze stosu cegieł.

Tuż przy pierwszym stopniu leżał jeden z agentów, którzy ją porwali. Wyglądał na niezbyt żywego, a już na pewno ogłuszonego. Nad nim pochylał się mężczyzna, w ciemnych spodniach, marynarce i czerwonej, rozpiętej po szyję koszuli. Miał szerokie ramiona, a w jednej ręce trzymał coś, co przypominało pistolet albo rewolwer, Monika nie była pewna, na czym polega różnica między jednym a drugim. Bez większego trudu zidentyfikowała jedynie sporych rozmiarów tłumik. Właściciel broni nie wyglądał na Arnolda przybywającego na ratunek. Chociaż oczywiście, gdyby był Arnoldem przybywającym na ratunek, uprościłoby to sprawę. Na wszelki wypadek rusałka wychyliła się, żeby przyjrzeć się dokładniej. Ceglany pył posypał się na leżącego agenta.

Być-może-Arnold odruchowo spojrział w górę. Miał około trzydziestu lat, błękitne oczy, czarne włosy. Wyglądał trochę misiowato i trochę pocziwie, jak bohater filmów o włoskiej mafii. Niewiele myśląc, Monika chwyciła jedną z leżących obok cegieł i rzuciła mu na głowę. Trafiła bezbłędnie.

Bardzo powolutku zeszła na dół. Na wszelki wypadek wzięła ze sobą drugą cegłę. Była już prawie na pierwszym piętrze, kiedy nagle pojawił się kolejny agent, żywa kopia swojego niezbyt żywego kolegi. Niemalże wszedł na leżących i zamarł zaskoczony.

Znajdująca się na schodach tuż za jego plecami Monika nie czekała, aż wróg otrząśnie się ze zdziwienia. Przyłożyła mu cegłą. Zachwiał się, ale nie upadł. Spadły mu tylko ciemne okulary. Odwrócił się i spróbował ją złapać. Chybił jednak, najwyraźniej cios cegłą nie poszedł tak całkiem na marne. Ale Monika nie zdążyła nawet poczuć satysfakcji. Zdążyła natomiast zobaczyć jego twarz. I oczy. Dziwne w kształcie, kolorze, wyrazie. Strach, który dotąd nieledwie dawał o sobie znać, teraz rozlewał

się we wnętrzu rusałki razem z hemoglobina. Przerazenie dodało siły jej urokowi, kiedy udało jej się pochwycić spojrzenie napastnika.

– Tańcz! – rozkazała.

Przez chwilę jakby drgał w takt niesłyszalnej muzyki, jednak szybko wyzwał się spod działania czarów. Ale ta chwila wystarczyła. Monika rzuciła się w dół z ostatnich stopni. Wylądowała na kolanach, zupełnie przypadkiem unikając sięgających w jej stronę ramion. Chwyliła upuszczony przez mężczyznę w czerwonej koszuli pistolet, czy też może rewolwer, i wystrzeliła. Jakimś cudem udało jej się trafić. Agent rąbnął o podłogę.

Rusałka siedziała przez dłuższą chwilę, oddychała ciężko i powoli odzyskiwała zimną krew. Nieco bolały ją kolana. Strach w niej stopniał na tyle, by dopuścić do głosu zdolność logicznego myślenia wraz z wrodzonym pragmatyzmem. Skoro odgłos miotanych cegieł, tudzież padających ciał nie ściągnął nikogo do tej części domu, to znaczyło, że nie było nikogo na tyle blisko, by te hałasy usłyszeć. A to z kolei znaczyło, że chwilowo była bezpieczna. Chwilowo. A to oczywiście znaczyło, że nie może jeszcze być pewna końca kłopotów. Należało się zastanowić.

Monika rozejrzała się po pomieszczeniu. Schody na górę i na dół, dwoje drzwi, trzy zabite okna. Stół, a przy nim dwa krzesła. Na stole leżała jej karta maga. Zabrała ją i schowała do kieszeni.

Miała poważne obawy i przeczucia, że cała ta szopka ma coś wspólnego z księgą. Dla swojego własnego dobra nie powinna być z nią kojarzona. To wykluczało możliwość użycia większości znanych jej zaklęć, których nauczyła się właśnie z księgi. Uroki rusałek okazały się nieskuteczne. Skuteczny był pistolet. Albo rewolwer. Broń, którą wciąż trzymała w rękach, z pewnością nie była zwyczajna. Na jej lufie wyryto jakieś runy, a wystrzeliwane kule zostawiały za sobą smugę jasnego światła. Ale niewątpliwie była skuteczna, a to było ważne. I znacząco zwiększało szanse rusałki na wydostanie się z tej kabały.

Mężczyzna w czerwonej koszuli jęknął i poruszył się. Rusałka prawie podskoczyła ze zdenerwowania. A potem ostrożnie podeszła do niego.



Ściskany kurczowo pistolet dawał Monice dość realne poczucie bezpieczeństwa, ale raczej nie planowała ponownie korzystać ze zdobyczej broni. Dotychczasowe dokonania rusałki w zakresie stosowania przemocy i tak wykraczały daleko poza to, do czego, jak jeszcze niedawno uważała, była zdolna. No i należało uwzględnić fakt, że w przeciwieństwie do agentów, mężczyzna w czerwonej koszuli miał normalne, ludzkie oczy. Na wszelki wypadek spłótła wokół palców sieć. Zawsze mogła się przydać.

Rzekomy mafioso budził się powoli, trochę niechętnie. Wreszcie, po kilku minutach, spojrzął na nią zupełnie przytomnie. Uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Sorry. – Wyciągnęła z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych, wyjęła jedną i przykucnąwszy, wytarła mu krew z czoła. – Myślałam, że jesteś jednym z tamtych. – Ręka z zakrwawioną chusteczką zamarła w powietrzu. – A nie jesteś, prawda? – upewniła się Monika, spoglądając na niego podejrzliwie. Przecucia przecuciami, ale w końcu chyba nawet rusałka może się w tym względzie mylić.

– Nie jestem. – Usiadł z trudem, zabrał jej chusteczki i sam zajął się prowizorycznym opatrywaniem rany. I doprowadzaniem się do porządku. – Nie ma tu gdzieś kranu z zimną wodą?

– Przecież to budowa. Ale zaraz będzie padać.

– Świetnie. Może jeszcze będzie burza z piorunami?

– Będzie. – Monika zaczęła zastanawiać się, czy przypadkiem nie przyłożyła mu tą cegłą za mocno.

– Świetnie. To będzie i atmosfera.

Dłoń Moniki widocznie nie znała poglądów swojej właścicielki na kwestię nadużywania przemocy, bo bez wahania skierowała błyszczącą lufę broni wprost na gors czerwonej koszuli. Druga dłoń, wiedziona najwyraźniej tą samą myślą, zaczęła przesuwać po podłodze w poszukiwaniu cegły.

– Boję się wariatów – oznajmiła stanowczo rusałka. – I po przemyśleniu sprawy, chyba jednak wolę zostać tu sama z dziwadłami niż sama z dziwadłami i jeszcze szaleńcem na dodatek. Nie ruszaj się

przez chwilę. – Wymacała wreszcie cegłę. – Lekko ci przyłożę i zaraz sobie pójdę.

Rzekomy mafioso wyrwał jej z dłoni pistolet, zanim zdążyła zrobić cokolwiek. Cegła została kopniakiem odrzucona pod ścianę. Rusałka zamarła, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami i niedostrzegalnymi ruchami palców przygotowując pętlę. Pochwaliła się w duchu za przezorność i uplecioną sieć.

– Głupia dziewczyna. – Mężczyzna sprawdził pistolet. – Nie dałabyś sobie z nimi rady. Tacy jak oni takich jak my zwykłoczłków zjadają na śniadanie.

Palce rusałki znieruchomiały.

– Zwykło-co? – wyrwało jej się.

– Zwykłoczłek – powtórzył uprzejmie. – Człowiek niemagiczny. Pozbawiony zdolności czarodziejskich. W pewnym sensie normalny.

Monika zamrugała niepewnie, zaskoczona. Już od jakiegoś czasu nie myślała o sobie inaczej jak o pannie z bagien i wydawało jej się, że jest to co najmniej oczywiste. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że rzeczywiście, odkąd się tu znalazła, nie używała magii. Bała się zostawić ślady. Sieć, którą zarzuciła na dziwadło, już dawno się rozplynęła, a tę, którą plotła, mógłby wyczuć tylko ktoś o naprawdę dużych umiejętnościach. No i kto poza zwykłoczłkiem rzuca się na potwory z cegłą. Postanowiła nie wyprowadzać z błędu mężczyzny w czerwonej koszuli, w końcu nie wiedziała, jak by zareagował, gdyby dowiedział się o swojej pomyłce.

Rzekomy mafioso obejrzał ciała dwóch stworów, zajrzał ostrożnie do pomieszczeń za drzwiami i ruszył w stronę schodów prowadzących na dół.

– Wiem, że musisz trochę przestawić sobie sposób postrzegania rzeczywistości, ale zrobisz to później. Teraz musimy iść. – Złapał ją za rękę.

Monika natychmiast mu się wyrwała.

– Nigdzie nie idę, dopóki nie powiesz mi, kim jesteś.

Spojrzał na nią jak na dziecko, które przed wyjściem z supermarketu

domaga się jeszcze jednej tabliczki czekolady.

– Możesz mi mówić pan Sprawiedliwość.

– Chyba cię pogięło – prychnęła rusałka.

Westchnął ciężko.

– Taki mam pseudonim artystyczny. Idziesz czy nie?

Właściwie nie miała wyjścia. Cokolwiek by nie mówić, przypadkowy towarzysz, choć dziwaczny, stanowczo zwiększał jej szanse na wydostanie się z tej kabały cało. No i z bronią z pewnością radził sobie lepiej, co też nie było bez znaczenia. A w kwestii stosowania przemocy najwyraźniej nie miał żadnych oporów, najważniejsze zaś, że nie zamierzał stosować tej przemocy wobec dziewczyny. Monika skinęła twierdząco głową. Zeszli na dół. Rusałka odruchowo kryła się za szerokimi plecami swojego tymczasowego kompana, była to jednak zbyt duża ostrożność. Kilka nieruchomych kształtów było jedynym śladem, jaki pozostał po dziwadłach w garniturach agentów.

Kiedy wyszli na zewnątrz, właśnie zaczęło padać. Czarny samochód pana Sprawiedliwość stał na skraju zarośniętej łączki. Rusałka posłusznie zajęła miejsce po stronie pasażera. Zawsze tu była bezpieczniejsza niż na zewnątrz. Zerknęła na swojego towarzysza. Kiedy tak siedział i z poważną miną patrzył przed siebie, nie wyglądał wcale na oszołoma.

– Monika – zdecydowała się przedstawić. – Z tym panem Sprawiedliwość to tak serio?

– Serio – potwierdził tonem sugerującym, że nie jest to dobry temat do rozmowy.

Deszczyk szybko zmienił się w ulewę. Pan Sprawiedliwość oparł rękę na kierownicy i zajął się obserwowaniem domu, który opuścili. Monika wyciągnęła puderniczkę i zajęła się poprawianiem urody. Nic sieci, oplątana wokół przedramienia, była bezpiecznie ukryta pod rękawem zakietu. Na wszelki wypadek.

– Skąd się tam właściwie wzięłaś? – zapytał nagle.

– Złapali mnie i przywieźli. – Rusałka nie odrywała wzroku od swojego odbicia w lusterku. Kurz i pył utworzyły na jej twarzy malownicze smugi. Wcale nie wyglądała na zwykłą dziewczynę, raczej już na chorego

upiora. – Prosto z supermarketu.

Pan Sprawiedliwość nawet nie drgnął. Dalej wbijał spojrzenie w ścianę wody i ledwo widoczny zza niej kontur budynku. Kolejne pytanie zadał tym samym suchym tonem, jakby prowadził przesłuchanie.

– Nie wiesz dlaczego?

– Nie wyjaśniali. – Monika wzruszyła ramionami. – W każdym razie byli tym porządnie zdenerwowani.

Mężczyzna przestał wpatrywać się w posesję i przyjrzał się uważnie rusałce.

– Musiała być do ciebie bardzo podobna – powiedział bardziej do siebie niż do niej.

– Kto? – zainteresowała się obłudnie Monika.

– Nieważne. – Przekręcił kluczyk w stacyjce. – Gdzie cię odwieźć?

– Do centrum. – Monika schowała puderniczkę do kieszeni. – Żadnych wyjaśnień, tak? – Nie zareagował. – Jak na prawdziwym filmie sensacyjnym – westchnęła.

Przez całą drogę jej dziwny towarzysz milczał. Monika też się nie odzywała, za to bezczelnie gapiła się na kierowcę. Mógł mieć trochę mniej niż czterdzieści lat, zdecydowanie był w dobrej formie. Jego twarz miała pozornie poczciwy wyraz, ale nie ulegało wątpliwości, że w każdej chwili rysy mogą stwardnieć, oczy zokrutnieć. Dokładnie typ włoskiego mafioso, który bawi się z dziećmi na placu zabaw, a potem wyciąga broń i idzie rozwalić wszystkich, którzy mu podpadli.

Ramię owinięte siecią zaczynało swędzieć.

– Tu wysiądę.

Posłusznie zatrzymał samochód na początku Alej Racławickich.

– Dzięki – rzuciła rusałka, wysiadając. Nie odpowiedział.

Weszła pod daszek przystanku autobusowego i czekała, aż czarny samochód całkiem zniknie jej z oczu. Kiedy nie mogła go już dostrzec, nawet bardzo wytężając wzrok, wyszła na deszcz. Nie przeszkadzały jej zimne krople, padające obficie na włosy, twarz, ubranie. W końcu była rusałką. Miała ochotę tańczyć w rytm wody rozpryskującej się o szare chodniki. Ale tylko pogwizdywała „Deszczową piosenkę”, wytrząsając z

rękawa lśniące resztki zwiędłej sieci. Z daleka błyszczące skrawki wyglądały jak krople deszczu, w których reflektory przejeżdżających samochodów odbijały się całą tęczą barw.

Przeszła wzdłuż płotu, otaczającego jednostkę wojskową. Skręciła w lewo, oparła się plecami o drzewo i odczekała chwilę. Wokół nie było nikogo. Nieliczni ludzie, którym przyszło zmierzyć się z ulewą w tak zwanym szczerym polu, ukrywali się pod wiatami przystanków, balkonami, daszkami sklepów. Rusałka powoli okrążyła drzewo, znikając z tych killkunastu par ludzkich oczu, które mogły ją obserwować. A potem przeteleportowała się do domu.



Na murku, który w przyszłości miał się stać wykwintnym ogrodzeniem wykwintnej posiadłości, od dłuższego czasu mokli Jens i Ślipiak. Wodnikowi deszcz nie przeszkadzał, Poborca najchętniej odgrodziłby się od spadającej z nieba wody zaklęciem. Ale nie mógł. Potrzebował całej mocy, jaką mógł zebrać, na rozprawienie się z magiem i czarownicą z Tulipanowej. Po zniknięciu książki gospodarze wzmocnili bariery ochronne, o takim drobiazgu jak drugi rotweiler nie wspominając.

– Nie będzie łatwo – zaszepił się eksmag. W dłoni miał już dwa zaklęcia, jedno prawie gotowe do użycia.

– Może lepiej odłożyć to na kiedy indziej? – zaproponował Ślipiak. – Zbierzesz moc. Oni są naprawdę silni. Wiem, bo u nich pracowałem.

Jens pokręcił głową.

– Trzeba to załatwić teraz. Wokół księgi zrobiło się za dużo zamieszania. Nie byłoby dobrze, gdyby nas z nią kojarzono.

– Im szybciej będziemy mieli to z głowy, tym lepiej – rozległ się obok nich znajomy głos. Na murku siedziała Monika.

Ślipiak wydał okrzyk radości i rzucił się ją ścisnąć.

– Żaby powiedziały, że tu was znajdę – wyjaśniła rusałka, łagodnie uwalniając się z jego objęć. – Martwiły się o was.

– A my o ciebie – odpowiedział zaskoczony Jens, też się cieszył, choć

darował sobie podskoki. Stanowczo takie okazywanie radości nie było w jego stylu. Nie odmówił sobie jednak cmoknięcia dziewczyny w gładki policzek. Pachniała deszczem. – Gdzie byłaś? Kim byli ci w okularach?

Monika zerknęła na niego z całkiem ludzkim błyskiem w oku. Dokładniej, z całkiem kobiecym.

– Długa historia – stwierdziła oględnie. – Ale z pouczającym wnioskiem: lepiej, żeby nikt nas nie łączył z księgą. Za dużo dziwnych osób się nią interesuje.

Poborca spojrzął z powątpiewaniem na biały domek. Przez ten błysk w oczach rusałki jakoś się rozkojarzył.

– Nie będzie łatwo.

– Będzie bardzo łatwo. Wszystko sobie obmyślałam. – Rusałka wstała energicznie. Jens, nie wiedzieć dlaczego, pomyślał nagle o Walkiriach. Mógłby przysiąc, że słyszy szum łabędzich skrzydeł i dźwięki muzyki Wagnera. Zrobiło mu się jakby gorąco.

– Mówi ci coś określenie „kontrola z Urzędu Skarbowego”?

– Poznają was! – Ślipiak był pełen obaw.

Jens wzruszył pogardliwie ramionami. Obawa była ostatnią rzeczą, jaką mógłby w tej chwili poczuć. Odetchnął głęboko. Kontury jego ciała rozmyły się nagle, po chwili w tym samym miejscu stał niewysoki, łysiejący szatynek z brzuszkiem i grubymi szklami na nosie.

– Kontrola, powiadasz – wysapał. – Zmiana morficzna jest raczej męcząca. Nie dam rady przekształcić i ciebie.

– Nie musisz. Przynajmniej póki pada deszcz. – Rysy twarzy Moniki rozplynęły się, włosy urosły i zmieniły kolor. Rusałka stała się kompletnie przemoczoną, niebieskooką blondynką z nosem zaczerwienionym od kataru. Podniosła głowę i spojrzała na niebo. Na horyzoncie zaczynało się przejaśniać. – Będzie działać, póki nie wyschnę. – Wyciągnęła rękę i przejęła z palców Jensa mniejsze, niedokończone zakłęcie. W jej dłoni nabrało dzikiego, nieokiełzanego charakteru. – Idziemy.

Ślipiak schował się za murkiem i obserwował, jak przechodzą przez ulicę i dzwonią do furtki. Rotweilery rozszczękały się natychmiast i

zaczęły skakać na płot.

– Kto tam? – zaskrzeczał domofon.

– Kontrola z Urzędu Skarbowego – oznajmiła słodkim głosem Monika.

Jens pochylił się do głoścniczka.

– Tego DRUGIEGO Urzędu Skarbowego – dodał złowrogim szeptem.

Gospodyni wyjrzała przez okno. Potem wyszła do ogródka. Przez szpary w płocie obejrzała ich legitymacje. Minę miała raczej niepewną.

– Kontrola? – zdziwiła się, ale zamknęła psy i otworzyła furtkę.

– Mieliśmy pewne doniesienia – rzucił enigmatycznie Jens, wchodząc do środka.

– Anonimowe – dodała Monika, podążając za nim.

Gospodyni lekko się zaczerwieniła.

– Donos? Ktoś napisał na nas donos? Ależ takich spraw nie można brać poważnie.

– O tym my zadecydujemy – przypomniał z godnością Jens. – Małżonek jest w domu?

– Tak. – Uczyniła ruch, jakby chciała ich tam zaprowadzić, ale zatrzymała ją Monika.

– Co to jest? – zapytała, wskazując kamienny komin.

– Wędzarnia.

– Obejrzymy to bliżej – zadecydowała Monika. Deszcz właśnie przestał padać. – A kolega porozmawia z małżonkiem.

Jens pokiwał łysiejącą głową i wszedł do domu. Monika zbliżyła się do komina.

– To nie jest żaden obiekt kultu? – zapytała tonem surowej nauczycielki.

– Nie, to wędzarnia. – Gospodyni rzucała nerwowe spojrzenia na dom.

– Oczywiście muszę to oficjalnie sprawdzić. – Monika uśmiechnęła się chłodno. Czuła, że końce jej długich, jasnych włosów powoli zmieniają się w wodę i zaczynają spływać po żakiecie. Musiała się pospieszyć.

– Oczywiście – zgodziła się gospodyni z roztargnieniem, nawet na nią nie patrząc. Interesował ją wyłącznie dom i odbywająca się tam

pogawędka z jej mężem.

Monika, teoretycznie badając wędzarnię, zaczęła splatać zaklęcie, bardzo kunsztowne, wielostopniowe, oparte na maleńkim czarze przygotowanym przez Jensa. Gospodyni dopiero po dłuższej chwili zwróciła uwagę na kontrolerkę.

Zobaczyła jasne włosy spływające po ramionach Moniki, jakby były z gwałtownie topiącego się lodu. Rysy twarzy dziewczyny zaczynały rozmazywać się, jak farba zalana wodą.

– Co... – Nie zdążyła wykonać nawet najprostszego czaru, bo Monika rzuciła na nią zaklęcie. Kunsztowne, ale nieskomplikowane, mające tylko jeden cel.

Kobieta zamarła. Mrugnęła raz i drugi. W jej oczach były tylko niepewność i niezrozumienie. Monika zostawiła ją tam i podeszła do furtki. Z kieszeni wyciągnęła chusteczkę, wytarła twarz, przywracając jej zwyczajny wygląd.

Z domu wyszedł Jens. Jego ciało też powoli wracało do poprzedniej formy.

– Gotowe – oznajmił zadowolony. – Tylko dzieciaka nie ma.

– Trudno. Widział mnie tylko przez chwilę, a uganianie się za nim to za duże ryzyko.

Na ulicy rozległ się warkot samochodu. Rusałka i Poborca schowali się za pojemnikiem na śmieci. Zupełnie na wszelki wypadek. Obok domu powoli przejechało czarne auto. Za kierownicą siedział pan Sprawiedliwość.

– A niech to – szepnęła rusałka.

– Znasz go?

– Mniej więcej. To pan Sprawiedliwość.

– Kto?!

– Nie moja wina, że ma taki idiotyczny pseudonim. – Złapała Jensa za ramię i pociągnęła na drugą stronę ulicy. – Lepiej się stąd zmywajmy, zanim wróci.



## Rozdział 6

**P**oranek był dwa razy paskudniejszy niż poprzedni dzień. Wszyscy obudzili się z poczuciem niesprecyzowanego zagrożenia. Żadne z nich nie umiało określić, jakie to zagrożenie kładło się cieniem na ich egzystencji, ale czuli ten cień. Poprzedniego dnia prosto z Tulipanowej wyteleportowali się do kawalerki Moniki, gdzie przywitały ich stęsknione żaby. Zamówili pizzę i opowiedzieli sobie wszystko dokładnie. A potem, niestety, zaczęli wyciągać wnioski.

– Diabli wiedzą, co takiego jest w tej księdze, że wszyscy jej szukają. – Monika obejrzała stygnący na pizzy ser. – Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby chodziło tylko o parę zaklęć. Przecież one nie są aż takie niezwykle. Interesujące, owszem. Ale nie niezwykle.

– Skąd wiesz?

– Mam je przecież w głowie. Ty zresztą też.

– Mamy coś w głowach. To, co przekazała nam księga. To wcale nie musiały być tylko zaklęcia – powiedział Jens.

Monika prawie udławiła się pizzą.

– Teraz mi to mówisz?! A nie łaska było o tym wspomnieć, zanim położyłam dłoń na księdze?!

– Spokojnie, spokojnie. To wcale nie musi tak być. Po prostu staram się znaleźć jakiś powód, dla którego ta księga jest aż tak ważna. Nie uganiałoby się za nią wszyscy, gdyby chodziło tylko o zbiór starożytnych zaklęć. Nie aż tak. Tamten dziadek mówił coś wprawdzie o osiąganiu wszystkiego przy stosownej wiedzy i doświadczeniu, ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mniej w to wierzę. – Jens w zamyśleniu pocierał podbródek. Coś się w tym wszystkim nie zgadzało.

Rusałka pokiwała głową. Miała zupełnie podobne przemyślenia.

– Miejmy nadzieję, że nikt nas już z nią nie skojarzy. Inaczej będziemy mieli na głowie magów, Tajne Służby Magiczne, diabli wiedzą kogo jeszcze i Pana Sprawiedliwość na dodatek.

Przez kuchnię przeleciała ogromna, bzycząca mucha. Monika poderwała się z krzesła.

– Kto mi pozdejmował siatki z okien?! – krzyknęła, natychmiast zapominając o księdze i kłopotach, jakie się z nią wiązały.

– Nie denerwuj się. – Ślipiak wyłowił ze słoika kolejną marynowaną cebulkę. – Żaby się bały, że nie wrócimy z niebezpiecznej misji, i postanowiły zapewnić sobie prowiant na wszelki wypadek.

Jakby na potwierdzenie tych słów do kuchni zajrzała jedna z żab, mlasnęła językiem i po musze nie został nawet ślad. Mimo to Monika odmówiła dalszych pesymistycznych rozważań, dopóki siatka nie wróci na swoje miejsce. Jens dla świętego spokoju przybił ją gwoździami. Nic to nie pomogło, bo do żadnych odkrywczych wniosków już nie doszli.



Rano znowu padało. Żaby wyjęły siatkę z kolejnego okna i rozsiadły się na parapecie. Monika tym razem nawet słowem nie zaprotestowała przeciwko usuwaniu zabezpieczenia. Być może dlatego, że gęsto padające krople były wystarczającą zaporą dla większości insektów, a być może dlatego, że nie ma rusałek, które nie lubiłyby deszczu. Przysunęła krzesło do okna i usiadła, wystawiając głowę na zewnątrz. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w szare niebo.

– Pójdziemy do biura – powiedziała nagle.

Jens oderwał się od kawy i porannych wiadomości.

– I tak musimy tam iść. Raz na jakiś czas trzeba im pokazać, że pracujemy.

– Może będą coś wiedzieli o panu Sprawiedliwość – ciągnęła Monika.

– Jest aż tak interesującą osobą? – W głosie Niemca zadźwięczała podejrzliwość. Obrzucił rusałkę uważnym spojrzeniem, ale ona nadal patrzyła w niebo, pochłonięta własnymi rozważaniami.

– Prawdopodobnie szuka księgi – myślała głośno. – Instynkt mi mówi, że zarzucanie na niego sieci to jak zarzucanie pętli na własną szyję. On jest niebezpieczny. A poza tym, chciałabym się wreszcie dowiedzieć, co takiego jest w tej księdze, że wszyscy chcą ją mieć. Może tym tropem do czegoś dojdziemy? Nowy gracz, nowe informacje. – Rusałka wsunęła głowę z powrotem do kuchni. Ściekająca z jej włosów woda zachlapała parapet i podłogę.

– Magowie to dziwne stworzenia, może to jest rozwiązanie zagadki – stwierdził filozoficznie Jens.

Monika go nie słuchała. Znalazła kurtkę i stanęła w drzwiach.

– Idziecie czy nie?



W eleganckim, wyrafinowanym, ekskluzywnym i aktualnie zamkniętym dla gawiedzi *night clubie* odbywało się coś w rodzaju nieoficjalnego spotkania na szczycie. Przy przykrytym czerwonym obrusem stoliku, w otoczeniu przeładowanych sterydami dla bydła ochroniarzy zasiadło dwóch mężczyzn, których imiona, a raczej ksywki, wystarczyły, żeby zatrząść kawałkiem Polski.

Jeden z nich znany był pod uroczym mianem Twarożek. Już posiwał, ale utrzymywał doskonałą kondycję dzięki częstym wizytom w saunach i siłowniach. Oprócz tego, że mordował, podpalał, gwałcił, szantażował i wymuszał (rzecz jasna, nie osobiście), był człowiekiem rodzinnym i właśnie pokazywał swojemu rozmówcy zdjęcia ze szkolnej akademii najmłodszej córki z trzeciego małżeństwa.

– Mój mały aniołek planuje karierę aktorską. – Uśmiechnął się z czułością.

Siedzący naprzeciwko szpakowaty gangster w eleganckim garniturze nie powiedział tego, co pomyślał. Mimo że nie zamierzał w żadnym razie krytykować uczuć rodzinnych Twarożka. Pomyślał sobie bowiem, że jego własny „mały aniołek” wykończył rano kolejnego narzeczonego.

Gangstera nazywano Magikiem. Wzbudzał strach nawet pośród innych

gangsterów, no i był ojcem Czarnej Kasieńki.

Czarna Kasieńka naprawdę miała na imię Pamela, na pamiątkę ulubionej piosenki tatusia. On sam podejrzewał, że nigdy mu tego nie wybaczyła i że nieszczęsne imię spaczyło jej osobowość, jakby nie dość było obciążeń genetycznych i rodzinnych, które predestynowały rzeczoną osobowość do wykształcenia najróżniejszych spaczeń. Czarna Kasieńka miała ciemnobrązowe oczy, czarne włosy sięgające do połowy szyi, była szczupła, ale szczupła apetycznie, a nie według standardów lansowanych przez modelki. Zawsze ubierała się na czarno. Abnegacja córki w zakresie przykazań mody i jej niechęć do wszelkich innych kolorów poza grobową czernią niewiele Magika obchodziły. Bardziej kłopotliwy był jej osobliwy antytalent do zakłęb czyszczących pamięć, zwłaszcza połączony z kompletną beztrąską w wyborze kolejnych chłopaków. W końcu i tak każdy z nich dowiadywał się prawdy, nie tylko o zwyczajnym mafijnym życiu, ale też o drugim dnie interesów Magika. Tym związanym ze światem niezwyczajnym.

Tego ranka Czarna Kasieńka wkroczyła do jadalni, akurat kiedy Magik był w trakcie śniadania. Usiadła przy stole, wyciągnęła papierosa, zapaliła go i po prostu trzymała między palcami, jak zawsze. Kasieńka była nałogowym biernym palaczem. Magik posłał ją kiedyś do lekarza, ale temu udało się wyprowadzić pacjentkę z równowagi jeszcze przed rozpoczęciem terapii. Trafił tam, gdzie inni.

Z rana Magik bywał zwykle w dobrym nastroju, podjął więc próbę poprowadzenia kulturalnej konwersacji i nawet uczynił wysiłek, żeby przypomnieć sobie imię obecnego absztyfikanta córki.

– Jak tam... ee... Mariusz?

– Wywieziony – mruknęła obojętnie Kasieńka, a Magik nie zakrztusił się kawą tylko dlatego, że już się przyzwyczał.

Poprzedniego wieczoru Mariusz wzbogacił się o kilka informacji, których w żadnym razie nie powinien posiadać. Czarna Kasieńka rutynowo spisała go z miejsca na straty. Z chłopakami nigdy nie miała większego problemu, nie przejawiała więc skłonności do rozsądnego gospodarowania zasobami ludzkimi.

– Trochę szkoda, nawet byłeś sympatyczny – stwierdziła nieco melancholijnie, kiedy Duży i Mały, złapawszy Mariusza, wynosili z pokoju. Był to ze strony Czarnej Kasieńki wyjątkowy przejaw emocji. Na co dzień nie bywała aż tak egzaltowana.

Duży i Mały byli duzi, potężni, wprawieni zarówno w posługiwaniu się bronią, jak i magią. Kasieńka osobiście ich sobie wybrała. Magik nie oponował, a nawet pochwalił jej wybór. Nic nie wywoływało takiej paniki w jego wrogach jak Kasieńka i jej chłopcy. Byli magikowym asem w rękawie.

Jakąś minutę później Duży wrócił do pokoju, gdzie Kasieńka właśnie zapalała papierosa.

– On tak strasznie jęczy, że cię kocha i nikomu nie powie – oznajmił.

Kasieńka spojrzała na niego niezyczliwie.

– To co? – burknęła. – Dać ci stopery do uszu?

Duży spojrzał na nią z zastanowieniem. Myśl o stoperach była dla niego zupełnie nowa i jakoś nie potrafił odgadnąć sensu sugestii.

– Podobno w życiu każdego specja od mokrej roboty przychodzi taki moment, że zaczyna używać stoperów – dodała kąśliwie jego chlebobdawczynie.

– Serio? – zainteresował się żywiołowo Duży.

– A skąd mam wiedzieć?! – wrzasnęła Kasieńka. To z pewnością nie był jej najlepszy dzień. – Przecież nie jestem specem od mokrej roboty!

Potem zdenerwowana wpadła do garażu, gdzie Mały pilnował Mariusza i miotnęła zaklęcie. A Kasieńka miała osobliwy antytalent do zaklęć czyszczących pamięć.

Po Polsce pętało się już kilkanaście ofiar tego antytalentu. W najlepszym razie tylko z amnezją, w gorszym jeszcze z jakimiś uszkodzeniami. Magik stanowczo zażądał, żeby usuwaniem świadków, lekarzy i byłych chłopaków zajmowali się Duży i Mały, ale Kasieńka czasami po prostu nie umiała zapanować nad nerwami. Wtedy Duży i Mały grzecznie schodzili jej z drogi, a po wszystkim wywozili nieszczęsną ofiarę na ostry dyżur albo do zaprzyjaźnionego psychiatryka.

Wiadomość o Mariuszu Magik skwitował cichutkim westchnieniem i

dopił kawę. Odstawił filiżankę. Kulturalna konwersacja najwyraźniej skończyła się, zanim jeszcze zaczęła na dobre. Zdecydował dać sobie spokój z próbami jej reanimacji. Były ważniejsze sprawy.

– Kasiu – powiedział. – Musisz znaleźć pewną książkę. W niezwykajnym świecie zrobiło się wokół niej zamieszanie, wszyscy jej szukają.

– Dlaczego? – zainteresowała się Kasienka nad wyraz logicznie, a przy tym jak zawsze lakonicznie.

– Nie mam pojęcia, ale skoro tyłu się nią interesuje, to z jej posiadania można wyciągnąć pewne korzyści. Więc ją po prostu znajdź.

– Nie ma sprawy. – Kasienka wstała od stołu. W sumie beczynność działała jej na nerwy.

– We wszystko zamieszany jest Urząd Skarbowy – dodał Magik. – Nie życzę sobie mieć z nimi nieprzyjemności, jasne? Pamiętam, co spotkało Ala Capone.

– To było wśród zwykłoludzi – przypomniała mu córka, krzywiąc się z niesmakiem. Ludzie generalnie działali jej na nerwy. I trzeba ich było potem usuwać dyskretnie.

– Nie chcę precedensu w niezwykajnym świecie – stwierdził kategorycznie Magik.

Kasienka wzruszyła ramionami i wyszła, a Magikowi pozostawało mieć nadzieję, że żaden Poborca nie wyprowadzi jej z równowagi. Za wszelką cenę starał się dobrze żyć z tym DRUGIM Urzędem Skarbowym. Ten pierwszy oszukiwał, kantował i nabierał. DRUGIEMU płacił należności zawsze na czas. W przeciwnym razie groziło mu o wiele więcej niż karne odsetki.



Z mieszkania Moniki do biura było niedaleko, ale zdążyli zmoknąć do suchej nitki.

– Kiedyś nie znosiłam deszczu – westchnęła rusałka. – A teraz mogłabym stać na dworze godzinami.

– Przeziębilibyś się – mruknął Jens, zdejmując przemoczoną kurtkę. Osobiście nie dostrzegął w deszczu nic zachwycającego: deszcz niszczył mu ubranie i fryzurę, a w związku z tym i *image*. Do tego ostatniego zaś Niemiec był osobliwie przywiązany.

– Wziąłabym aspirynę. Poza tym rusałki się nie przeziębają. – Monika rzuciła jeszcze jedno tęskne spojrzenie na ulicę. Obok niej stał Ślipiak, zastygły w pozie, jaką musieli przybierać dziewiętnastowieczni emigranci, żeglujący ze Starego Kraju do Ameryki, którzy właśnie rzucali pożegnalne spojrzenie na znikającą za horyzontem Europę.

– To nie jest ostatni deszcz na świecie – przypomniał zniecierpliwiony Jens.

– Od jutra mają być upały – westchnął dramatycznie Ślipiak. – Mówili w wiadomościach. Wiesz, że prognozy mają dziewięćdziesięcioprocentową sprawdzalność?

Oderwali się wreszcie od przeszkłonych drzwi i minęli recepcję, ociekając jak dwa zużyte parasole. Jens osuszył się zakłębieniem, nie widział sensu w tym, żeby wyglądać jak zmokła kura. Nawet jeśli miałby to być ostatni deszcz w tym stuleciu. Wodne plemień, pomyślał, krytycznie, kręcąc głową, pod adresem rusałki i wodnika. Monika szła przodem, przemoczona sukienka przykleiła się jej do ciała. Niespodziewanie dla samego siebie Jens uśmiechnął się ciepło.

Dziewczyna skierowała się prosto do biura Piotrka, zapukała, weszła i opadła na fotel, zostawiając na ekskluzywnej tapicerce mokry ślad. Jens usiadł obok, wciąż jeszcze się uśmiechał. Wodnik przykucnął po drugiej stronie rusałki. Piotrek oderwał się od telefonu, komputera, komórki i faksu, które starał się obsługiwać jednocześnie.

– Wicie już, że Łukasz zwariował? – zapytał zbolalym tonem.

– Mniej więcej – odparł Jens.

– Raczej więcej. – W nagłym akcie desperacji Piotrek wyłączył komputer, wyrwał z kontaktu wtyczki faksu i telefonu, dzwoniącą uparcie komórkę wyrzucił do kosza. – Wcześniej często tu bywał, więc teraz dzwonią ze wszystkich oddziałów i pytają, czy my tu tak masowo wykańczamy zwierzchników. No i jeszcze ta cholerna książka... Już się

zaczęło roznosić, że podobno coś z nią mieliśmy wspólnego.

– Nie mają dowodów – stwierdził Jens. – Wymazaliśmy wszystkim pamięć.

– To nie amerykański serial o policjantach, dowody tu nie mają znaczenia – oznajmił ponuro Piotrek. – Plotki już poszły w świat. Zresztą Tajne Służby Magiczne dorwały raz Monikę. Masz szczęście, że masz kartę maga. Podpasz pod kategorię uprzywilejowanych obywateli. Pewnie dlatego włos ci z głowy nie spadł.

– Nie tylko dlatego – wtrąciła rusałka. – Mówi ci coś „pan Sprawiedliwość”?

Piotrek lekko zbladł.

– Miej nadzieję, że go nigdy nie spotkasz – powiedział, a głos mu zadrżał nieco.

– Już spotkałam. Co to za jeden?

– Spotkałaś pana Sprawiedliwość i jeszcze się pytasz?

– Gdyby nie on, może i bym nie uciekła z łap Tajnych Służb. Nie wiem, dlaczego pozablatwał tajniaków, ale widziałam, co z nich zostało. Mnie wziął za zwykłą człeczkę i podwiózł do miasta, a potem zniknął – wyjaśniła Monika. – Dowiem się wreszcie, co to za jeden?

Piotrek odzyskał trochę kolorków.

– Takie skrzyżowanie Zorro z Batmanem i Robin Hoodem. Odpłaca za krzywdy, jakich zwykłoczkęcy doznali ze strony niezwykłych. Dajmy na to, że wredny mag rzuca na ciebie urok, wiadomość o tym dochodzi do pewnych ludzi, oni informują o tym pana Sprawiedliwość, on zjawia się i odpłaca magowi na zasadzie oko za oko.

– Jest magiem? – zapytał Jens. Nie ufał magom. I jakoś ich, psiakrew, nie lubił. *Herr Gerechtigkeita* też nie.

– Nikt nie wie. To strasznie tajemnicza postać i podobno ma wysoko postawionych przyjaciół po obu stronach zwyczajności.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby też szukał księgi – dodała Monika. Stanowczo pan Sprawiedliwość nie zrobił na niej wrażenia potwora. Dziwaka, owszem. Nawet oszołoma. Ale nie monstrum, na wspomnienie którego człowiek bladł i zaczynał się jękać. Z drugiej



strony, to Piotrek się jąkał i bladł. Ale jak Monika zdążyła się już przekonać, Piotrek jąkał się i bladł przy byle okazji.

– Tylko jego brakowało – jęknął.

– Miałeś z nim kiedyś do czynienia? – zainteresował się Jens.

Piotrek aż się wzdrygnął.

– Na szczęście nie. Ale słyszałem o paru, którzy mieli. Jeden siedzi w argentyńskim więzieniu, drugi został przez nas oskarżony o niepłacenie podatków, trzeciego zwykłocześnie zamknęli w psychiatryku. Ma jakąś blokadę mocy i nie jest w stanie nikogo przekonać, że nie zwariował. Wszyscy twierdzą, że wrobił ich facet w typie pocziwego włoskiego mafioso z amerykańskich filmów.

– Dlaczego akurat z amerykańskich filmów? – Ślipiak zdecydował się wziąć udział w rozmowie. – Włoscy mafiosi chyba powinni być z Sycylii.

– Na Sycylii są za bardzo opaleni – oceniła krytycznie Monika. – A w amerykańskich filmach w sam raz. Opis się zgadza, to ten sam, który wykończył tych gości w garniturkach. Jest chyba zwykłocześnie, przynajmniej tak mi powiedział. – Popatrzyła pytająco na Piotrka, licząc, że ten zaprzeczy albo potwierdzi.

– A kto go tam wie. – Piotrek wzruszył ramionami. Po jego minie widać było, że cierpi. – Może być wszystkim, a jedynym pewnikiem jest to, że naprawdę dużo wie, o wszystkim, z naciskiem na *who is who* i *why*.

– Nie ma więc szans, że to tylko jakiś wariat – upewniła się.

– Wariat na pewno, tyle że szkodliwy. – Komórka Piotrka zabręczała w koszu na śmieci. Właściciel rzucił jej niechętnie spojrzenie. – Pomału zaczyna do mnie docierać, dlaczego Łukasz zaczął osiągać nirwanę – jęknął. – Sam tam pewnie niedługo skończę. – Zaczął wyrzucać z kosza papiery, usiłując dokopać się do telefonu. – Oprócz niego i mnie nikt nie wie, że mieliście do czynienia z księgą, więc najlepiej zrobicie, biorąc się grzecznie do pracy, jak na urzędników tej drugiej administracji publicznej przystało. Baśka coś wam znajdzie.

Piotrek nareszcie dogrzebał się komórki i zaczął z przejęciem coś do

niej wykrzykiwać. Nie pozostało im nic innego, jak wyjść i wrócić do pracy. Zaraz za drzwiami wpadli w krwistoczerwone pazury Baški, która właśnie potrzebowała dodatkowych trzech par rąk.



Dochodziło południe, kiedy Czarna Kasieńka w towarzystwie Dużego i Małego wkroczyła do hipermarketu. Wszyscy troje byli ubrani na czarno. Wszyscy troje mieli czarne okulary, które płynnym ruchem zdjęli i wsadzili do kieszeni w tej samej chwili.

Czarne szpilki Kasieńki postukiwały na posadzce. Opanowała sztukę chodzenia w takich butach dzięki serii zaklęć chroniących przed utratą równowagi, dziurami w chodnikach i deformacją stóp i uczyniła szpilki stałym elementem swojego *image'u*. Duży i Mały szli dokładnie pół kroku za nią. Zatrzymali się na środku galerii.

– Mały szukaj, Duży kamery – poleciła Kasieńka.

Mały posłusznie zaczął węszyć jak dobrze wytresowany pies gończy. Duży w paru krokach dopadł schodów, prowadzących do biur, i ze zdumiewającą szybkością wbiegł na górę. Podczas gdy Mały obwąchiwał ściany, a Duży buszował w pomieszczeniach administracyjnych, Kasieńka kupiła trzy gałki lodów bananowych i usiadła na ławeczce.

Po dziesięciu minutach Duży subtelnie wyminął ochroniarzy, a Mały przestał obwąchiwać pralnię. Stanęli przed Kasieńką, która właśnie zjadała wafelek.

– Ktoś wyczyścił taśmy – zameldował Duży. – Magicznie.

– Dużo magów tu było – dodał Mały. – I duża bitka. Jeszcze czuć czary w powietrzu. Oprócz tego Tajne Służby Magiczne. Pałętali się tu równo z magami, ale też dodatkowo całkiem niedawno, może wczoraj. No i wyczuwam charakterystyczny odorek Urzędu Skarbowego.

– Urzędu nalecieć nie możemy – stwierdziła Czarna Kasieńka, zapalając papierosa. – Duży, pojedziesz tam i będziesz obserwował. Mały, trop tajniaków – zadecydowała.

Dziesięć minut później Duży zaparkował auto naprzeciw Urzędu

Skarbowego, wyciągnął aparat cyfrowy, sprzęt do podsłuchiwania i dyktafon i przystąpił do regularnej inwigilacji. Tymczasem Kasieńka, ze znudzonym wyrazem twarzy i z papierosem w dłoni, podążała za Małym, który nie ustawał w szukaniu tropów. Najpierw zeszli na parking, gdzie Mały bez skrupułów przywłaszczył sobie pierwszy lepszy samochód. Prowadził go powoli, z głową wystawioną przez okno, wężąc przy tym zapamiętałe. Kasieńka siedziała na tylnej kanapie, trzymała w dłoni dymiącego papierosa i obojętnie wyglądała przez szybę.



Słońce świeciło wyjątkowo mocno i po porannym deszczu nie zostało nawet śladu. Monika zerkała od czasu do czasu ponad ekranem komputera na błękitne niebo, rozpościerające się za oknem. Lubiła deszcz, ale słońce też jej się podobało. Właściwie było jej prawie wszystko jedno, jaka jest pogoda. Każda była wspaniała. Byle tylko nie padał śnieg. Na szczęście do zimy wciąż jeszcze było daleko.

Wklepywanie do komputera danych było zajęciem przyjemnie monotonnym i pozwalało myśleć o wszystkim innym. Umysł Moniki na chwilę zajął się postacią pana Sprawiedliwość, potem, dłużej, letnimi wyprzedzami, żeby wreszcie utknąć na dobre przy kwestii włosów. Teoretycznie rzecz biorąc, rusałki powinny mieć włosy długie, imponujące sploty, może nawet sięgające samych stóp właścicielki. Tymczasem wewnętrzny zegar Moniki, zapewne pobudzony do działania przez sterczące niesfornie kosmyki, wyraźnie sygnalizował, że czas na wizytę u fryzjera. Może powinna w tym celu zasięgnąć niezależnej opinii? Na przykład Jensa. Ciekawe, czy jemu bardziej podobałyby się włosy długie czy może raczej zgrabnie ostrzyżona główka? Iście hamletowskie rozterki przerwał osobiście ów zaocznie mianowany specjalista od wizażu, który nie dał się zagonić do komputera mimo gróźb i prośb Baśki.

– Ubrany na czarno facet, w czarnym samochodzie, w czarnych

okularach, z wielkim aparatem fotograficznym, z czym ci się to kojarzy?  
– zagadnął, przysuwając sobie krzesło do biurka rusałki.

– Z amerykańskim filmem – odpowiedziała bez wahania.

– Co ty tak z tymi amerykańskimi filmami? – skrzywił się Jens.  
Naprawdę potrafiła zbić go z pantaląku.

Monika wzruszyła ramionami. Nie umknął jej cień dezaprobaty w głosie Niemca. Poczowała się urażona.

– Osiem na dziesięć filmów w telewizji jest amerykańskich – powiedziała. – Dziewiąty to telenowela z Ameryki Południowej, dziesiąty jest ewentualnie europejski. Jak większość przeciętnych widzów, wiem o życiu amerykańskich miast, amerykańskiej prowincji i amerykańskich policjantów więcej niż o życiu polskich miast, polskiej prowincji i polskich policjantów, więc z czym ma mi się wszystko kojarzyć?

Jens westchnął tylko, bo i rzeczywiście, na to pytanie nie umiał znaleźć odpowiedzi. Wprawdzie sam miał skojarzenia zupełnie odmiennego rodzaju, ale w tym, co mówiła, były jakaś logika i sens.

– Dobra, już się nie będę czepiał. A wracając do faceta...

– Co z nim? – Monika wróciła spojrzeniem do ekranu komputera. O amerykańskich filmach mogła rozmawiać przy pracy, tym bardziej, że już niewiele jej zostało.

– Siedzi w samochodzie naprzeciwko Urzędu. Od jakiejś godziny. Robi zdjęcia wszystkim wchodzącym i wychodzącym i jeśli to, co trzyma w ręce, jest tym, co myślę, to na dodatek jeszcze i podsłuchuje.

– Skąd wiesz, że to, co trzyma w ręce, jest akurat aparatem do podsłuchiwania? – Brwi rusałki powędrowały w górę, nadając jej twarzy wyraz uprzejmego zdziwienia.

– Widziałem taki w amerykańskim filmie – wyjaśnił Jens, nieco skrępowany. Jak ona to robiła, że rozmowa zawsze toczyła się w nieprzewidzianym kierunku?

– Przyganiał kocioł garnkowi – prychnęła Monika, zapisując plik. No proszę, sam ogląda, a jej wypomina. Z mężczyznami to tak zawsze, nigdy nie wiadomo, o co im chodzi.

– Przecież powiedziałem, że już się nie będę czepiał – przypomniał jej z wyrzutem.

– Myślisz, że to z powodu księgi? – zainteresowała się nagle.

– Możliwe. Nie bardzo wierzę w przypadki.

– Nie nazwałabym podsłuchującego faceta przypadkiem – stwierdziła kategorycznie Monika. – A tak na marginesie, czy on przypadkiem nas w tej chwili nie słyszy?

– Siedzi z drugiej strony budynku – uspokoił ją.

– Trzeba tam pójść.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł. – Jens pokręcił głową. – Jeśli szuka księgi, to właśnie o nas mu chodzi. To niezbyt rozsądne pchać mu się w ręce.

– Lublin to nie jest duże miasto. Wpadniemy na niego wcześniej czy później, choćby przypadkiem. Wolałbyś, żeby cię zaskoczył na ulicy? – zapytała Monika, marszcząc brwi.

Jens wstał z westchnieniem. Zdążył już poznać, co oznacza ten wyraz twarzy rusalki. Mógłby się założyć, że nagle klawiatury na sąsiednich biurkach zaczęły klekotać w rytm *La Cavalcata delle Walkirie*.

– Znajdę Ślipiaka – powiedział z lekką rezygnacją. – Może się przydać.



Mały zatrzymał samochód na jednej z uliczek, przy których rozsiadły się wygodnie domki jednorodzinne. Jego nos poruszał się gwałtownie i zaprowadził go aż do metalowej siatki. Za siatką widać było coś, co można by określić jako potencjał, który mógłby stać się ładnym domkiem. Gdyby tylko wstawić okna, drzwi, otynkować, skosić zielsko, które zarosło działkę, i wykonać jeszcze parę męczących czynności.

Kasia wysiadła z samochodu i dołączyła do swojego ochroniarza.

– Są w środku? – zapytała.

Mały wciągnął głęboko powietrze.

– Ktoś ich wczoraj wykończył – zameldował. – Wyszło stąd dwoje ludzi, ale zostawili za słaby ślad. Wystarczył deszcz, żeby wszystko zmyć.

Nie to co tajni. Ci jak przejdą, to czuć przez tydzień. Chwila... – Obrócił się powoli, cały czas wężąc. – Czuję Urząd Skarbowy.

Czarna Kasieńka zapaliła kolejnego papierosa.

– Zostań i pilnuj – poleciła.

Pchnęła zardzewiałe skrzydło bramy, przedarła się przez rozrośnięte zielsko. Przed drzwiami zatrzymała się i strąciła kilka rzepów, które przyczepiły się do jej spodni. Rzepy działały jej na nerwy.

Kiedy weszła do środka, jej papieros zaczął się mocniej żarzyć. Kasia zatrzymała się na środku czegoś, co w przyszłości mogłoby stać się eleganckim holem. Popatrzyła po pustych ścianach.

Powoli, acz nieustępliwie zaczęło ją ogarniać przygnębienie. Nagle zrobiło jej się strasznie żal wszystkiego, a to było uczucie, którego Czarna Kasieńka nie lubiła i z zasady nie doświadczała. Żal jej było Mariusza, który gdzieś tam dochodził do siebie pod opieką psychiatrów, wszystkich innych ofiar jej prób wymazywania pamięci, a najbardziej zaczęła żałować siebie. Jej życie było doprawdy przygnębiające.

Z tego żalu i melancholii podniosła papierosa do ust i zaciągnęła się głęboko. Zachłysnęła się dymem i w ciągu następnych kilku minut prawie wykaszła z siebie płuca. Nie był to najprzyjemniejszy sposób wyrwania się z nagłej depresji, ale skuteczny. Kasia wzdrygnęła się nerwowo, strząsając z siebie resztki splinu. Tajne Służby Magiczne nawet po śmierci były irytujące. Machając rękami, rozpędziła mgiełkę smutku, która unosiła się wokół niej. Pod ścianą zauważyła jakieś kształty. Nie miała zamiaru bliżej się im przyglądać. Trzy dni potrwa, zanim się zreinkarnują, wstrętne paskudztwa, a na razie wypełniają wszystko swoim depresyjnym dymem, jakby nie dość było ponuractwa na świecie.

Czarna Kasieńka nie należała do osób pogodnych, ale atmosfery grozy i przygnębienia, jaka towarzyszyła tajniakom, nie znosiła. Samych tajniaków też nie znosiła, z zasady. Działali jej na nerwy jak mało kto i co.

Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę higieniczną i trzymając ją przy twarzy, weszła na pierwsze piętro. Leżało tam jeszcze dwóch, dokładnie

przy schodach prowadzących na górę. Przekroczyła ich ostrożnie i weszła wyżej.

Zaglądała po kolei do wszystkich pomieszczeń. W jednym znalazła solidne sznury i rozbite na kawałki krzesło. Wyglądało na to, że ktoś był do niego przywiązany. Kasieńka rozejrzała się po pokoju. Był pusty i niewykończony, jak wszystkie pozostałe. W kącie leżała zwiędnięta stokrotka, który to fakt Kasia odnotowała z całkowitą obojętnością. Potem zeszła na dół.

Cała ta sprawa wyglądała co najmniej dziwnie. Tajniacy z reguły działali na zupełnie innym terenie niż Poborcy. Do tego jedni i drudzy generalnie nie podzielali zainteresowań magów. Teraz było inaczej. Wyglądało na to, że tajemnicza księga stała się upragnionym celem wszystkich bez wyjątku. No, może z niewielkim wyjątkiem. Osobiście Kasieńka nie była specjalnie zainteresowana. Żadna książka jakoś nie znalazła się na liście jej potrzeb. Co oczywiście nie znaczyło, że Kasieńka nie będzie jej szukać. Takie samo zajęcie jak każde inne.

Mały czekał za siatką z nosem wystawionym przed siebie.

– Coś jeszcze? – zapytała Kasieńka.

– Trudno powiedzieć. – Mały powęszył intensywniej. – Jakiś taki swądek się tu unosi. Niezidentyfikowany, ale nieprzyjemny.

Kasia wzruszyła ramionami.

– Skoro nie wiesz, co to jest, to nie zwracaj mi głowy. – Wsiadła do samochodu i zapaliła papierosa. Ostatniego z paczki. – Wsiadaj, jedziemy do kiosku – zarządziła.

Mały oczywiście posłuchał.



Na dachu wieżowca, w którym mieścił się między innymi DRUGI Urząd Skarbowy, a oprócz tego bank, restauracja i sklep z komputerami, było trochę brudno. Głównie za sprawą gołębi. Monika chciała wrócić na dół po bułkę, żeby je nakarmić, ale Jens zaprotestował.

– Prowadzimy śledztwo, gołębie nakarmisz później.

Moniki to nie przekonało. O zwierzęta należy dbać. To przekonanie już dawno stwardniało w niej na granit. Świat był z definicji ludzki i ludzie radzili w nim sobie doskonale. Zwierzęta gorzej.

– Ze sobą mam tylko tik-taki, myślisz, że zjedzą? – zainteresowała się.

– Ja zjem – natychmiast zadeklarował Ślipiak, obecnie pod postacią gołębia. Niebieskawego.

Jens ich nie słuchał, skulił się przy krawędzi dachu i przez lornetkę obserwował przeciwną stronę ulicy, parking przed ZUS-em i ubranego na czarno faceta w czarnym samochodzie.

– Rzeczywiście wygląda, jakby się urwał z amerykańskiego filmu – stwierdził z niesmakiem.

– To co, napadamy na niego? – zapytała Monika tonem sugerującym, że pytanie zadaje pro forma, ot tak, dla uzyskania potwierdzenia.

Jens odwrócił się jak rażony gromem, omal nie upuszczając przy tym lornetki. Rusalka właśnie przekopywała plecak w poszukiwaniu drażetek, na które cierpliwie czekał Ślipiak. Podniosła głowę, gdy poczuła na sobie wzrok Poborcy.

– No co? Skoro już i tak wszystko jest jak w amerykańskim filmie...



Na obiektywie aparatu Dużego usiadł gołąb. Gołąb też był duży, w odcieniu niebieskawym i miał zaskakująco lazurowe oczy.

– A kys! – syknął Duży. Nie znosił ptaków. Kilkakrotnie okazywały mu krańcowy brak szacunku. Do tego nie dawały żadnej możliwości rewanzu.

Gołąb pokazał mu język. Niebieski, dla ścisłości.

Duży zamachnął się wielką łapą. Gołąb uskoczył, podfrunął trochę, a potem wrócił na obiektyw. Duży się zirytował. Właśnie doszedł do wniosku, że gołębie działają mu na nerwy. Wyjątkowo.

Ptak znowu pokazał mu język.

Duży rzucił aparat na chodnik, otworzył drzwiczki i rozpoczął zmuśny proces wysiadania. Ponieważ był duży nie tylko z imienia, a samochód



zaledwie średni, nie był to proces prosty.

Gołąb usadowił się na środku drogi i czekał, zerkając z ciekawością i od czasu do czasu pokazując gangsterowi język. Duży w końcu wysiadł i rzucił się na gołębia.

Tyle że ptak odfrunął. Za to nie wiadomo skąd pojawiła się furgonetka z otwartymi tylnymi drzwiami, która na wstecznym jechała gangsterowi na spotkanie. Skok Dużego, który miał zakończyć się spektakularnym zmiżdżeniem ptaszyska, wpakował osiłka wprost na podłogę samochodu. Zaraz też oplotły go pętle wyjątkowo mocnych zakłęb. Duży szarpał się chwilę, potem znieruchomiał.

Bardzo błady Piotrek wysiadł, wepchnął do środka nogi gangstera i starannie zamknął za sobą tylne drzwi furgonetki.

– Czuję się jak jakiś bandyta, a nie urzędnik – poskarżył się Monice, siedzącej na miejscu pasażera. Minę miał bardziej zboląłą niż zwykle.

– Bywa. – Rusałka pokiwała głową ze współczuciem.

– Usun ślady – przypomniał mu Jens, zajęty krępowaniem Dużego.

– Usunę. – Piotrek spojrzał na czarny samochód i z piersi wyrwało mu się szczere westchnienie, bynajmniej nie ulgi ani szczęścia. – Tylko nie porysujcie furgonetki – zawołał za nimi, kiedy wyjeżdżali z parkingu.



Piętnaście minut później Mały zaparkował samochód dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wcześniej stał czarny wóz Dużego.

– Paskudne korki – westchnął. – Szkoda, że mamy nie rzucać się w oczy. Rozpędziłbym tych kierowców jednym zakłębem.

Kasieńka rozejrzała się po parkingu.

– Gdzie Duży? – zapytała.

Mały powęszył.

– Przed chwilą tu był. – Wysiadł z auta i wciągnął powietrze. – Czuję Urząd Skarbowy. Gdyby nie to, że to takie nieprawdopodobne, powiedziałbym, że zwinęli Dużego...

– Urząd to nie mafia – zaprotestowała Kasieńka. – My moglibyśmy

kogoś tak po cichu zgarnąć, oni to powinni robić głośno, jawnie i legalnie.

– Czuć Urząd, a Dużego nie ma. – Mały obstawał przy swoim. Wystawił nos i przeszedł się po parkingu. – Ale jest jego auto – oznajmił triumfalnie.

Kasieńka zatrzymała się obok.

– Żółte – stwierdziła z odrazą.

– Świeżo przemalowane, magicznie. Czuję ślad samochodu, którym najpewniej go porwali. Tropimy?

– Nie. – Kasieńka w zadumie pokręciła głową. – Nie podoba mi się to. Tu Tajne Służby Magiczne, tu Urząd Skarbowy, który do tego zachowuje się jak... my. To nie jest zdrowa sytuacja. – Strzepnęła popiół na żółtą maskę. – Wracasz i zameldujesz o wszystkim ojcu. Osobiście i dyskretnie. Skoro Urząd posuwa się już do porwań, to równie dobrze mógł zainwestować w podsłuchy. Ja spróbuję dowiedzieć się wreszcie, co to za książka.

Mały skinął służbiście głową, wsiadł do najbliższego auta i ruszył z piskiem opon do Warszawy.



Problem, gdzie zawieźć Dużego, pojawił się w pięć minut po opuszczeniu parkingu. Jakoś wcześniej nie przyszło nikomu do głowy, że przed porwaniem należało zatroszczyć się o bezpieczną kryjówkę.

– Błędy debiutantów – podsumował beztrzesko Ślipiak. – Następnym razem pójdzie łatwiej.

– To już planujemy następne razy? – Jens rzucił nerwowe spojrzenie na samochody, które zatrzymały się obok nich na światłach. – Nie wspominajcie o tym Piotrkowi, bo wyleją nas z pracy za doprowadzenie następnego zwierzchnika do załamania nerwowego. Co robią w filmach z porwanymi?

– Odwożą ich do pustego magazynu na nabrzeżu – odpowiedziała Monika nieco niepewnie, jak uczennica wyrwana nagle do odpowiedzi.

– Nie mamy pustego magazynu, że o nabrzeżu nie wspomnę. Chyba żeby wziąć pod uwagę zalew, ale tam na brzegu są tylko budki z frytkami.

– W zalewie jest brudna woda. Z sinicami – podsunął Ślipiak. – Można mu grozić, że jak nie powie nam wszystkiego, to go do niej wsadzimy. Na filmach zawsze grożą.

– Na nabrzeże i magazyn nie mamy szans, to nie Ameryka. – Jens odwrócił się i sprawdził sznury na rękach i nogach Dużego. – Trzeba to porwanie dostosować do polskich realiów.

– Możemy jeździć z nim cały dzień po mieście i przesłuchać go w środku. – Wodnik był niczym gejzer pomysłów.

– Nie da rady, zaraz będą korki. Może garaż albo działka? – zaproponowała rusałka, zerkając z zainteresowaniem na Jensa. Podobał jej się w nowej roli. – Wujek ma garaż, a babcia działkę pracowniczą z altanką.

– Garaż lepszy – stwierdził stanowczo Ślipiak. – Będzie atmosfera.

– I to jaka. Wujek uwielbia majsterkować, a wcześniej konstruował tam szybowce. Została masa narzędzi.

– Będzie czym straszyć więźnia – ucieszył się wodnik. – W filmach gangsterskich zawsze straszą.



Czarna Kasieńka zaparkowała samochód pod biblioteką uniwersytecką. Miasteczko akademickie było pustawę, studenci wyjechali na wakacje. Kasieńka przeszła na drugą stronę ulicy na placzyk pomiędzy budynkami uniwersytetu. Usiadła na cokole pomnika Marii Curie-Skłodowskiej i zapaliła papierosa. Ze znudzoną miną popukała piętą w cokół, myśląc, że w zasadzie poszukiwania książki należało od razu zacząć właśnie tutaj. Kto może wiedzieć więcej o książkach niż wieloletni pracownik uniwersytetu, który spędził wśród nich niemal całe życie? Z budynku Wydziału Humanistycznego ktoś wyszedł. Był to starszy mężczyzna, niemal żywa kopia profesora Jonesa Seniora, ojca niezapomnianego

Indiany. Natychmiast zauważył siedzącą na cokole dziewczynę i pomachał do niej, uśmiechając się przy tym. Po chwili usiadł obok Kasiénki.

– Witaj, Pamelu – uśmiechnął się szeroko.

– Cześć. – Kasiénka strząsnęła popiół z papierosa.

– Masz się, jak widać, świetnie – kontynuował Jones Senior, niezrażony jej brakiem entuzjazmu. – A co u tatusia?

– Jeszcze żyje. – Ton odpowiedzi sugerował, że sytuacja może w każdej chwili ulec zmianie.

– Pamiętam, kiedy byliśmy młodzi...

– Profesorze. – Kasiénka brutalnie wyłowiła go z fali wspomnień. – O tym kiedy indziej.

– A, dobrze – zgodził się profesor. – Co cię tu, Pamelu, sprowadza?

– Pewna księga. Nie mam pojęcia, o czym ona jest, ale wszyscy się nią interesują.

– Wszyscy?

– Tajne Służby Magiczne, Urząd Skarbowy, mój ojciec, o magach nie wspominając.

– A, ta księga.

– Wie pan coś o niej? – Kasiénka ożywiła się znacznie, nawet prawie się uśmiechnęła.

– No, nie bardzo. Nikt o niej nic nie wie, przynajmniej nic konkretnie. Ale wszyscy chcą ją mieć. Bardzo ciekawa księga z behawiorystycznego punktu widzenia.

– Wiadomo, o czym jest?

– Podobno zawiera starożytnie zaklęcia, które mogą być bardzo potężne. Jakże konkretnie, nie wiadomo. Niemniej, wszystkich magów ciągnie do niej jak ćmy do ognia. Jeden szczególnie był nią zainteresowany. Krążą plotki, że dowiedział się o miejscu jej ukrycia. Podobno w jakiś sposób skłonił Urząd Skarbowy, żeby pomógł mu uzyskać księgę od jej powierników. Bodajże w hipermarkecie miał odebrać księgę od Poborców, którzy ją oczywiście zdobyli. Zawsze powtarzałem, że na Urząd nie ma mocnych.

Kasieńka wykazała zainteresowanie i uniosła brwi.

– Skąd profesor zna te wszystkie szczegóły?

– Od głównego zainteresowanego, moja droga. Od tego samego maga, który rozpoczął całą kołomyję. To małe miasto, moje dziecko, wszyscy się tu znamy. – Starszy pan Jones uśmiechnął się jowialnie.

– Czy przypadkiem nie ma profesor adresu tego maga? – zapytała Kasieńka tknięta jakimś nieokreślonym przeczuciem.

– Czystym przypadkiem mam adres nie tylko mojego szanownego kolegi po fachu – profesor pogrzebał po kieszeniach i wyciągnął zmiętą wizytówkę – ale też adres byłych powierników księgi. – Z innej kieszeni wyciągnął notes i wyrwał z niego jedną karteczkę. – Jakimś dziwnym trafem ten mag zostawił go na wierzchu akurat wtedy, kiedy go odwiedzałem. Daleko idąca nieostrożność. Z drugiej strony, wykazał się zapobiegliwością, sprawdzając dane tych, którym zamierzał powierzyć taki skarb...

– Dzięki, profesorze – przerwała mu Kasieńka, stanowczym gestem wyjmując z jego dłoni wizytówkę i karteczkę.

– Przekaż tatusiowi, że kiedy już znajdziecie księgę, byłbym zobowiązany, gdybym mógł na nią zerknąć.

– Przekażę. Do widzenia, profesorze.

– Oby to nastąpiło jak najrychlej, Pamelu – rzucił melancholijnie profesor.



W garażu wujka Moniki było wszystko. Dosłownie. Wujek hołdował cenionej męskiej zasadzie: NIE WYRZUCAĆ. Ponieważ ciotka z głęboką dezaprobatą podchodziła do magazynowania niewyrzuconych rzeczy w domu, wujek wywoził wszystko do garażu, w którym dawno już przestał mieścić się samochód. Jens i Monika z trudem i przy znacznej pomocy magii oczyścili kanał. Ślipiak w tym czasie zbił z walających się desek prowizoryczne krzesło, które ustawił w dole. Posadzili na nim Dużego i przywiązali. Po namyśle przykuli go jeszcze znalezionym przy okazji

porządków łańcuchem.

Potem wyszli z kanału, usiedli, na czym się dało, wokół niego i popatrzeli w dół.

– I co teraz? – zapytała Monika. Właśnie dochodziła do wniosku, że porwanie było bezwzględnie najłatwiejszym elementem całego planu.

– Jakby nalać do tej dziury wody, byłby staw – oznajmił wodnik z niejaką urazą w głosie. – To marnotrawstwo trzymać tam więźnia.

– Teraz będziemy go przesłuchiwać – zdecydował Jens, ignorując uwagę Ślipiaka. Cała sprawa z magiczną księgą zaczynała go już irytować. I pomyśleć, że jeszcze niedawno uważał, że Polska to nudny kraj. Mimowolnie powędrował spojrzeniem ku rusałce. Zaglądała do kanału, a na jej twarzy malował się uroczy wyraz zafrasowania. Jens uśmiechnął się lekko. Nie, stanowczo się tu nie nudził. Gdyby jeszcze tylko można było pozbyć się całej tej kabały z księgą...

– Najzabawniej będzie, jak się okaże, że porwaliśmy niewinnego człowieka z parkingu – westchnęła Monika. – Nic dziwnego, że taki pan Sprawiedliwość musi bronić ludzi.

– Jeśli okaże się, że to przypadkowy przechodzień, trzeba będzie zalać mu nogi cementem i wrzucić do rzeki. Widziałem w telewizji – stwierdził Ślipiak tonem fachowca. – Nie można zostawiać świadków.

– Rzeka jest za płytka, żeby kogoś w niej utopić. Nawet jeśli delikwent ma cement na nogach – Jens ostudził zapał wodnika. – Poza tym jeszcze nie widziałem niewinnego przechodnia, który nosiłby ze sobą aparaturę do podsłuchiwania.

Dyskusję przerwał jęk Dużego, który zaczął odzyskiwać przytomność. Jens chwycił małą lampkę i skierował ją Dużemu prosto w twarz.

– Co jest? – Duży otworzył oczy i zaraz je zamknął, oślepiony światłem.

– To my tu jesteśmy od zadawania pytań. – Ślipiak wydobył z siebie prawdziwie grobowy głos.

– Jacy „wy”? – zapytał podejrzliwie Duży. Ostatnie, co pamiętał, to gołąb. Wstrętny, bezczelny gołąb. Irytująco niebieski.

– Nie twoja sprawa! – ryknął Ślipiak. – Nie odzywaj się niepytany i

mów, co wiesz, albo pożałujesz!

– Zaczynam się go bać – mruknął Jens, zerkając z ukosa na wodnika, który pobrzękiwał właśnie jakimś żelastwem dla lepszego efektu.

– A, wy pewnie tutejsi – stwierdził pobłaźliwie Duży. – Takie macie zagrania z prowincji, mogłem się domyślić. Ja jestem od Magika – oznajmił z dumą.

– To co? – Ślipiak tak się zdziwił, że zapomniał na chwilę o szczękaniu sekatorem.

– To lepiej nie podskakuj, bo jak się w Warszawie dowiedzą, to wyrwą ci piórka z zadka.

Ślipiak skrzywił się z niesmakiem. Monika przysiadła na krawędzi kanału.

– Nie znamy żadnego magika – powiedziała głosem niegrobowym. – I nic nas nie obchodzi, co powie Warszawa. Wykończyliśmy już jednego szefa, teraz wykańczamy następnego, więc Centrala nam niestraszna.

Duży poczuł lekkie podenerwowanie. Po pierwsze, kobiety w mafii zawsze nieco go przerażały, bo sądził je według jedynej znanej sobie miary: Czarnej Kasieńki. Po drugie, rzeczywiście, kogoś ważnego tam ostatnio wykończyli. Duży pożałował, że nie czytywał dokładniej gazet.

– Czego chcecie? – zapytał odrobinę niepewnie.

– Paru odpowiedzi. – Ślipiak przestał się krzywić i z radością wrócił do roli bezlitosnego inwigilatora. – Co robiłeś pod Urzędem Skarbowym?

– Parkowałem, nie wolno?

– Mamy twój sprzęt do podsłuchiwania! – huknął wodnik.

– Dobra, podsłuchiwałem – przyznał się Duży.

– Dlaczego?

– Bo mi kazali?

– Kto kazał? – zapytał złowrogo Ślipiak.

– Szefostwo.

– Dlaczego? – zainteresował się Jens.

– Nie wiem – oznajmił bohaterko Duży.

Ślipiak poszczekał mu sekatorem nad uchem. Duży trochę się spocił.

– Jak zabrudzisz podłogę krwią, to sam będziesz sprzątać – zastrzegła

Monika, rzucając wodnikowi karcące spojrzenie. – Ja się brzydzę.

– Nie ma sprawy. – Ślipiak machnął lekceważąco sekatorem, prawie waląc Dużego w głowę. – Zauroczymy kogoś, to wypucuje wszystko na błysk.

– Szukają jakiejs książki – skapitulował Duży, który zdążył się już bardzo spocić. Nie tyle z powodu sekatora, co raczej przez ów krótki dialog na temat sprzątanía. Przeprowadzony stanowczo w tonie zbyt lekkim jak na kogoś, kto liczył się z życiem niepożądanych świadków. – Podobno jest wiele warta.

– Świetnie – westchnęła Monika. Ona też zaczynała czuć się zmęczona całą tą kołomyją. Zakłęcia, których nauczyła ich księga, były całkiem interesujące, z pewnością bardzo praktyczne, a niektóre nawet w pewnym sensie potężne. Nie na tyle jednak, żeby warto było o nie wszczynać tyle zamieszania. – Tylko warszawskiej mafii nam tu brakowało, bo ty jesteś z mafii, prawda? – upewniła się. Duży pokiwał głową, jeszcze bardziej zdenerwowany. Nawet im było obojętne, z kim zadzierają!

– Bardziej niż mafią martwiłbym się, że wiedzą, gdzie szukać – powiedział Jens. – Kręcą się koło Urzędu jedni, to niedługo przyjdą drudzy.

– Wujek nie zgodzi się na przechowywanie ich wszystkich w garażu – uprzedziła natychmiast Monika.

– Wynajmiemy jakiś magazyn – zaproponował Ślipiak. Nigdy jeszcze tak dobrze się nie bawił.

– Filmy gangsterskie ci się na umysł rzuciły – ofuknęła go rusałka. – Każdego podejrzanego typa będziemy łąpać i pakować do magazynu?! I co niby mamy z nimi robić?! W Bystrzycy się nie potopiają, bo za płytko! A tego trzeba stąd jeszcze dziś zabrać, bo wujek będzie chciał tu majsterkować.

– Przede wszystkim trzeba uprzedzić Piotrka, że mamy na karku jeszcze mafię – zdecydował Jens.

– Ty mu powiesz czy ja?

– Ja. Ty musisz pilnować więźnia i powstrzymywać wujka od wejścia



do garażu.

– Co? – Monika wstała tak gwałtownie, że prawie wpadła do kanału. – Mam zostać tu sama z tym gangsterem?

– Ślipiak z tobą zostanie.

– Nie mogę – wtrącił wodnik. – Żaby pewnie się już martwią. Ostatnio zrobiły się bardzo nerwowe. Mówią, że prowadzimy niebezpieczne życie.

– Dasz sobie radę – stwierdził Jens z takim przekonaniem, że wszelkie słowa protestu zamarły jej na ustach. – Wrócimy, jak znajdziemy jakiś opuszczony magazyn.

Wyszli. Monika spojrzała na drzwi z głębokim namysłem. Jak on na nią patrzył! Jakby góry mogła przenosić! Poczowała, jak na policzki wypęła jej gorący rumieniec. Ostatecznie mogłaby nawet spróbować. Jedną małą górę. Tak na próbę...

– Czyli zostaliśmy sami? – odezwał się z dołu Duży.

Rusałka westchnęła ciężko, zeszła do niego i spojrzała mu prosto w oczy. Duży zeszytniał, wyprostował się i zastygł. Monika zakneblowała go profilaktycznie, wyszła z kanału, ustawiła lampkę na czymś, co kiedyś było stołem, i zaczęła przeszukiwać stopy starych gazet, mając nadzieję na znalezienie ciekawej lektury.



Zanim weszła na klatkę schodową, Czarna Kasieńka wyciągnęła wizytówkę i jeszcze raz sprawdziła adres. Domofon nie stanowił dla niej problemu, otworzyła zamek ruchem dłoni. Przed drzwiami do mieszkania zatrzymała się na chwilę, założyła czarne rękawiczki. Sięgnęła za pazuchę po swoje ulubione narzędzie pracy. Potem nacisnęła dzwonek.

Starszy pan wyrzwał przez wizjer i zobaczył młodą, ładną dziewczynę w tonacji *noir*. Cofnął zakłęcia blokujące, odsunął zasuwę, otworzył drzwi. Nie zdążył wyartykułować zainteresowania, które pojawiło się na jego twarzy, kiedy dziewczyna jedną ręką złapała go za koszulę na piersi i

wepchnęła do mieszkania. W drugiej ręce miała coś, co na podstawie wiedzy czerpanej z namiętnie oglądanych amerykańskich filmów akcji starszy pan zidentyfikował jako pistolet z tłumikiem. Kopniakiem zamknęła za sobą drzwi.

– Ręce tak, żebym je widziała – warknęła. – I nie próbuj żadnych czarów.

– Czarów? – Mag zrobił zdziwioną minę. – Czary nie istnieją.

– To dobrze. – Kasieńka wykrzywiła usta w dość przerażającej parodii uśmiechu. – Nie musisz się bać, że rzucę na ciebie potrójną pętlę zanikania stopnia drugiego.

Mag bardzo głośno przełknął ślinę.

– Taka ładna dziewczyna, a biega z bronią i rzuca takie brzydkie czary – wykrztusił, starając się nadać swoim słowom jak najłżejsze brzmienie. Bezskutecznie.

– Życie jest brutalne i pełne zasadzek – pouczyła go twardo Kasieńka. Puściła maga i odsunęła się o krok, ciągle trzymając w wyciągniętej ręce broń. – Porozmawiajmy o księdze – zaproponowała.

– Jakiej księdze? – zdziwił się starszy pan.

– Tej księdze. – Ponad łufę oczy Kasieńki spoglądały na niego podejrzliwie. – Tej samej, której całe życie szukałeś. Znalazłeś. Urząd Skarbowy pomógł ci ją odzyskać.

Zamrugnął niepewnie.

– Ja... ja nie wiem, o czym ty mówisz.

– Nie ze mną te numery – huknęła Kasia ostro, podnosząc łufę pistoletu na wysokość oczu swojego rozmówcy.

Mag zaczął się trząść. Kasieńka przyjrzała mu się z zainteresowaniem, potem podeszła bliżej, złapała go za gardło, pochyliła się i spojrzała na niego bardzo, bardzo uważnie.

– Księga – powiedziała.

W oczach maga pojawił się popłoch, niezrozumienie i coś jeszcze. Kasieńka знаła ten specyficzny błysk, widywała go wielokrotnie u ofiar jej antytalentu do zakłéc czy też mniej inwazyjnych działań Małego i Dużego. Widziała to tyle razy, że osobnika z wymazaną pamięcią

rozpoznawała bezbłędnie.

– Niech to diabli! – Puściła maga, schowała broń i wyszła.



– Mafia – stwierdził Piotrek tonem skończonego fatalisty. – Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami Jens. Do takiego desperowania miał zazwyczaj stosunek ambiwalentny. Chwilowo oscylował na granicy obojętności. – Nas dziwi.

– Może jesteś nienormalny? – zasugerował dobrodusznie Ślipiak.

Piotrek zastanowił się chwilę.

– Nie – orzekł, rozważywszy podsuniętą przez wodnika opcję. – Jeszcze nie – dodał z ciężkim westchnieniem.

– Pesymizm nam tu nie pomoże – zgał go Poborca. – Monika siedzi u wujka w garażu z uprowadzonym bandziorem i oczekuje od nas jakichś twórczych wniosków. Słusznie oczekuje. Przecież nie możemy tego tak zostawić.

– Pewnie, że nie. Można bandziora utopić w stawie – Ślipiak zgłosił twórczy wniosek.

– Nie możemy – przypomniał mu Jens. Wodnik bezwzględnie wykazywał zbyt dużą tendencję w kierunku rozwiązań kategorycznych. Przez moment zastanowił się, jak Ślipiak zareagowałby na propozycję spalenia delikwenta na stosie. Z równym zapałem? Potrząsnął głową. Podsuwanie wodnikowi kolejnych makabrycznych koncepcji stanowczo nie było dobrym pomysłem.

– Jesteśmy Urząd Skarbowy, a nie mafia. My nie topimy ludzi.

– No, jeśli o konkrety chodzi... – odchrząknął nerwowo Piotrek. Wyraz bólesci na jego twarzy ustąpił w pewnej mierze zakłopotaniu. – Osobiście tego nie pochwalam, ale się zdarzało.

– Czy to znaczy, że mam iść po wiadro i cement? – zapytał złośliwie Jens.

– Nie! – Piotrek aż podskoczył na krześle.

– To znajdź nam miejsce, gdzie go przechowamy.

– I żeby było gdzieś obok miejsce dla żab – domagał się Ślipiak. – Dzwoniłem do nich. Obejrzały „Pulp Fiction” i chcą być jak Uma. Powiedziały, że mam się nauczyć tańczyć jak Travolta. – Westchnął ciężko. – Co za czasy. Kiedyś płazy były mniej wymagające.

– No dobra. – Piotrek westchnął jeszcze ciężiej i wstał z krzesła. Z szuflady biurka wyciągnął latarkę. – Poszukamy. Chodźcie.

Poszli do recepcji. Piotrek otworzył eleganckie dwuskrzydłowe drzwi z napisem „Obsługa klientów”.

Jens i Ślipiak zatrzymali się w progu.

– Co to ma być? – zapytał nieufnie ten pierwszy.

Za drzwiami był ciemny, długi korytarz i schody prowadzące w ciemność. Nieliczne pochodnie oświetlały zaledwie fragmenty kamiennego muru, pokrytego gdzieś tam paskudnymi liszajami.

Wodnik cofnął się i jeszcze raz przeczytał tabliczkę na drzwiach.

– No tak. – Pokiwał głową. – To naprawdę wiele wyjaśnia.

Piotrek spojrział na niego z urazą. Zapalił latarkę i zaczął schodzić na dół. Jens i Ślipiak ruszyli za nim. Korytarz był długi i ponury. Schodzili co najmniej dwadzieścia minut, zanim wreszcie dotarli do niewielkiej, zapuszczonej sali, być może poczekalni dla zdesperowanych petentów, ponieważ miejsce było odrażające i ponure. Na obrośniętej dziwnymi grzybami ścianie ktoś przymocował elegancką białą tabliczkę w kształcie strzałki, na której niebieskimi literami napisano:

ARCHIWUM pokoje 1-2455

INFORMACJA pok. 2456

*REKLAMACJE, SKARGI I ZAŻALENIA pok. 7945*

*ZWROT NADPŁAT pok. 45567*

*Świece za opłatą można nabyć w pokoju 3067*

– Nie ma to jak Urząd przyjazny konsumentowi. – Wzdrygnął się nerwowo Ślipiak. – Nic dziwnego, że wszyscy tak źle o was mówią.

– To tak dla szpanu – wyjaśnił Piotrek. – Pokoje 2785, 5893, 6221

albo 7334 powinny być wolne. Po ostatniej reorganizacji przenieśliśmy część biur.

Wodnik zajrzał do małego korytarzyka, który wskazywała strzałka. Zobaczył długi tunel mniej więcej metrowej szerokości, którego koniec tonął w ciemnościach. Tuż obok wejścia były drewniane, okute żelazem drzwi z numerem jeden. Drzwi z numerem dwa nie było widać. Ślipiak, ostrożnie i z niejakim obrzydzeniem, uchylił te pierwsze i zajrzał do środka. Wielka sala wypełniona była potężnymi regałami, których najwyższe półki ginęły gdzieś w ciemnościach pod niewidocznym sufitem.

– Po co takie archiwum?! – jęknął ze zgrozą. – Przecież macie wszystko w komputerach.

– Zgodnie z tradycją, każdy obywatel ma prawo przyjść i wyszperać w archiwum swoje dane – wyjaśnił Piotrek. – Tak jest od setek lat. Wystarczy znać swój numer ewidencyjny, mieć świecę i drabinę.

– A skąd ktoś ma wiedzieć, jaki jest jego numer ewidencyjny?

– Może zapytać w informacji.

– A skąd ma wziąć drabinę?!

– No, z tym może być problem – zgodził się Piotrek. – Za dużo petentów z nich spadało. Dla bezpieczeństwa klientów usunęliśmy wszystkie drabiny.

Ślipiak zajrzał jeszcze raz do pokoju numer jeden.

– Tak z ciekawości, ile mają te regały? – zapytał. Z jego miny wynikało niezbitcie, że właśnie pożegnał się z myślą, iż kiedykolwiek zdoła zrozumieć ludzi.

– Sześć metrów.

– Dawaj tę latarkę, idziemy sprawdzić pokój dwa tysiące ileś. – Jens westchnął ciężko, gratulując sobie w myślach, że jest pracownikiem tego piekielnego Urzędu, a nie petentem. – Teleportacja to chyba nie jest najlepszy pomysł...

– Co ty, zgłupiałeś? – Piotrek skrzywił się z niesmakiem. Cofnął się o krok i zapukał w tabliczkę.

– Pani Halinko!

Ściana uniosła się, ukazując elegancką recepcję, utrzymaną w miłych dla oka, pastelowych kolorach. Pod ścianami stały doniczki z palmami, z głośniczka sączyła się relaksująca muzyka, a za nowoczesnym biurkiem ze szklanym blatem siedziała urzędniczka.

Jens i Ślipiak zatrzymali się na progu, nie odrywając od niej wzroku.

– To jest pani Halinka. – Piotrek dokonał prezentacji. – Od siedemdziesięciu lat zdobywa tytuł pracownika roku.

Pani Halinka uśmiechnęła się skromnie. Jens aż się wzdrygnął, wodnik pisnął i przezornie skrył się za plecami Niemca. Tylko łypał zza nich niebieskim okiem.

– Tacy pracownicy jak pani to skarb – zapewnił Piotrek urzędniczkę.

– Ależ panie kierowniku – zahuczwała pani Halinka, oblewając się rumieńcem.

– Niech nam pani sprawdzi, która cela jest wolna – poprosił Piotrek. – 2785, jeśli dobrze pamiętam, powinna być pusta.

– Już nie, panie kierowniku. – Pani Halinka zatrzepotała rękami, wciąż sploniona niczym pensjonarka. – W zeszłym tygodniu zrobiliśmy tam pomieszczenie gospodarcze. Sprzątaczkі bardzo narzekały, że za każdym razem muszą biegać aż do 5590. Ale 5342 jest pusty i mamy wolną salkę 1890, musieliśmy ją opróżnić po tym, jak ten klient w zeszły czwartek wszedł na regał i złamał półki. Sufit się troszkę obsunął i musieliśmy zrobić remont. Akta przenieśliśmy do 13479.

– Dobrze, niech mi pani da klucze. Ci panowie – wskazał na Jensa i Ślipiaka – przyprowadzą tu później notorycznego oszusta podatkowego. Musimy odbyć z nim poważną rozmowę.

– Tak, panie kierowniku. Z oszustami to trzeba ostro. – Pani Halinka wyszła zza biurka, otworzyła wielką, drewnianą skrzynię i pogrzebała w niej chwilę. – To ten, panie kierowniku. – Podała Piotrkowi mały kluczyk z numerem 5342.

– Wolelibyśmy 1890 – wtrącił Jens.

– Ale tam są jeszcze rusztowania po remoncie – zatroskała się wzorowa urzędniczka.

– Nie szkodzi, nie przeszkadzają nam – zapewnili ją zgodnym chórem.

Pani Halinka wzruszyła ramionami, schyliła się i wygrzebała ze skrzyni pełnej małych kluczyków ten z numerem 1890.

– Dziękujemy. – Jens szybko wyjął jej kluczyk z dłoni, starając się przy tym zachować możliwie największy dystans, po czym jednym gestem wypchnął Ślipiaka za drzwi.

Piotrek jako jedyny przed wyjściem ukłonił się pani Halince.

– Do widzenia.

– Do widzenia, panie kierowniku – zahuczało za nimi i odbiło się echem w ciemnych korytarzach.

– Co to było?! – Jens nie próbował już ukryć zdumienia, niepozbawionego też i odcienia zgrozy.

– Pani Halinka. Pracuje w Urzędzie już ponad sto lat.

– Ale co to jest?!

– Troll miejski. Zanim przyszła do nas, pracowała w szkolnych sekretariatach. Ma wspaniałą kontakt z młodzieżą. Wprost uwielbia dzieci.

– Nie wątpię. Zapewne najchętniej takie przyrządzane w głębokim oleju – mruknął Jens, idąc w stronę wyjścia. – Jedziemy po bandziora.



Na zewnątrz robiło się ciemno. Monika siedziała w garażu, czytając przy lampce broszurkę z serii „Ewa wzywa 07”. Z ręką na sercu mogła powiedzieć, że to najpaskudniejszy przykład absolutnej grafomanii, jaki kiedykolwiek miała w ręku. Czytała to, bo po takiej lekturze każda inna książka będzie niczym dzieło noblisty, a poza tym w garażu i tak nie było nic lepszego do roboty. Duży siedział nieruchomo. Co jakiś czas schodziła do kanału i powtarzała hipnozę, żeby się przypadkiem nie ocknął. Nie życzyła sobie przebywać w towarzystwie przytomnego zбира, tym bardziej w miejscu raczej odludnym, wyjątkowo średnio oświetlonym, a do tego pełnym najróżniejszych narzędzi. Drzwi uchyliły się.

– No wreszcie... – Rusalka podniosła głowę. Tylko głowę, bowiem

zanim zdążyła unieść resztę ciała z krzesła, zaskoczenie na chwilę odebrało jej zdolność ruchu.

W drzwiach stał pan Sprawiedliwość.

– Przytulnie tu – stwierdził, rozejrzawszy się. – Lekki półmrok. Dużo narzędzi. Atmosfera.

Monika odzyskała władzę w członkach równie szybko, jak ją utraciła. Wstała i cofnęła się o krok. Za plecami poczuła krawędź stolika. Sięgnęła po omacku dłonią. Gdyby był tu Jens, z pewnością znów słyszałby muzykę Wagnera. Ale Jensa nie było. Wyraz twarzy rusałki na nikim więc nie zrobił wrażenia.

Niespodziewany gość zajął do kanału.

– Ciekawe – podsumował lakonicznie. Podszedł do Moniki. – Muszę przyznać, że dałem się nabrać. – Wyciągnął kwiat, który miała we włosach. – Gdybyś miała taki kwiatek, kiedy spotkalibyśmy się pierwszy raz, wszystko byłoby jasne.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Z udawanym spokojem patrzyła panu Sprawiedliwość w oczy. Natychmiast porzuciła myśl o rzuceniu uroku. Z bliżej nieokreślonych względów uznała to za równie bezpieczne co szczucie wściekłego psa. Nie miała jednak najmniejszego zamiaru podzielić losu bandziora w kanale. Jej palce wciąż wędrowały po zakurzonej powierzchni stolika, aż trafiły na klucz francuski. Chwyliła go bez namysłu. Zamach był solidny, jednak na niewiele się zdało. Przeciwnik był o wiele szybszy, a do tego silniejszy. Złapał ją za rękę.

– Nieładnie tak traktować ludzi – stwierdził z naganą w głosie.

Rusałka kopnęła go z całej siły w goleń. Wolną ręką sięgnęła do stosu broszur pokrytych warstwą dziesięcioletniego kurzu i chwyciwszy, ile się dało, cisnęła mu nimi w twarz. Chmura pyłu mogłaby z powodzeniem pretendować do miana niewielkiej burzy piaskowej. I zapewne na pustyni byłaby całkiem na miejscu. W niewielkim garażu okazała się być niemalże zabójcza. Przez następne kilka minut przy akompaniamencie kaszlu i rżenia oślepiona rusałka machała desperacko rękoma, starając się rozpaczliwie spowodować oczyszczenie atmosfery. Kiedy jej się to wreszcie udało, wszystko, z nią na czele, było o wiele brudniejsze, a po



panu Sprawiedliwość i Dużym nie było nawet śladu.

Monika westchnęła ciężko i natychmiast znowu rozkaszała się spazmatycznie. Otworzyła na oścież drzwi do garażu, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, ewentualnie wypuścić na zewnątrz kurz, a sama usiadła na ławeczce pod brzošką i zajęła się czyszczeniem odzieży. Melancholijnie pomyślała, że przynajmniej mają z głowy problem kryjówki dla bandyty. Nie było to wielkie pocieszenie, ale zawsze coś.



Ciemnobure oczy bandyty spoglądały nerwowo przez otwory wycięte tępyimi nożyczkami w czarnych rajstopach grubości 40 den. Miał irytującą świadomość, że nad uchem poszło mu oczko. No i oczywiście ścigała go policja. Napad na Poczte Główną nagle przestał mu się wydawać takim wspaniałym pomysłem. W pobliżu budynku poczty nie było miejsca, więc jego podrasowany „daj-ewo” stał na nowiutkim, piętrowym parkingu na Okopowej, dokładnie naprzeciwko prokuratury. Bandyta dopiero zaczynał swoją wspaniałą karierę, zainspirowaną polskimi magazynami kryminalnymi.

Postanowił nie zrażać się drobnymi trudnościami, nabrał powietrza w płuca i puścił się biegiem na zachód. Za ledwie skręcił za McDonald'sem w ulicę Hempla i już, już dostrzegał wspaniałą bryłę nowoczesnego parkingu, kiedy z bramy wystrzeliło żylaste, długie ramię długości prawie dwóch metrów, zakończone płaską, pokrytą krostami łapą. Łapa złapała go za kurtkę i zupełnie nieoczekiwanie znalazł się w bramie, gdzie spojrział prosto w szeroką paszczę pełną żółtych zębów, ziejącą stuprocentowo nieświeżym oddechem. Bandyta miał dwadzieścia trzy lata i zdrowy układ krążenia. Tylko dlatego nie dostał zawału. Ale przytomność stracił. Monstrum uniosło bezwładnego rabusia na wysokość niedużych żółtych oczek, obejrzało uważnie, a potem wyrzuciło na ulicę, dokładnie pod nadjeżdżający radiowóz, który zahamował z piskiem opon.

Policjanci zajęli się rabusiem, a pokryte krostami monstrum cofnęło się

w cień podwórza i dokonało niewielkiej implozji, która zmniejszyła jego rozmiary i zmieniła kształt. Jagienka przybrała ludzką postać.

Ludzka postać Jagienki charakteryzowała się długimi rudymi włosami, opadającymi łagodnymi falami aż do niesamowicie wąskiej talii, zielonymi oczyma i oszałamiającą urodą. Ludzie z reguły nie bywają tak idealnie piękni. Jagienka była. Za to nie była człowiekiem. Jej prawdziwa postać przyprawiłaby o poważne problemy kardiologiczne i głęboką traumę najbardziej odchylonego absolwenta demonologii stosowanej. Jagienka należała do demonów jednego z wyższych rządów zgromadzenia. Ponieważ jednak nie był to rząd najwyższy, a ona sama miała niejakie kłopoty z postępowaniem zgodnie z zasadami demoniej zwierzchności, jak i z tej zwierzchności akceptacją, chwilowo była demonem zesłanym na ziemię i obarczonym irracjonalnym obowiązkiem czynienia dobra. Nigdy nie zdołała pojąć, jak komuś przyszło do głowy, że z natury zły demon może spełniać dobre uczynki. Konieczność wypełniania misji wpędzała ją w podwójną frustrację. Po pierwsze, robiła coś niezgodnego ze swoją naturą, po drugie, często nie wychodziło jej to jak powinno.

Jedyną zaletą pobytu na ziemi była możliwość dbania o swój wygląd zewnętrzny, której to niewinnej rozrywki nikt Jagience nie zabronił, a za to, że zapatrzeni na jej nogi kierowcy powodowali krwawe wypadki, nie można było w końcu jej winić. Mogli przecież uważać. Odziana w elegancki płaszcz o wyjątkowo dopasowanej talii i kozaczki na obcasach, na których normalna kobieta nie byłaby w stanie utrzymać równowagi, Jagienka prezentowała się więcej niż doskonale.

Wyjrzała z bramy i przez chwilę obserwowała akcję policji, komentowaną przez dwie ekipy telewizyjne i trzy radiowe. Uznała, że dobry uczynek został spełniony. Mogła spokojnie rozpląnąć się w powietrzu i zmaterializować ponownie na piętrowym parkingu, obok czarnego kabrioletu, na którego tylnym siedzeniu drzemał smok.

Wedle odgórnie ustalonych zasad, Jagienka powinna spadać niczym grom z jasnego nieba, dosiadając białego smoka. Tak, według demonów z kręgów wyższych niż wyższe, miała wyglądać istota spełniająca dobre

uczynki – demonia wersja karzącego ramienia sprawiedliwości. Jakoś nie przyszło do głowy zwierzchnikom Jagienki, że takie karzące ramię sprawiedliwości wywołałoby w dwudziestym pierwszym wieku większą panikę niż cały legion terrorystów. Poza tym, chociaż Lublinowi daleko pod względem zabudowy nie tylko do Nowego Jorku, ale nawet do Warszawy, to smokiem nie było gdzie wylądować. Z tego powodu biały smok spędzał większość czasu w postaci małego, białego pieska. Oleńka nazwała go Idéefiksem, na cześć dwóch Galów i ich pupila. Zresztą Idéefix i tak nie znosił Jagienki i miał w tym względzie jej pełną wzajemność, co wykluczało latanie na nim. Smok wszelkie pozytywne uczucia zarezerwował dla Oleńki, która zawsze dzieliła się z nim chipsami. W zasadzie w tym względzie niejako zgadzali się z Jagienką. Demonica tolerowała Oleńkę do tego stopnia, że można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że ją lubi.

Oleńka pełniła funkcję pomocnicy superbohaterki, przy czym superbohaterką była oczywiście sama Jagienka. W pewnym sensie Oleńka była dla demonicy źródłem szczegółowych informacji o świecie ludzi. I skoro dziewczyna namiętnie czytywała komiksy, Jagienka też po nie sięgnęła. Szybko doszła do wniosku, że tytuł superbohaterki spokojnie może sobie przywłaszczyć. Więksi psychopaci od niej zostawali superbohaterami i ratowali świat. Do tego byli wyjątkowo niebystrzy, bo dopiero na ostatnich stronach wpadali nagle na pomysł, jak ten beznadziejny świat ocalić. Nie wspominając już o tym, że w kolorowych rajstopach Jagienka prezentowała się dziesięć tysięcy razy lepiej niż oni.

Stanowisko pomocnicy Oleńka przyjęła bez protestów, bo nie wymagało od niej żadnych specjalnych wysiłków poza opieką nad Idéefiksem. Ten obowiązek wypełniała nie tylko sumiennie, ale i z przyjemnością, bo generalnie przedkładała zwierzątka, w tym również i smoki, nad ludzi. Studiowała psychologię, przygnana na wydział nieśmiałą nadzieją, że nauczy się tam, jak kontrolować umysły ludzi i zmusić ich, żeby wreszcie przestali się mordować i byli miłsi dla swych braci mniejszych. Aktualnie przeżywała rozczarowanie wybranym

kierunkiem.

Oleńka nieuchronnie zbliżała się do końca szczęśliwych lat nastoletnich, czyli do swoich dwudziestych urodzin. Miała niebieskie oczy i ciemne włosy, zazwyczaj związane w dwa kucyki. Oprócz komiksów lubiła gry komputerowe, zwłaszcza „Sapera”, i książki. Podkradane babci harlekiny, których lektura stanowiła jej główne zajęcie pomiędzy dziewiątym a dwunastym rokiem życia, solidnie spaczyły jej pogląd na rzeczywistość, zwłaszcza na płęć męską. Obecnie Oleńka zdążyła pogodzić się z faktem, że wymarzonego księcia z bajki nie znajdzie, a obniżyć wymagań nie była w stanie, bo wrosły na stałe w jej charakter, serce i duszę. W związku z tym od pewnego czasu unikała swojej babci, która coraz natarczywiej domagała się, żeby wnuczka ją odwiedziła w towarzystwie materiału na życiowego partnera. Inni członkowie rodziny bliższej lub dalszej też zaczęli czynić podobne sugestie, tym chętniej więc Oleńka przebywała w towarzystwie demonicy, której wszelkie plany matrymonialne były najzupełniej obojętne.

Jagienka, która po spełnieniu dobrego uczynku całkowicie straciła zainteresowanie dla dalszych losów zarówno bandyty, jak i policjantów, w nonszalanckiej pozie za kierownicą czarnego kabrioletu zbliżała się właśnie do gmachu lubelskiej uczelni. Zgodnie z przewidywaniami, zobaczyła bordową torbę Oleńki, opuszczającej mekkę studentów, w której to pożądanicy wiedzy akolici mogli zdobyć odbitkę ksero za groszy siedem.

Jagienka z piskiem opon zahamowała na przejściu dla pieszych, prawie rozjeżdżając kilku zamyślonych studentów. Drzwiczki pasażera znalazły się dokładnie naprzeciw Oleńki, która wsiadła, nie przerywając liczenia skserowanych stron.

– Co tam? – zapytała nieco nieprzytomnie, rzucając niedomknięty plecak na tylne siedzenie. Idéefix natychmiast wyciągnął z niego paczkę chipsów.

– Kupiłam sobie buty. – Jagienka zerknęła w lusterko wsteczne, bynajmniej nie dla oceny ruchu drogowego, ale po to, żeby czułym

spojrzeniem obrzucić torby z zakupami. – Nie nakrusz na siedzenie – warknęła pod adresem Idéefiksa. W odpowiedzi Idéefix warknął pod jej adresem.

Demonica dodała gazu. Od chwili, gdy Jagienka pojawiła się w Lublinie, kilkakrotnie wzrosła liczba użytkowników kładek nad ulicami.

Zostawiwszy za sobą kilka skrzyżowań, które z chwilą pojawienia się Jagienki okazały się jakby mniej zakorkowane, i kilku pieszych, niedoszłych uczestników wypadku, którzy wciąż jeszcze próbowali dojść do siebie, demonica z fasonem zajechała przed biały domek, który, jak zresztą wszystkie domki w tej okolicy, przypominał dworek Sopliców.

Od razu zauważyła stojący na podjeździe czarny samochód, nie tak ekskluzywny i nie tak zadbany jak jej kabriolet. Ten czarny samochód należał do jej byłego męża.

Małżeństwo było jedną z pierwszych głupich rzeczy, które przytrafiły jej się po przybyciu na ziemię. Jagienka wprawdzie nie miała szczególnego rozeznania w godowych rytuałach rodzaju ludzkiego ani w związanych z nimi dziwacznych formalnościach, ale nie mogła się oprzeć gorącemu, płomiennemu wręcz wyrażaniu uczuć dla swojej osoby. Tym bardziej, że była tego samego zdania. Nadto kandydat na męża wydał jej się nieco bardziej interesujący niż reszta populacji. No i kochał ją, ze strach. Poza wszystkim zaś, spełnienie tak gorącego pragnienia, tak gorliwie wyrażanego marzenia było przecież bezwzględnie dobrym uczynkiem. Z tą myślą Jagienka dała się poprowadzić, wprawdzie nie do ołtarza, ale przed oblicze urzędnika stanu cywilnego.

Jednak, jak to zwykle bywa, spełnione marzenia rzadko kiedy dorównują wyobrażeniom. Niemalże równie szybko, jak stała się mężatką, Jagienka przeistoczyła się w rozwódkę. Po wszystkim został jej śmieszny papierek z sądu, orzekający, jakoby żadne z nich nie było winne temu, co się stało, młodsza siostra eksmęża, Oleńka, i sam były mąż, zdaniem Jagienki bardziej psychiczny niż większość ludzi, a prezentujący całkiem nienormalne przywiązanie do niej samej.

Oleńka wy dostała się z samochodu, zabierając ze sobą Idéefiksa i puste opakowanie po chipsach.

– O, Michał przyjechał – zauważyła. – Dawno go nie było.

Smok powęszył w powietrzu, a potem z jazgotem rzucił się za dom. Poszły za nim obie. Obszczekiwał szklarnię, w której Oleńka hodowała pomidorki. Za szkłem majaczyły jakieś kształty.

– Nie sam przyjechał – powiedziała skrzywiona Jagienka i energicznym szarpnięciem otworzyła drzwi. Trochę zbyt energicznie, bo zostały jej w ręce. Cisnęła je gdzieś za siebie i weszła do szklarni.

Na jej widok Michał Sprawiedliwość podniósł głowę znad talerzyka z ciastem. Demonica obrzuciła wrogim spojrzeniem swojego byłego małżonka, następnie drugiego mężczyznę, leżącego pod grządką z żółtymi pomidorami.

– Nie dość, że zżerasz mój torcik wiśniowy, to jeszcze trupy przywozisz – burknęła, nie kryjąc niezadowolenia głównie z powodu torciku. – Co my mamy z nim niby zrobić, zakopać pod pomidorami?

– Niewykłuczone, że dobrze by im to zrobiło. – Pan Sprawiedliwość przyjrzał się krytycznie grządkom. – Tyle że on jest jeszcze żywy.

– A po co nam go przywiozłeś? – Poświęciła leżącemu jedno bardziej uważne spojrzenie. – I to do tego związanego jak barana.

Oleńka precyzyjnie się obok Jagienki i złapała Idéefiksa, który nerwowo obwąchiwał jeszcze żywego gościa.

– Kto to? – zainteresowała się. Zawsze starała się okazywać zainteresowanie pracą brata w ramach wspierania.

– Mafia warszawska – wyjaśnił Michał.

– Wracając do tematu, po co nam on? – zapytała demonica nieco zirytowana. Idea wspierania nigdy jakoś do niej nie przemawiała, szkoda było marnować czas na takie głupoty.

Pan Sprawiedliwość wzruszył ramionami. Nie przyszło mu do głowy, że bandzior powinien czemuś służyć.

– Szczerze mówiąc, to nie wiem. Przywiozłem go tutaj, bo nie miałem co z nim zrobić.

Oleńka pochyliła się nad Dużym i obejrzała go sobie dokładnie.

– Nigdy nie widziałam warszawskiej mafii. – W jej głosie brzmiało zaciekawienie. – W telewizji zaśłaniają im twarze takimi rozmazanymi

kwadracikami.

– Nie sądzę, żeby warszawska mafia była najciekawszym widokiem na świecie. – Skrzywiła się ostentacyjnie Jagienka. Dziecięca prostoduszność Oleńki bywała czasem denerwująca. – Coś on nie bardzo ruchawy. Jesteś pewny, że jest żywy?

– Zauroczony. – Michał przełknął ostatni kawałek tortu. – Zabrałem go jednej rusalce.

– Rusalce? Kto by pomyślał, że warszawski gangster jest aż tak pożądanym towarem – mruknęła Jagienka. – Dopóki jest nieprzytomny, to niech sobie tu leży. Ja jestem głodna i muszę coś zjeść. A potem pewnie będę nalegała, żebyś go stąd zabrał.



Furgonetka Urzędu Skarbowego już prawie dojeżdżała do garażu wujka Moniki, kiedy zadzwonił telefon Jensa. Zajęty prowadzeniem samochodu Poborca wetknął słuchawkę Ślipiakowi.

– Możesz zwolnić – powiedział po chwili wodnik. – To Monika, mówi, że pan Sprawiedliwość porwał naszego gangstera.

Jens zahamował gwałtownie.

– Porwał nam gangstera?

– Kto ci dał prawo jazdy? – jęknął Ślipiak z urazą, wdrapując się z powrotem na siedzenie. – Przecież mówię: nie ma gangstera, pan Sprawiedliwość go zabrał. Monika mówi, że nie wie, czy to dobrze, czy źle, ale ma zamiar się cieszyć, bo przynajmniej problem mamy z głowy i nie musimy nikogo topić w Bystrzycy. Jakby co, to pan Sprawiedliwość będzie topił.

– Dobra, zrozumiałem. Przynajmniej to, że nie mamy gangstera. – Jens ruszył, tylko o wiele wolniej niż poprzednio. – Zadzwon do Piotrka i powiedz mu, że nie będziemy przechowywać uprowadzonych zbirów w dziale obsługi klienta. Pewnie mu ulży.

– Będę musiał zawiadomić żaby, żeby się nie robiły na Umę – stwierdził posępnie wodnik. – Nie spodoba im się to, już się nastawiły

na bycie żabami mafii podatkowej.

– Przeżyją – pocieszył go Poborca.

– One tak, ale czy ja też? – zasępił się Ślipiak.



Dokładnie trzy czwarte lodówki zapełniały torty, szarlotki, wuzetki i wszystkie możliwe rodzaje ciast, stanowiące jedyne pożywienie Jagienki. Wysokoenergetyczne, a przy tym posiadające jakieś walory smakowe. Pozostałą część dostępnej przestrzeni zajmowały produkty, którymi żywiła się Oleńka: jogurty, warzywa i mleko do płatków. Demonica z irytacją stwierdziła, że pan Sprawiedliwość wyjadł jej cały torcik wiśniowy, co w znaczący sposób uszczupliło jej zapasy. Nie tknęłaby jedzenia Oleńki za żadne skarby, ani tego świata, ani świata demonów. Po długim namyśle zdecydowała się spożyć półkilogramowy kawałek tortu ananasowego i przy najbliższej okazji wysłać pomocnicę do sklepu. Oleńka, nieświadoma rozterek żywieniowych Jagienki, jak zawsze zatroszczyła się w pierwszej kolejności o smoka. Wrzuciła Idéefiksowi do miski zawartość trzech puszek psiej karmy, a potem nastawiła wodę na herbatę. Michał usiadł przy stole.

– Teraz wyjaśnij, co robi bandzior w szklarni – zażądała stanowczo demonica, sadowiąc się naprzeciwko z talerzem pełnym ciasta.

– Pamiętasz tę książkę, którą zabrałaś w hipermarkecie kłócącym się magom? – zapytał.

– Nie zabrałam – obruszyła się Jagienka. – Ktoś nią we mnie rzucił i prawie stłukł mi całkiem nowe perfumy, więc zabezpieczyłam ją na wszelki wypadek – sprostowała z urazą. – Żeby móc potem spełnić dobry uczynek i komuś ją oddać – dodała ponuro.

Dobre uczynki były zmorą jej egzystencji na ziemi. Jej właściwym obowiązkiem było pilnowanie ruchu obustronnego przez znajdujące się na terenie miasta przejście międzywymiarowe. Kolejne demony pilnowały go od jakichś kilkuset, może nawet kilku tysięcy lat. Teraz ten dość uciążliwy obowiązek spadł na Jagienkę. I bardzo, ale to bardzo



chętnie by się dowiedziała, który z jej poprzedników wprowadził irytującą konieczność świadczenia usług na rzecz miasta i okolicznej ludności. Jakiś stary pryk zapisał to w karcie „Obowiązki i prawa strażnika przejścia międzywymiarowego w Lublinie” i chcąc, a o wiele bardziej nie chcąc, Jagienka musiała ustawowo spełniać dwa i pół dobrego uczynku tygodniowo. Zapisywała je skrupulatnie, żeby się nie pomylić. A ponieważ była raczej ludziom niezycliwa, znajdowanie okazji do wypełnienia zobowiązań stanowiło problem urastający do rangi udręki.

– Znalazłeś prawowitego właściciela? – zapytała raczej beznadziejnie. – Powiedziałeś, że znajdziesz.

– No, z tym był pewien kłopot. – Michał nie bardzo lubił przyznawać się do porażek. Zaraz też przyznanie uzupełnił wyjaśnieniem. – Wokół tej księgi jest tyle zamieszania, że sam nie wiem, czy oddanie jej komukolwiek byłoby dobrym uczynkiem czy raczej początkiem katastrofy.

– Może to nawet i lepiej, bo księgę zjadł Idéefix – oznajmiła Jagienka.

– Co?! – Takiego obrotu sprawy Michał z pewnością się nie spodziewał.

– Zaszkozi mu – zmartwiła się natychmiast Oleńka.

– Nic mu nie zaszkozi – stwierdziła z kamienną pewnością demonica.

– A nawet jeśli, to mała strata. – Spojrzała na pieska spode łba. – Nawet się zastanawiałam, jakby ją z niego wyciągnąć, ale skoro lepiej jej nie oddawać, to problem z głowy. Myślicie, że nieoddanie jej mogę zapisać jako dobry uczynek? – zainteresowała się nagle.



Na stacji benzynowej Czarna Kasieńka zatankowała, zapłaciła, i pieczołowicie zebrała małe naklejeczki o nominale 1 punktu. Cała mafia Magika na wyraźne polecenie szefa zbierała punkciki na stacjach benzynowych i w hipermarketach. Ulubionym zajęciem mafiosa było bowiem spędzanie godzin nad książeczkami z opisami nagród, które za

te punkciki można było zdobyć, jak również skrupulatne przeliczanie zasobów.

Po krótkim namyśle Kasia postanowiła zaryzykować i nabyć reklamowanego hot doga. Cała ta sprawa z książką sprawiła, że zgubiło jej się gdzieś kilka posiłków. Nie żeby jakoś tak specjalnie narzekała, ale coś jednak jeść było trzeba. Kiedy wyszła ze sklepu, przy samochodzie czekał już Mały.

– Mam dwie wiadomości: dobrą i złą – powiedział, siadając za kierownicą.

Kasieńka ostrożnie usadowiła się na tylnym siedzeniu, uważając, by nie zabrudzić hot dogiem ani siebie, ani tapicerki.

– Mów – ponagliła.

– Po pierwsze, szef ma już kupca na książkę.

– A to jest wiadomość dobra czy zła?

Mały wzruszył ramionami.

– Pośrednia – ocenił. – Zła, bo ciągle tej książki nie mamy, a dobra, bo szef zgarnie za nią dużą kasę.

– Wychodzi na to, że w sumie nie najgorsza, duża kasa, nawet jeśli tylko w perspektywie, to dobra wiadomość. To jaka jest zła?

– Szef kategorycznie zabronił zadzierać z Urzędem Skarbowym. Żeby nie wiem co.

Kasieńka odgryzła kawałek hot doga z melancholijną myślą, że łatwo nie będzie. Rozważania na temat: jak odzyskać Dużego bez zadzierania z Urzędem Skarbowym, odłożyła na później.



Michał Sprawiedliwość bez większych oporów opowiedział swojej byłej żonie historię poszukiwaczy magicznej księgi. Wystarczyło jedno pytanie, by, nienagabywany więcej, udzielił wyczerpujących wyjaśnień. Kiedy już opowiedział dokładnie, kto, co, i, jego zdaniem, dlaczego, a Jagienka nie przejawiała ochoty, by podzielić się z nim kolejnym torcikiem, opuścił dom swojej eksmałżonki, podstępnie zostawiając jej

bandytę w szklarni. Jagience nie chciało się za nim gonić, beztrąsko zatem zleciła rozwiązanie kwestii gangstera Oleńce, wyrażając zarazem łaskawą zgodę na pozostawienie go na noc wśród grządek.

Oleńka chwilowo nie miała głowy do bandziorów, bo załamywała ręce nad Idéefiksem, któremu magiczna księga z pewnością musiała zaszkodzić. Demonicy nie obchodził stan smoka, sprawę bandziora też uznała za załatwioną, mogła więc całą uwagę skupić na małym kieszonkowym kalendarzyku, który zawierał niezwykle cenny i istotny rejestr jej dobrych uczynków. Ciężkim westchnieniem skwitowała fakt, że w tym tygodniu brakowało jej jeszcze jednego.

Zastanowiła się chwilę, a potem sięgnęła po kartkę, na której Michał spisał wszystkich zainteresowanych księgą. Od czasu do czasu postukując końcówką długopisu o perłowobiałe zęby, przeprowadziła wnikliwą analizę i skoncentrowała się na wykreślaniu. Najpierw usunęła z listy wszystkich z wymazaną pamięcią. Skoro i tak nie pamiętali o księdze, to nie mogliby być wdzięczni, gdyby ją im oddała. Wykreśliła też wszystkich szurniętych magów, którzy pobili się w hipermarkecie. Ciągle miała do nich pretensje, że prawie stłukli jej nowe perfumy. Na liście pozostały Tajne Służby Magiczne, Urząd Skarbowy i warszawska mafia. W karcie „Obowiązków i praw” jak byk stało, że dobre uczynki mają być świadczone na rzecz miejscowej ludności. Jagienka wykreśliła Tajne Służby Magiczne, które z ludźmi nie miały nic wspólnego, i mafię, która była zamiejscowa. Został tylko Urząd Skarbowy.

## Rozdział 7

**W**stał nowy dzień, a wraz z nim pojawiła się konieczność zwleczenia się z łóżka i udania do pracy. Nie dla wszystkich było to łatwe, zwłaszcza że żaby nie przyjęły do wiadomości rezygnacji z przestępczego procederu, zrobiły się na Umę i urządziły wieczorek taneczny. Jens z zatyczkami do uszu uciekł do kuchni, gromkim głosem odmawiając udziału w zabawie. Wodnik wbił się w garniturek í la Travolta, a Monika z góry wyraziła zgodę na wszystko pod warunkiem, że będą tańczyć przy jej ulubionej piosence. W rezultacie bawiła się cała klatka schodowa i wezwany do interwencji patrol policji, a Jens przespał twardo całą noc, rzuciwszy na siebie zakłęcie głuchoty. Rankiem pozostało mu tylko dostarczyć chrapiącego Ślipiaka i odrobinę nieprzytomną rusałkę do Urzędu, gdzie mogli spokojnie odespać nocną zabawę przy biurkach, jak na urzędników przystało.



O dziewiątej Oleńka postanowiła wstać i zjeść jogurt. Szurając kapciami, powędrowała najpierw do łazienki, a potem do kuchni. Na drzwiach lodówki zobaczyła kartkę, na której płonącymi literami Jagienka wypisała stanowcze polecenie: „Pozbądź się bandyty z pomidorów”. Ola wyjęła z lodówki jogurt, znalazła łyżeczkę i spożywając śniadanie, wpatrzona w skwierczący napis, skoncentrowała się na problemie.

Zadanie wcale nie było takie proste, zwłaszcza że człowiek to też zwierzę i trzeba postępować wobec niego humanitarnie. Przynajmniej

Oleńka była tego zdania. Próba namówienia Michała, żeby zabrał sobie swojego bandytę, spaliła na panewce, bo jego telefon uparcie nie odpowiadał. Miły głos damski informował cierpliwie, że abonent jest chwilowo niedostępny.

Odłożyła słuchawkę, skończyła jeść jogurt i przystąpiła do twórczego działania. Mianowicie zadzwoniła po radio-taxi. Kiedy upewniła się, że taksówka pojedzie za pięć do sześciu minut, poszła do szklarni.

Duży, potraktowany poprzedniego dnia przez rusalkę kilkoma urokami pod rząd, ocknął się dopiero przed świtem. Zamiast zakurzonego wnętrza garażu zobaczył nad sobą żółte pomidorki na zadbanych grządkach i zrobiło mu się nad wyraz nieprzyjemnie. Pocieszało go jeszcze tylko to, że na razie nikt go pod pomidorami nie zakopał.

Leżał na grządkach kilka godzin, wpadając w coraz większą depresję, aż wreszcie drzwi do szklarni otworzyły się i stanęła w nich niewysoka dziewczyna uczesana jak przedszkolak i do tego w T-shircie z białą owieczką na czarnym tle.

– Ten... tego... jedziemy – oznajmiła prawie zdecydowanie i stanowczo.

Z niejakim trudem wywlokła Dużego ze szklarni, niszcząc przy okazji jeden krzaczek. Taksówka podjechała, kiedy Oleńka zdołała dociągnąć gangstera do bramy, zostawiając za sobą całkiem sporą i wcale malowniczą brudę na trawniczku. Otworzyła bramę, sapiąc ze zmęczenia.

– Pomoże mi pan? – poprosiła, ocierając pot z czoła. Prowadziła zdrowy tryb życia, była wysportowana, sprawna, jednak ciągnięcie rosnącego chłopca przez podwórko okazało się zadaniem niemal ponad jej siły.

Taksówkarz wysiadł, podszedł do niej i zatrzymał się nad Dużym.

– Do bagażnika go? – zapytał niepewnie, drapiąc się w głowę.

Oleńka zastanowiła się głęboko. Przypomniała sobie o humanitaryzmie.

– Na tylne siedzenie – zdecydowała.

Przy pomocy taksówkarza upchnęła Dużego z tyłu, a sama usiadła

obok kierowcy.

- Dokąd? – zapytał taksówkarz. – Nad Bystrzycę czy nad zalew?
- Na dworzec PKS.



Elegancko ubrana Jagienka zaparkowała pod Urzędem Skarbowym i wysiadła z samochodu. Idéefix, którego trzymała na rękach, powarkiwał nerwowo. Demonica weszła do recepcji, dostrzegła napis „Obsługa klientów” i bez wahania pchnęła drzwi. Zeszła po ciemnych schodach i zatrzymała się pod tablicą informacyjną. Mrok nie stanowił problemu, w końcu była demonem i widziała w ciemnościach. Kilometrowe odległości między pokojami też jej nie przerażały. Po prostu zmaterializowała się pod drzwiami numer 2456. Były pastelowo różowe, czarne literki na białej tabliczce głośiły INFORMACJA. Poniżej na małej żółtej samoprzylepnej karteczce ktoś nabazgrał „Zaraz wracam”. Karteczka była już mocno przykurzona. Jagienka obejrzała ją uważnie. Potem przematerializowała się z powrotem pod tablicę informacyjną. A potem z lekkim rozgoryczeniem doszła do wniosku, że nieczłowiek naprawdę musi się namęczyć, żeby spełnić te dwa i pół dobrego czynku tygodniowo.



Na dworcu PKS pełno było podróżnych i kieszonkowców. Oleńka przy wydatnej pomocy taksówkarza wyładowała Dużego z samochodu, posadziła na ławeczce, zapłaciła za kurs i rozejrzała się bezradnie. Dotychczas bandzior może nie współpracował, ale i nie przeszkadzał. Łypał tylko ciemnymi oczyma znad knebla. Ale Oleńka jakoś nie spodziewała się, niczego więcej. Nie było raczej szans, by rozwiązany podziękował uprzejmie za gościnę, po czym wszedł do autobusu i wrócił do domu. I to wcale nie dlatego, że gościna okazała się być poniżej

przyjętych powszechnie standardów. Oleńka westchnęła ciężko. Nie było też szans, że sama da radę wpakować go do autobusu. Kiedy tak stała, skubiąc z zafrasowania jeden z kucyków, obok niej zatrzymała się staruszka w eleganckim szarym kapelusiku.

– Potrzebujesz pomocy, dziecko? – zapytała życzliwie, spoglądając na dziewczynę i związanego bandziora. – Za trzysta złotych moi wnusiowie wrzucą go do cementu.

– Dam sto, jak władują go do autobusu – zaproponowała Oleńka.

– Dwieście. – Babcia była twardą negocjatorką.

– Sto pięćdziesiąt.

– Umowa stoi. – Staruszka wyciągnęła komórkę i wybrała numer.

Po chwili pojawiło się obok niej trzech łysych drabów w dresach. Wszyscy wyglądali na pozbawionych szyj, małe główki wyrastały im z szerokich ramion.

– Dokąd? – zapytał najwyższy.

– Do autobusu do Warszawy. Zaraz kupię bilet. – Ola popędziła do kasy, jakby kto jej przypiął skrzydła.

Dwóch drabów złapało Dużego, a trzeci szedł z tyłu, rzucając wymowne spojrzenia na czekających pasażerów, którzy odnieśli się do sytuacji ze zrozumieniem i nie dzwonili na policję.

Kiedy Oleńka z biletem dotarła do autobusu, Duży był już załadowany na siedzenie, sterroryzowany kierowca czekał na jego bilet, a staruszka z wnusiami na zapłatę.

– Niech go pan w Warszawie rozwiąże i wypuści – poprosiła grzecznie Oleńka, oddając kierowcy bilet.

Pokiwał nerwowo głową i odjechał z piskiem opon, gdy tylko dziewczyna zeskoczyła ze stopni autobusu. Oleńka z westchnieniem ulgi zapłaciła staruszce. Babcia przeliczyła pieniądze i z uśmiechem wręczyła jej wizytówkę z eleganckim napisem **BABCIA KRYSIA I WNUSIOWIE. USŁUGI RÓŻNE** i numerem telefonu.

– To na przyszłość. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Nigdy nie wiadomo, co się dziewczynie może przydać.



Telefon na biurku Piotrka dzwonił gwałtownie i uporczywie. Dużo uporczywiej, niż Piotrek miał cierpliwości w ignorowaniu go. Kiedy podniósł słuchawkę, odezwała się w niej rozhisteryzowana pani Halinka.

– Panie kierowniku, niech pan tu zaraz przyjdzie!!! – zahuczała rozpaczliwie i rozłączyła się natychmiast, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia.

Coś w jej głosie kazało Piotrkowi wypaść pędem z gabinetu i rzucić się do działu obsługi klienta. Po drodze prawie stratował Baškę, Jensa, potracił drzemiącą przy biurku Monikę i zrzucił z krzesła Ślipiaka.

– Wykończyliście następnego – jęknęła Baška, załamując ręce.

– Taka praca. – Ślipiak ziewnął i podniósł się z podłogi, rozcierając stłuczone części niewymowne.

– Słuchajcie, trzeba za nim pójść! Tam jest ciemno, mógł spaść ze schodów i skrócić sobie kark! – Jens rzucił się w ślad za Piotrkim, jakoś nie podzielał obojętności Ślipiaka w kwestii wykańczania przełożonych. Monika popędziła za nim. Ślipiak i Baška zeszli powoli na dół i natknęli się na coś w rodzaju żywej rzeźby.

Ściana pomiędzy korytarzem a pokojem pani Halinki zmieniła się w gruzowisko. Pani Halinka siedziała sztywno za swoim biurkiem i z pewnością była wstrząśnięta, być może nawet i pobladła, ale nie dało się tego stwierdzić na pewno. Na skrzyni z kluczykami siedział wielki potwór koloru brudnoczerwono-fioletowego. Miał małe, żółte i złośliwe oczka oraz ogromną paszczę, z której wystawały olbrzymie, żółte zębiska. Miał też długie, prawie dwumetrowe łapska. Jedna ze szponiastych dłoni trzymała małego białego pieska, który szczekał jak szalony. Na potwora patrzył osłupiały Piotrek, osłupiały Jens i osłupiała Monika. Ślipiak i Baška też osłupieli.

Wreszcie pani Halinka przemogła się i wydobyła z siebie głos.

– Pan kierownik – oznajmiła mężnie, ruchem szarego podbródka wskazując Piotrka.

Potwór spojrzał z zainteresowaniem. Piotrek zbladł i zachwiał się lekko.



Potwór wykonał ruch, jakby gwałtownie wzruszał ramionami, i zmienił postać. Po chwili na jego miejscu siedziała piękna kobieta o bardzo długich nogach, niesamowicie wąskiej talii i jedwabistych, rudych włosach. Piesek dalej czekał.

Jagienka strzepnęła niewidoczny pyłek z kostiumu, wstała i z gracją podeszła do Piotrka.

– Zdaje się, że szukacie pewnej książki – powiedziała uprzejmie.

– Szukamy jakiejś książki? – Piotrek wciąż był w stanie szoku. Zachwycająca kobieta zrobiła na nim chyba jeszcze większe wrażenie niż odrażający potwór.

– A nie? – Jagienka troszkę się zdziwiła, a troszkę zirytowała. Z tymi ludźmi naprawdę ciężko było dojść do porozumienia.

– Szukamy – zapewnił pospiesznie Jens, dochodząc błyskawicznie do wniosku, że kreaturze nie ma co kłamać. – A wie pani coś o tej księdze?

Demonica wyciągnęła przed siebie ręce, w których trzymała pieska.

– Zeżarł – oznajmiła, starając się przy tym uczynić swój komunikat jak najprostszym. Nie na wiele się to zdało. Informacja nie została łatwo przyswojona przez rozmówców.

Wszyscy, łącznie z panią Halinką, wytrzeszczyli oczy.

– Jak to zeżarł? – Piotrek zamrugał gwałtownie, zaskoczenie starło z jego twarzy zwykłą zboląłą minę. Piesek był formatu maksymalnie B5, a księga co najmniej A4.

– Zwyczajnie, wziął i połknął. Pyskiem. – Jagienka obróciła Idéefiksa przodem do Piotrka, demonstrując biały pyszczek, z którego bez przerwy dobywało się wściekłe ujadanie.

Piotrek pochylił się i z przejęciem spróbował zajrzeć zwierzakowi w zęby. Nie było to łatwe, bo Idéefix nie przestawał szczekać. Po krótkim wahaniu Piotrek złapał pieska za pysk i otworzył go siłą.

Tylko i wyłącznie reflex Jens sprawił, że swej próby Piotrek nie przypłacił ciężkimi obrażeniami, a strumień ognia, którym nagle zionął pieseczek, spalił jedynie ścianę.

Pani Halinka wyjrzała ostrożnie zza biurka, Monika i Baśka usiadły na podłodze, Ślipiak zerknął nerwowo zza ramienia rusalki.

Jagienka stała dalej, jakby nic się nie stało.

– Jaka to rasa? – zainteresowała się Monika.

– Włochaty zimnolubny smok bojowy – wyjaśniła rzeczowo demonica.

– Trochę mały – zauważył niepewnie Jens.

– I tak jest już wystarczająco upierdliwy – westchnęła Jagienka. – Poza tym w umowie najmu mam zastrzeżenie, że nie mogę trzymać dużych zwierząt.



Mały biały piesek zjadał z zapalem krakersy o smaku serowym, podsuwane mu przez zaintrygowaną Monikę. Równie zaintrygowany Jens wrócił ze sklepu z dwudziestoma kolejnymi paczkami.

– Ciekawe, ile jeszcze da radę zjeść – powiedział, stawiając zakupy obok biurka Piotrka.

– To już piąta – stwierdziła Monika. – Taki mały piesek, gdzie mu się to wszystko mieści?

– Kwestia samoświadomości. – Jagienka wyspała do herbaty siedem łyżeczek cukru. – Wie, że jest smokiem. Wie, że ma smoczy żołądek. Wie, że smocze żołądki są duże.

Monika i Jens przez chwilę patrzyli na nią ze zdziwieniem, potem spojrzeli na siebie. W oczach mieli identyczny błysk. Jak na komendę oboje sięgnęli po kolejną paczkę krakersów.

Piotrek nie brał udziału w eksperymentalnym dokarmianiu smoka, siedział za biurkiem z zimnym okładem na czole. Nie mógł dojść do siebie po tym, jak Idéefix zionął na niego ogniem. Jedyłą osobą wykazującą zrozumienie dla jego uczuć był Ślipiak, który też nie życzył sobie mieć nic wspólnego z czymś tak suchym i wodoodpornym jak smok. Obraził się na cały świat i demonstracyjnie siedział w dekoracyjnej fontannie w recepcji.

Piotrek z lekkim trudem i niechęcią przypomniał sobie, że jest szefem i musi działać. Potem przypomniał sobie, że przecież Łukaszowi udało się jakoś osiągnąć nie tylko załamanie nerwowe, ale też nirwanę, i to go

pocieszyło. Zdjął okład z czoła i skupił się na informacjach wyświetlanych na ekranie komputera.

– A więc, pani Demonopulos – zaczął – nie płaci pani podatków.

Jagienka spojrzała na niego znad swojej słodkiej herbaty.

– Pilnuję przejścia między wymiarami, spełniam te koszarne dobre uczynki i jeszcze mam płacić podatki? – spytała wrogo.

– Możemy potraktować zwrot księgi jako regulację zaległego Podatku – zaproponowała Monika.

– Wykluczone – zaprotestowała stanowczo Jagienka. – Wtedy nie mogłabym zapisać sobie tego jako dobrego uczynku. A ja muszę wyrobić tygodniową normę!

– Nie wiem, czy ona w ogóle powinna płacić podatki – mruknął Jens.

– Jest tu niejako urzędowo, jakby na placówce... Trzeba by sprawdzić w przepisach.

– Jak ci się chce. – Piotrek nie wykazał entuzjazmu. – Pani Halinka pokaże ci, gdzie znaleźć kodeks. Wprowadziliśmy do komputerów dopiero pięćdziesiąt sześć tysięcy siedemset osiemdziesiąt dwa tomy, więc będziesz musiał szukać w archiwum.

Monika zamarła z krakersem w ręce.

– Myślałam, że wszystko regulują Prawa Poboru – zdziwiła się. Idéefix podskoczył i wyrwał ciasteczko, prawie odgryzając jej przy tym dwa palce.

– Mamy też bardziej szczegółowe przepisy, tak na wszelki wypadek, gdyby się ktoś czepiał – wyjaśnił Piotrek. – Ale strasznie ich dużo. Komu by się chciało w tym grzebać.

Monika zamyśliła się.

– No rzeczywiście, mnie by się nie chciało – przyznała. – A nie można by wysłać pisma do jej zwierzchników z prośbą o uregulowanie sytuacji prawnej ich placówki i tak dalej? Wicie, taki oficjalny bełkot. Oni nam też czymś takim odpowiedzą, potem my im i tak się to będzie ciągnęło latami...

– Nawet wiekami – poprawił Jens.

– ...a my się w tym czasie zajmujemy księgą – dokończyła Monika.

– Bardzo dobry pomysł – pochwalił Piotrek. – Baśka się tym zajmie, jak tylko skończą z panią Halinką porządkować biuro obsługi klienta.

– Czyli został nam już tylko jeden problem. – Jens otworzył siódmą paczkę krakersów. – Jak wyciągnąć księgę ze smoka?

– A skąd ja mam to wiedzieć? – Jagienka wzruszyła ramionami. – Weźcie go i jedźcie do weterynarza, może wam coś poradzi. Ja nie mam na takie bzdury czasu, mam przejście międzywymiarowe do pilnowania. – Wstała. W drzwiach odwróciła się gwałtownie. – Tylko podpiszcie mi pokwitowanie wypożyczenia smoka sztuk jeden. Nie żebym była do niego specjalnie przywiązana, ale rozliczają mnie ze sprzętu.



Czarna Kasiénka właśnie wypalała przy śniadaniu trzeciego papierosa, kiedy stanął przed nią Mały.

– Duży się znalazł – zameldował. – Zanosi się na większą aferę. SzeF kazał wracać.

Kasia westchnęła, zgasiła papierosa, dopiła kawę i sięgnęła po słodką bułeczkę.

– To jedziemy – powiedziała.



Sympatyczny siwy pan doktor założył okulary, które spadły mu, kiedy nagle rzucił się za szafkę.

– Miły pieseczek – stwierdził, siląc się na oględność.

Dochodzące z drugiej strony szafki odgłosy pozwalały przypuszczać, że miły piesek właśnie spalił biurko. Inne zwierzęta przebywające w Klinice Małych Zwierząt przy Akademii Rolniczej zaczynały robić się nerwowe, za to studenci weterynarii wykazywali godny podziwu hart ducha i odwagę. Urządzili sobie stanowisko za nadtopioną leżanką. Jeden odważny właśnie przekradał się w kierunku szafki, używając tacki na

narzędzia chirurgiczne jako tarczy.

– Panie doktorze – wysapał, kiedy już dotarł na miejsce – może by go tak gaśnicą?

– Po głowie? – zdziwił się doktor na poły zniesmaczony, na poły zaintrygowany.

– Pewnie, że nie. Pianą w pysk, żeby zgasić płomień.

– Oszalał pan? – zaprotestował Jens. – W tym są środki chemiczne, jeszcze mu zaszkodzi.

Doktor podrapał się po siwej głowie.

– No nie wiem, czy coś mu może zaszkodzić jeszcze bardziej. Co mówiliście, że zjadł?

– Książkę – przypomniała Monika. – A ostatnio dziewięć paczek krakersów. A poza tym to nie wiemy, bo on nie jest nasz.

– Nasza jest książka – uzupełnił Jens. – Myśli pan, że to zianie ogniem jej zaszkodzi?

– A jakby tak wodą? – nie ustępował student. – Woda mu nie zaszkodzi, a może da się ugasić ten pożar.

– A da pan radę podejść tak blisko, żeby wlać mu wiadro wody do pyska? – zapytał doktor. – Bo tak z daleka to na nic. Węża nie mamy, zresztą ciśnienie wody mogłoby mu zrobić krzywdę.

Student lekko zbladł.

– Ja to nie bardzo. Mam zwolnienie z zajęć wychowania fizycznego i w ogóle, ale mogę zapytać kolegów. – Sięgnął po tackę.

– Niech pan zaczeka – zatrzymał go Jens. – Ten kran działa? – Wskazał na umywalkę, która jakimś cudem przetrwała dotąd w stanie nienaruszonym.

– Działa, czemu ma nie działać – powiedział doktor. – Ale wiaderka nie mamy.

– Nie będzie potrzebne. – Niemiec przyciągnął do siebie rusałkę, która wyglądała właśnie zza szafki, obserwując Idéefiksa, chwilowo jakby spokojniejszego i zajętego obwąchiwaniem nadpalonych ścian. Jens pokazał jej kran. – Dasz radę?

– Ślipiak lepiej by się do tego nadawał, tylko uparł się, że w jednym

samochodzie z psem nie pojedzie – westchnęła Monika na pozór zmartwiona, jednak oczy jej lśniły kuszącym blaskiem, a na policzkach pojawił się uroczy rumieniec. Zupełnie mimochodem oparła się o Jensa nieco bardziej, a on, odruchowo, objął ją nieco mocniej. – Ale mogę spróbować – postanowiła.

Wyciągnęła rękę w stronę kranu, skoncentrowała się i uczyniła palcami ruch, jakby przekręcała kurek. Z kranu popłynęła woda. Idéefix oderwał się od obwąchiwania ścian i podniósł łeb, zainteresowany pluskiem. Woda nagle przestała ciec pionowo, a zaczęła poziomo. Pies nabrał powietrza, ale nie zdążył zionąć ogniem.

Krzuszącego się i prychnącego wzięła na ręce Monika.

– Moje biedactwo – rozczuliła się, przy okazji dając wyraz przepełniającym ją uczuciom. Patrzyła na smoka oczyma jak gwiazdy. – Nie wiedzieliśmy, że nie lubisz weterynarzy. Wrócimy do samochodu, ciocia Monika cię wysuszy i da ci krakersa. Co ty na to?

Piesek kichnął i zamerdał ogonem.

– Chyba jednak nie będziemy go tu leczyć. – Jens pomógł wstać doktorowi. Studenci zaczęli wypełzać zza leżanki, rozglądając się nerwowo. – Przepraszamy za kłopot.

– Ale piesek... – Doktor patrzył ze zgrozą za odchodzącą Moniką.

Jens machnął ręką, rzucając na doktora i studentów zaklęcie zapomnienia.

– W sprawie odszkodowania za straty materialne proszę się skontaktować z nami. – Wcisnął oszołomionemu weterynarzowi wizytówkę do ręki. – Do widzenia.

Monika siedziała w samochodzie i karmiła krakersami owiniętego w swój sweter Idéefiksa. Jens usiadł za kierownicą.

– Możemy jeszcze spróbować tutaj – powiedział, kiedy mijali napis KLINIKA DUŻYCH ZWIERZĄT.

– Lepiej nie. – Rusałka dała pieskowi kolejne ciasteczko. – Piotrek i tak padnie, jak zobaczy rachunki za straty. Może jest jakiś magiczny sposób.



Biuro obsługi klienta było zakurzone, zagruzowane i w stanie ogólnego nieładu. W samym środku bałaganu siedziała pani Halinka i piła melisę na uspokojenie. Obok Baśka dyrygowała gromadą wyjątkowo niezadowolonych skrzatów w niebieskich kombinezonach roboczych, które uprzętały bałagan. Na widok Idéefiksa obie kwiknęły nerwowo.

– Spokojnie, on chwilowo jest ugaszony – uspokoił je pośpiesznie Jens.

– Poza tym zieje ogniem tylko, kiedy się zdenerwuje – dodała Monika.  
– A na razie nie ma czym.

– Jak się jednak czymś zdenerwuje i jeszcze coś zniszczy, to sami będziecie sprzątać – zagroziła Baśka.

– Przecież mamy od tego brygadę remontową. – Monika wskazała na skrzaty.

– Otóż nie mamy – westchnęła ciężko Baśka. – Okazuje się, że naprawianie zniszczeń spowodowanych przez małe białe pieski nie wchodzi w zakres ich obowiązków, trzeba im za to ekstra dopłacać.

– Serio? – zdziwił się Jens.

– Serio. – Baśka ponuro pomachała trzymanym w ręku plikiem kartek.  
– Sprawdziłam, nie mają tego wyszczególnionego w kontrakcie. Trzeba będzie przygotować aneks do umowy.

– A propos aneksów... Nie mamy przypadkiem czegoś takiego jak brązowy indeks płatników? – zapytał od niechcienia Jens.

– Raczej nie, ale możecie poszukać w bazie danych. A po co wam to?

– A, tylko tak pytamy. – Monika ruszyła po schodach na górę, Jens za nią. Po jakichś dziesięciu stopniach odwrócił się.

– Zapomniałbym: mogą dzwonić z Akademii Rolniczej w sprawie pokrycia strat! – rzucił, po czym ruszył biegiem na górę, udając że nie słyszy wściekłych krzyków Baśki.



W dużej, otoczonej solidnym murem willi na przedmieściach Warszawy Magik siedział w swoim ulubionym fotelu, za swoim

ulubionym zabytkowym biurkiem, ale bynajmniej nie czuł się komfortowo. Kręcił się i wiercił pod badawczym spojrzeniem własnej córki.

– To nie dlatego, że ci nie ufam albo wątpię, czy sobie poradzisz – tłumaczył, bębniąc nerwowo palcami po blacie. – Jestem pewien, że świetnie dałabyś sobie radę. Całkowicie polegam na twoich umiejętnościach. Ale... ale jako ojciec martwię się o ciebie. Tajne Służby Magiczne, Poborcy i teraz jeszcze lubelska mafia. Nie mogłbym spać spokojnie, wiedząc, że stajesz przeciw nim zupełnie sama. Pamelo... Kasiu, zrozum, jesteś moim jedynym dzieckiem. Zrozum moje ojcowskie uczucia.

Kasieńka rzuciła mu kolejne wymowne spojrzenie i zapaliła kolejnego papierosa.

– Oprócz tego nasi kontrahenci chcą trzymać rękę na pulsie – ciągnął Magik. – Przysłali swoich przedstawicieli. Oczywiście nadal zatrzymujemy procent od zysku ze sprzedaży księgi. Bardzo duży procent.

Kasieńka nadal patrzyła.

– Duży tu zostanie, nie bardzo dawał sobie radę w Lublinie. Poza tym ciągle jest w szoku. Ta lubelska mafia nie wie, jak traktować ludzi. Pojedziesz z naszymi gośćmi i razem odzyskacie księgę. Tylko uważaj na nich. Dopilnuj, żebyśmy dostali naszą część. – Skinął na Małego, który zaciągnął właśnie grube, aksamitne zasłony. – Poproś naszych gości – polecił mu mafioso.

Mały wyszedł i po chwili wrócił, prowadząc trzy osoby. Trudno było nazwać ich ludźmi. Wszyscy byli chudzi, przygarbieni, kompletnie pozbawieni włosów, mieli spiczaste uszy, ziemistą cerę, chude, długie palce zakończone ostrymi paznokciami, czerwono błyszczące ślepia i ostre kły, wystające z bladych warg.

Magik pochylił się w stronę Kasieńki.

– Wysyłam z nimi ciebie, bo każdego innego by mi zagryzły. A od ciebie tak jedzie nikotyńą, że nawet głodujący wampir cię nie ruszy.

Rzeczywiście, wszedłszy do pokoju, wampiry zaczęły nerwowo pociągać



małymi nosami, prychać i krzywić się. Stały w kącie pomieszczenia, jak najdalej od Kasieńki.

– Wilhelm, Wilfred i Pinokio z dalekiej Transylwanii. A to moja ukochana córeczka Pamela – dokonał prezentacji Magik. – Była już w Lublinie i świetnie orientuje się w sytuacji. Pojedzie z wami. Limuzyna z przyciemnionymi szybami już czeka.

– I z wentylejszyn? – upewnił się jeden z wampirów.

– Oczywiście – zapewnił go Magik. – Kasiu, zaprowadź panów.

Ledwo limuzyna wyjechała z garażu, wampiry zaczęły jęczeć.

– Żawraczać – wypiszczął któryś.

Kasia popukała w szybę za siedzeniem kierowcy. Szyba bezszelestnie zjechała w dół.

– Co jest? – zapytał Mały, zerkając w lusterko wsteczne.

– Zawracaj – poleciła Kasieńka obojętnie.

Mały zgodnie z poleceniem wjechał z powrotem do garażu. Jak tylko znaleźli się w ciemnym wnętrzu, wampiry wyskoczyły z samochodu i popędziły schodami w głąb willi. Wróciły po dziesięciu minutach, niosąc ręczniki i ścierki, zagarnięte najwyraźniej z łazienek i kuchni, oraz pudełko pinesek, zapewne z gabinetu Magika. Kasia i Mały obserwowali w milczeniu, jak wampiry zakrywają okna ścierkami i ręcznikami, mocując je przy pomocy pinesek. Trochę ciężko im to szło, długie pazury przeszkadzały. Po pół godzinie skończyły i otarły pot z łysych czółek.

– Możemy jechacz – oznajmił jeden. – Pani siądwszy w środek – uprzejmie wskazał miejsce Kasieńce.

Kasia bez słowa zajęła miejsce na samym środku wygodnej kanapy, wampiry skuliły się przy drzwiczkach z nosami przy pozakrywanych szmatami oknach. Mały usiadł za kierownicą i ruszył. Wampiry już nie jęczały i nie protestowały, całą uwagę skupiły na wdychaniu świeżego powietrza, przepływającego przez szmaty.



Po ekranie komputera przesuwają się kolejne PIT-y. Jens wpatrywał się w nie ponuro.

– Nie mogę znaleźć żadnego specjalisty od zwierząt magicznych – stwierdził ze złością. – Kto w ogóle pisał oprogramowanie dla Urzędu?

Monika zastanowiła się

– Nie mam pojęcia, ale poprawki ostatnio wprowadzał Ślipiak.

Jens podniósł głowę znad klawiatury.

– A gdzie on jest?

– Wrócił do domu. Chyba poczuł się urażony, że zajmujemy się smokiem. – Rusałka znów karmiła Idéefiksa krakersami.

– Zadzwoń do niego. – Jens sięgnął po słuchawkę.

Monika wyjęła z paczki ostatniego krakersa. Piesek pożarł go łapczywie i wyraźnie chciał jeszcze. Rusałka rozejrzała się bezradnie, ale po chwili przypomniała sobie, że jeszcze dwie paczki zostały w gabinecie Piotrka. Jens skończył rozmowę i podszedł do stojącej przy filarze Moniki.

– Wiedziałaś, że Ślipiak cierpi na kompleks supermana, który każe współczesnemu mężczyźnie grać rolę wrażliwego macho i w rezultacie doprowadza go do sytuacji głębokiego konfliktu wewnętrznego? Bo ja nie wiedziałem, ale żaby mi powiedziały. Odmówiły oddania Ślipiakowi telefonu. Powiedziały, że muszą o niego dbać i ograniczyć wymagania, jakie mu stawiały.

Monika zbyła tę wypowiedź pełnym niecierpliwości gestem i wskazała na ludzi stojących pod gabinetem Piotrka. Jens wyjrzał zza filaru i cofnął się gwałtownie.

– Niech to diabli – syknął. – Tajne Służby Magiczne!

– Co robimy? – zapytała rusałka. – Nie bardzo bym chciała znowu się z nimi spotkać. A tym bardziej teraz, jak mamy Idéefiksa. – Smok na jej rękach wiercił się niespokojnie, najwyraźniej chcąc agentów potraktować ogniem albo przynajmniej zębami.

– Wyjdziemy tyłem. – Jens pociągnął Monikę za ramię.

Zabrali jej plecak i suszący się na oparciu krzesła sweter i kryjąc się za biurkami, dotarli do okna, wychodzącego na tył budynku. Niemiec wyskoczył pierwszy, Monika za nim, wpięty podawszy mu plecak i

Idéefiksa owiniętego w sweter. Wylądowała na trawniku w pozycji siedzącej.

– Au! – Skrzywiła się.

– Ciii! – uciszył ją Jens. – Zmywamy się stąd.

– Gdzie? Do domu?

– Żaby wywaliłyby nas na zbity pysk, jakbyśmy wrócili ze smokiem – stropił się Poborca. Problem wodnika i jego wymagających towarzyszek jednak go przerastał. – Uważają, że Idéefix jest katalizatorem, który uwolnił skrywane dotąd kompleksy Ślipiaka.

– Trzeba go będzie odnieść do właścicielki – stwierdziła Monika, która wprawdzie nie bała się represji ze strony żab, ale na równi z nimi przejmowała się stanem psychicznym wodnika. Poza tym możliwości smoka w zakresie przyswajania pokarmu napawały ją już niemal zgrozą.

– Jeszcze nie wyciągnęliśmy z niego książki – przypomniał jej Jens, ale bez większego przekonania.

– To jutro rano wypożyczymy go znowu. – Monika, dokonawszy w myślach przeglądu zawartości lodówki, definitywnie nie czuła się na siłach gościć smoka. – Przecież nie będziemy z nim nocować pod wiaduktem.

– Niech będzie – zgodził się Niemiec. – Idę po samochód, a ty przekradnij się do ulicy tak, żeby cię nie widzieli. – Zniknął za rogiem budynku.

Monika uciszyła niespokojnego pieska zapychając mu pysk tik-takiem i zgodnie z wytycznymi Jensa, zaczęła przekradać się w stronę ulicy.



Dzwonek przy furtce oderwał Oleńkę od pasjonującej lektury „Wywierania wpływu na ludzi”. Wyjrzała przez okno. Na ulicy stali mężczyzna i kobieta, na oko całkiem zwyczajni, a nawet przyzwoici. Nie wyglądali na kolejnych gangsterów, a Oleńka podejrzewała, że oni właśnie trafią tu śladem swojego kolegi z pomidorków. Na wszelki wypadek, idąc do furtki, zabrała ze sobą szuflę do odgarniania śniegu,

która od kilku lat stała bezużytecznie w holu. Usuwaniem zasp z podjazdu i ścieżki od dawna zajmował się Idéefix.

Czekający przed wejściem Poborcy zobaczyli niewysoką, ubraną na czarno dziewczynę o niewątpliwie miłej powierzchowności, targającą nie wiedzieć czemu ogromną zieloną łopatę.

– Słucham? – zapytała uprzejmie, zerkając na nich przez pręty furtki.

– My do pani Demonopulos – powiedział Jens; nie mógł się powstrzymać od rzucania spojrzeń w kierunku szufli, na oko służącej do odgarniania śniegu. Było lato, co do tego nie miał wątpliwości. No i jak tu zrozumieć kobiety?

– Nie ma – Oleńka westchnęła z lekką troską.

– A kiedy wróci? – zainteresowała się Monika.

Oleńka spojrzała na zegarek. – Sklepy już zamknęli, więc zakupów chyba nie robi... Diabli wiedzą – pokręciła bezradnie głową.

Sweter, który Monika trzymała na rękach, poruszył się i odsłonił białą główkę.

– Idéefix! – ucieszyła się Oleńka.

Smok wygrzebał się ze swetra Moniki, zeskoczył na ziemię i przeczołgał pod furtką do ogródka, tam zaczął radośnie obskakiwać dziewczynę.

– Możemy go z panią zostawić? – upewnił się Jens.

– Ależ oczywiście – zapewniła gorąco Oleńka. – Już pora jego podwieczorku! Caluśki dzień go, biedaka, nie było w domu. Musi być bardzo głodny!

– Tylko proszę potwierdzić odbiór – podał jej formularz. – I przekazać pani Demonopulos, że wpadniemy jeszcze po niego jutro.

Oleńka wzięła kartkę i długopis i machnęła na niej zamaszty podpis.

– Proszę. – Wcisnęła papier Poborcy do ręki. – Do widzenia! – rzuciła przez ramię, biegnąc do domu. – Muszę go nakarmić!

– Widać trzydzieści paczek krakersów to za mało – stwierdziła Monika melancholijnie, wsiadając do samochodu.

– Najwidoczniej. – Jens zerknął jeszcze na formularz i zrezygnował z chowania go do kieszeni. – Popatrz na podpis. – Podał Monice kartkę.

Rusalka zmarszczyła brwi i skupiła się na odcyfrowaniu bazgrołu.

- Aleksandra Sprawiedliwość – przeczytała.
- Kto by pomyślał...
- Można powiedzieć, że robi się interesująco – oceniła Monika. – Wracamy z nią porozmawiać? Może wie coś o naszym bandycie.
- Jeszcze zdążymy, chociażby jutro. A dzisiaj obiecałem żabom, że zabiorę Ślipiaka na męską rozmowę przy piwie. Ich zdaniem, on tego potrzebuje. Moim zdaniem, ja tego potrzebuję. Dobrze mi zrobi chwila wytchnienia, ostatnie dni do spokojnych raczej nie należały.



Czarna limuzyna zatrzymała się przed lubelskim dworcem PKS i stała tam aż do zapadnięcia zmroku. Mały skoczył po krzyżówki dla siebie i papierosy dla Kasieńki. Oboje wyszli z auta, zostawiając w środku wampiry, jeszcze bardziej sine niż zwykle od wdychania oparów substancji smolistych, otaczających Kasię.

– Mam popytać o Dużego? – zapytał Mały.

Kasieńka wzruszyła ramionami.

– Po co? Oni mają szukać księgi, my ich tylko pilnujemy – rzuciła z pewną dozą złośliwości. Chude i łyse paskudy działały jej na nerwy. Ich nieustanne skamlenie też działało jej na nerwy. A fakt, że musiała znosić ich towarzystwo, działał jej na nerwy najbardziej.

Kiedy tylko zaszło słońce, wampiry wylazły z limuzyny i zaczęły się rozglądać po dworcu i okolicy.

– Szanowni panowie potrzebują pomocy? – zaczęła ich starszka w eleganckim kapelusiku. – Mogę zawołać wnusiów, za rozsądną cenę rozwiążą panów problemy.

Wampiry z zainteresowaniem przyjrzały się kobiecie. Jeden złapał ją za ramiona i wpił się hipnotyzującym spojrzeniem w jej oczy. Wampirze źrenice zalśniły złowrogą czerwienią. Babcia jęknęła przeciągle.

– Widziałasz duszego szwiaszanego gangsztera?

– Tak – odpowiedziała nieobecny głosem zahipnotyzowana starszka. – Przywiozła go taksówką taka sympatyczna dziewczynka,

cała ubrana na czarno, jak to się ta dzisiejsza młodzież nosi, same takie smutasy, nie to co moi wnusiowie...

– Zostaw babcię, gnoju! – Ryk był tak potężny, że poderwał do lotu stadko drzemiących na dachu dworca gołębi.

Trzech roślących, ogolonych na łyso młodzieńców, odzianych w kolorowe dresy, sadziło wielkimi susami w stronę wampirów. Dobiegli, bez trudu odbili babcię z łap rzekomych oprawców, a potem zaczęli owych oprawców bić i kopać, zdradzając w tym dużą wprawę i talent.

– Pomagamy? – zapytał Mały, sięgając za pazuchę po broń.

– Po co? – zdziwiła się złośliwie Kasieńka. – Przecież wampiry są nieśmiertelne, nie powinno im to specjalnie zaszkodzić.

Zdążyła wypalić biernie dwa papierosy, dopóki wnusiowie troskliwie odprowadzili oszołomioną babcię, a trzy stratowane, przykurzone i pobite wampiry doczołgały się do limuzyny. Kasieńka spojrzała w dół na łąsą główkę, patrzącą podbitymi oczkami z poziomu gruntu.

– Gdybyśmy wiedzieli, że takie z was chuchra, to byśmy wam pomogli – powiedziała uprzejmie, zgasivszy papierosa. Otworzyła szeroko drzwiczki samochodu.

Wampiry z trudem wpełzły do środka.

– Takszi – wymamrotał jeden.

– Teraz chcecie szukać taksówkarza? – upewniła się Kasieńka tonem tak uprzejmym, że Małemu przebiegł po krzyżu dreszcz zgrozy. – Taksówkarze wożą teraz bejsbole i lewarki w celach samoobrony. Takie mamy niebezpieczne czasy, nigdy nie wiadomo, jaki klient się trafi. Ale skoro chcecie...

Wampiry jęknęły chóralnie.

– Jutroooo – zapiszczał któryś żałośnie.

– Może być jutro – zgodziła się Kasia, wsiadając do samochodu. Niemal uśmiechała się, zadowolona.

Wampiry natychmiast odsunęły się jak najdalej od niej, zerwały szmaty z okna i wystawiły głowy na zewnątrz. Kasieńka popukała w szybę.

– Głowy im wystają na zewnątrz – powiedziała do Małego. – Uważaj, żebyś nimi o coś nie zahaczył, bo to akurat mogłoby im zaszkodzić.



Jagienka wróciła do domu późno, kiedy już zamknięto wszystkie sklepy, galerie i hipermarkety. Kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi, zauważyła śpiącego na kanapie Idéefiksa.

– Jacyś ludzie go przynieśli. – W drzwiach kuchni stanęła Oleńka z kubkiem beztłuszczowego jogurtu w dłoni. – Kazali potwierdzić odbiór i przekazać ci, że wrócą po niego jutro.

– Jeszcze tej książki z niego nie wyciągnęli? – Jagienka opadła na fotel. – Już to sobie zapisałam jako dobry uczynek!

– To oni byli z Urzędu Skarbowego? Nie wyglądali.

– Jakie to ma znaczenie, czy wyglądali, czy nie. Mój dobry uczynek mi przepadł, a już go zaksięgowałam! – W oczach Jagienki pojawił się żółty błysk.

– Może nie oddałaś im księgi, ale powiedziałaś, gdzie jest. To też się liczy jako dobry uczynek – pocieszyła ją Oleńka. Doskonale wiedziała, jak bardzo problem dobrych uczynków może zaważyć na nastroju i ogólnej komunikatywności byłej bratowej.

– Myślisz? – zastanowiła się demonica już spokojniej.

– Oprócz tego możesz dopisać sobie do listy odesłanie zagubionej duszyczki z powrotem do Warszawy.

– Masz na myśli bandytę z pomidorów?

– No. – Oleńka skończyła jeść jogurt i oblizała łyżeczkę.

– Rozumiem, że zamordowałaś go, zakopałaś w szklarni, a duszyczkę wysłałaś do Warszawy? – Jagience nie zawsze udawało się pamiętać, że jej pomocnica jest tylko sympatyczną przedstawicielką rodzaju ludzkiego.

– No niezupełnie, ale prawie. Nie zamordowałam go, nie zakopałam, a duszyczkę odesłałam razem z ciałem PKS-em – sprostowała Ola z odrobiną zakłopotania. Czasami z powodu własnej niezaprzeczalnej niemagiczności czuła się nieco niezręcznie. W sumie nawet jej rodzony brat tak do końca zwyczajnym człowiekiem nie był.

– Nie wiem, czy to można zaklasyfikować jako dobry uczynek – powiedziała powątpiewająco Jagienka.

– Na pewno lepiej mu w Warszawie niż w naszych pomidorach – zauważyła bystro Ola. W kategorii poprawiania nastroju demonicy z pewnością zdobyłaby olimpijskie złoto.

– Właściwie to masz rację. A co na to Michał?

– Nie wiem. Nie mogłam się do niego dodzwonić. Pewnie znowu ratuje ludzkość czy coś w tym stylu.

Jagienka westchnęła ciężko.

– Najważniejsze, że bandyta nie leży w pomidorach, a żołądkiem Idéefiksa zajmuje się Urząd Skarbowy. Ja nie mam na to czasu, zrobiłam zakupy i mam ubrania do przymierzenia. – Zabrała torby z zakupami i poszła na górę.



Wampiry leżały na zielonej trawce, wpatrywały się w ciemne niebo i bardzo powoli dochodziły do siebie. Kasiénka usiadła na masce limuzyny i zapaliła papierosa.

– Czarno widzę to szukanie księgi – mruknęła, strząsając popiół na ziemię.

Mały podniósł głowę znad krzyżówki, którą rozwiązywał przy świetle samochodowej lampki i spojrzał na swoją szefową pytająco.

– Oni wydobrzeją gdzieś nad ranem – wyjaśniła Kasiénka. – Wtedy nie będziemy mogli niczego szukać, bo słońce im szkodzi. Czyli taksówkarza dopadną gdzieś jutro w nocy, oberwą, rzecz jasna, i znowu będą dochodzić do siebie, więc za dwa dni dotrzemy do tej dziewczyny, która pewnie i tak nic nie wie. W tym tempie może za tydzień będziemy wiedzieli, kto należy do lubelskiej mafii, a książkę znajdziemy za miesiąc.

– Trochę długo – zgodził się Mały.

– Trzeba im będzie pomóc – westchnęła Kasia. – Nie bardzo mi się to podoba, ale inaczej utknijemy tu na zawsze. Bierz samochód, znajdź tego



taksówkarza i dowiedz się, co to za dziewczyna. Ja ich tu popilnuję.

– Nie boi się szefowa... Sama w nocy z wampirami. – Mały spojrzał na nią z podziwem.

Kasia pogardliwie wzruszyła ramionami.

– Mam jeszcze trzy paczki. Wystarczy, żeby ich w razie czego wykończyć.



Dzwonek telefonu, który odezwał się w środku nocy, oderwał Jagienkę od kontemplowania własnego odbicia w zielonej wieczorowej sukni, która zachwycająco podkreślała doskonałość jej cery i głęboką barwę długich włosów. Demonica niechętnie podniosła słuchawkę, a potem sięgnęła po torebkę i kluczyki do samochodu. Zeszła na dół i potrząsnęła śpiącym na kanapie Idéefiksem.

– Pobudka – syknęła w kosmate ucho.

Piesek otworzył jedno oko i warknął.

– Do pracy, leniu – rozłościła się Jagienka. – Za pół godziny musimy otworzyć przejście.

Idéefix niechętnie wstał, przeciągnął się i zeskoczył na podłogę. Wychodząc, oboje starali się nie zbudzić śpiącej Oleńki.

Mniej więcej dwadzieścia minut później przed bramą dworku zatrzymała się czarna limuzyna, z której przez otwarte okna wystawały bezwłose głowy wampirów. Mały wysiadł, otworzył bagażnik i wywłókł z niego taksówkarza.

– To tu? – zapytał.

– Tutaj – jęknął tamten.

– To możesz sobie iść. – Mały uśmiechnął się przyjaźnie i poklepał taksjarza po ramieniu.

Właściciel taksówki, który przed kilkoma godzinami sam proponował klientce zamknięcie delikwenta w bagażniku, a potem kurs nad zalew lub Bystrzycę, teraz rzucił się do panicznej ucieczki. Wampiry, łapczywie wdychając niezaniekowane powietrze, wypełzły na ulicę.

## Rozdział 8

**P**obudka! – Monika podstawiła śpiącemu Jensowi kubek z kawą pod nos. Poborca z trudem otworzył oczy.

– Która godzina? – zapytał słabo.

– Siódma. Trzeba wstawać i iść do pracy.

– Masz aspirynę?

– Ślipiak całą wyżarł. Mam nadzieję, że mu nie zaszkodzi. – Rusałka melancholijnie pokręciła głową. Mężczyźni! Trudno się po nich spodziewać rozsądku. – Mogę ci zrobić ziółek. Stary przepis z bagien. Przywraca siły po korowodzie, na kaca też powinno pomóc.

– Zrób – stęknął Jens.

– A, i przygotuj się na to, że żaby mają do ciebie pretensję. Ich zdaniem, demoralizujesz Ślipiaka, który najwyraźniej ma słaby kręgosłup moralny.

– Same chciały, żebym z nim poszedł na piwo – obruszył się niemrawo Poborca. Był pewien, że nigdy tego do końca nie zrozumie. On sam przynajmniej był w lepszej sytuacji. Monika nie powiedziała mu złego słowa ani nawet nie rzucała pełnych potępienia spojrzeń. Złoto nie dziewczyna! A, fakt, rusałka...

– Chyba myślały, że wrócicie po jednym kuflu i jednej godzinie.



Okolo ósmej, czyli jakieś czterdzieści minut później, Monika zatrzymała samochód przed domem Jagienki. Jens uparł się, żeby to ona prowadziła.

– Cztery lata temu oblałam trzy egzaminy – protestowała rusałka.

– Ale za czwartym zdałaś.

– Nie, na czwarty jeszcze dotąd nie poszłam – sprostowała Monika z rumieńcem zażenowania.

– Wszystko jedno, bardziej się nadajesz do prowadzenia niż ja. A na teleportację nie mam siły. Jedź.

– Jedź – poparł go Ślipiak, układając się na tylnym siedzeniu. – Bo żaby nas dopadną i będą miały pretensję. Kiedy poznałem je nad jeziorem, były zupełnie inne – westchnął z bólem.

Monika prowadziła ostrożnie i zgodnie z przepisami, w związku z czym dojazd do dworku trwał dłużej niż poprzedniego dnia. Właśnie delikatnie hamowała, przerażona do głębi perspektywą parkowania równoległego, kiedy obok z piskiem zatrzymał się czarny samochód Jagienki. Wściekle ujadający Idéefix wyskoczył przez niedomknięte okno.

– A, to wy – przywitała ich demonica, ubrana w kosztowną wieczorową suknię, która zachwycająco podkreślała doskonałość jej cery i głęboką barwę długich włosów. – Podpiszcie mi pokwitowanie i możecie go zabierać.

Szczekający piesek nie czekał nawet na otwarcie furtki, przecisnął się pod nią i zniknął w uchylonych drzwiach domu.

– Nie bardzo mi się to podoba – powiedziała niepewnie Monika, wskazując niedomknięte drzwi. – Jemu też najwyraźniej nie. Chyba jest bardzo zdenerwowany.

Jagienka zdecydowanym krokiem ruszyła za smokiem, a za nią Monika i Jens, mniej zdecydowanie. Ślipiak tylko zachrapał na tylnym siedzeniu. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież, a na wprost nich na zgniłozielonym dywanie Idéefix jazgotał płacząco nad nieruchomą Oleńką. Jagienka zamarła w drzwiach, Monika jęknęła, a Jens rzucił się sprawdzać puls.

– Nie żyje – powiedział.

Monika jak stała, tak usiadła.

– Jak to nie żyje?! – zirytowała się natychmiast Jagienka. – Odżywiła

się chyba najzdrowiej ze wszystkich ludzi, uprawiała jakiś sport, no i miała dopiero dwadzieścia lat!

Jens delikatnie obrócił głowę Oleńki. Na szyi dziewczyny widniały dwa czerwone ślady.

– No nie żyje. To chyba sprawka wampirów.

Jagienka bez słowa sięgnęła po telefon.

– Michał? Przyjedź. Już! – Ze złością cisnęła słuchawkę na widełki.

Trzeba przyznać, że nie czekali długo. Już po kilkunastu minutach pan Sprawiedliwość wszedł do salonu Jagienki. Zobaczył trzy osoby i psa, siedzących wokół Oleńki. Wszyscy, nawet Idéefix, mieli wyjątkowo ponure miny.

– Co się stało? – wyjąkał, tknięty złym przecuciem.

– Nie żyje – odpowiedziała mu demonica stosownie grobowym głosem.

– Niemożliwe! – Michał padł na kolana obok ciała siostry i potrząsnął nią z całej siły. – Jak to nie żyje?!

Zanim zdążyli mu odpowiedzieć, Oleńka otworzyła oczy.

– Auuu – jęknęła. – Mógłbyś przestać mną tak szarpać? – poprosiła. – I zasuńcie zasłony, słońce strasznie daje po oczach.

Jagienka poderwała się i zasłoniła okno, Idéefix rzucił się lizać Oleńkę po twarzy, a osłupiały Jens sprawdził jej puls jeszcze raz.

– Dalej nie ma – stwierdził nieufnie. – Jakiś kant czy co?

– Wampiry, sam mówiłeś, że to wampiry – powiedziała mechanicznie Monika. – Jak wampir kogoś ugryzie, to ten ktoś staje się wampirem.

– Mnie ugryzły aż trzy – poinformowała ich radośnie Oleńka. – Powiedziały, że takiego zdrowego żarcia dawno nie widziały.

– Wszystkie trzy zabiję – obiecał solennie pan Sprawiedliwość.

– Osika rośnie u sąsiadów, możesz sobie naostrzyć kołków – podsunęła mu Jagienka, wyjątkowo jak na nią życzliwie.

– Chwileczkę – wtrąciła się Oleńka. – Skoro mnie wampiry pogryzły i nie mam pulsu, ale siedzę i gadam tu z wami, to ja teraz jestem wampirem? – upewniła się.

– Tak, jesteś teraz wampirem – odpowiedziała uprzejmie Jagienka. – I

po co się było zdrowo odżywiać?

– Nic się nie martw, to jest na pewno uleczalne – pocieszył ją natychmiast Michał, gromiąc wzrokiem byłą żonę.

– To ja muszę pić krew? – zmartwiła się Oleńka.

– W dzisiejszych czasach? – prychnęła demonica. Doprawdy, ludzie bywali czasem zabawni. Nieuleczalnie naiwna Oleńka też. – Wystarczą ci witaminy i napoje energetyzujące.

– To dobrze – ucieszyła się Ola. – To ja mogę zostać tym wampirem.

– Moja siostra żadnym wampirem nie będzie – zaprotestował ostro pan Sprawiedliwość, siadając nagle na podłodze. – Chyba mi słabo.

– Tylko nie płacz, tylko nie płacz. – Oleńka poderwała się na nogi. – Zrobię ci ziółek na uspokojenie, w ogóle wszystkim zrobię herbatki, dobrze? – Nie czekając na odpowiedź, pobiegła do kuchni. Po chwili rozległ się stamtąd dźwięk tłuczonego szkła. Nim ktokolwiek zdobył się na jakąś uwagę, wróciła Oleńka. Z zaskoczeniem malującym się na twarzy zaprezentowała im rozczapierzone dłonie.

– Pazury mi rosną – poinformowała towarzystwo ze zdziwieniem i zmartwieniem jednocześnie. – Ale za to jakie mam szczupłe paluszki. Jak nigdy – dodała już weselej. – Tylko te szpony takie trochę nieestetyczne. Ma ktoś pilniczek?

Jagienka i Monika jednocześnie sięgnęły, jedna po torebkę, druga po plecak. Po chwili Oleńka miała już dwa pilniki.

– Dzięki. A herbatę zrobicie sobie sami? – Uśmiechnęła się przepraszająco i wyszła. Idéefix w radosnych podskokach pobiegł za nią.

Michał podniósł się z podłogi.

– Może ja zrobię tej herbaty. Albo czegoś mocniejszego.

– Dla mnie kawa – poprosił Jens niemrawo. Wprawdzie ziółka Moniki przywróciły go do stanu używalności, ale wciąż bolała go głowa. Od tej sprawy z martwą-niemartwą Oleńką łupanie w skroniach przybrało na sile.

Pan Sprawiedliwość dopiero teraz przyjrzał się dokładniej jemu i Monice.

– Jesteście z Urzędu Skarbowego, prawda? – Nie było to bynajmniej

pytanie. – Znowu zgubiłaś gdzieś swój kwiatek – zwrócił uwagę rusałek.

Monika rozejrzała się po pokoju, potem wyszła do holu i wróciła, wtykając za ucho pelargonię.

– Tyle się dzieje, że ciągle mi wypada – usprawiedliwiła się. – Jestem Monika. A to Jens.

– Jak się domyślam, mamy przyjemność ze słynnym panem Sprawiedliwość? – upewnił się uprzejmie Poborca, mimochodem ujmując rusałkę za łokieć.

– A, tak. Mój były mąż, Michał Sprawiedliwość – Jagienka dokonała prezentacji. – Ci państwo są, jak już zauważyłeś, z Urzędu Skarbowego. Zajmują się wyciągnięciem księgi z Idéefiksa, ale jakoś słabo im to idzie.

Monika zachichotała. Pozostali obrzucili ją uważnymi spojrzeniami.

– Przepraszam, ale po tym, czego się nasłuchaliśmy o legendarnym panu Sprawiedliwość, to była żona-demon nie bardzo pasuje do wizerunku – wyjaśniła szczerze rozbawiona.

Jensowi wyrwało się ciche westchnienie ulgi.

– No proszę, już jesteś legendą – zauważyła kąśliwie Jagienka. – Ja zrobię tę herbatę. Legendarnemu obrońcy uciśnionych nie przystożą takie czynności.

Ruszyła do kuchni, a pozostali bez namysłu poszli za nią. Demonica nacisnęła guzik elektrycznego czajnika i postawiła na stole talerz ciastek.

– Ostatnia rzecz, jakiej spodziewałam się po Oleńce, to to, że zostanie wampirem – stwierdziła kwaśno, siadając na krześle.

– Nie wiedziałam, że w Lublinie żyją wampiry. – Cała ta sytuacja wydawała się Monice niewiarygodna. Oleńka wyglądała równie miło i sympatycznie, mimo braku pulsu, aż trudno było uwierzyć, że nagle stała się wampirem.

– Bo i nie żyją – odpowiedział Jens, odsuwając talerz z ciastkami jak najdalej od siebie. – Mielibyśmy je w rejestrze, płacą podatki według specjalnych stawek.

– W takim razie co je tu sprowadziło i dlaczego trafiły akurat na moją siostrę? – zirytował się Michał.

– Ją trzeba o to zapytać. – Jagienka otworzyła drzwi. – Oleńka! –

zawołała.

Na schodach rozległ się rumor, potem trzask, aż wreszcie pojawiła się wyraźnie oszołomiona Oleńka wraz z nieodłącznym pieskiem. Zamrugła, złapała się za głowę i usiadła na podłodze pod szafkami, w miejscu, gdzie stół rzucał cień i osłaniał ją od słońca.

– Potknęłam się – wytłumaczyła niepewnie w odpowiedzi na pytające spojrzenia zebranych. – Jakież te podłogi nierówne.

– Wcześniej się nie potykałaś – zauważyła Jagienka. – Ale mniejsza o to. Co się stało dzisiaj w nocy?

Oleńka wytrzeszczyła na nią niebieskie oczy.

– Wampiry mnie pogryzły – przypomniała.

– Konkretniej – zażądał Jens. Nagle zaczął mieć niemiłe przecucia.

– Spałam – odpowiedziała po głębokim zastanowieniu. – Potem się obudziłam, bo ktoś hałasował. Jakoś tak inaczej, jakby się obijał o meble. Więc wzięłam wazon, ten, co wcześniej stał przy schodach, i zesłałam na dół. A tam były trzy wampiry, strasznie brzydkie. Słuchajcie – zaniepokoiła się nagle – myślicie, że ja też tak wyłysięję? I zmienię się w takie coś, łyse, gładkie, ze spiczastymi uszami i szarawą cerą? Bo jeśli tak, to ja już nie chcę być wampirem!

– I tak nie będziesz wampirem – obiecał z mocą Michał. – A tamtych dorwę i potraktuję kołkami osikowymi...

– Sąsiedzi już wyszli do pracy, możesz ściąć tę osikę z ich ogrodu – wtrąciła Jagienka, wyglądając przez okno.

– ...a przedtem dowiem się, jak cię odwampirzyć – zakończył pan Sprawiedliwość, ignorując uprzejmą sugestię eksmałżonki.

– Ale ja jeszcze nie wiem, czy chcę, żeby mnie odwampirzać – zaprotestowała Ola. Wampiry, jakby na to nie patrzeć, były stworzeniami ze wszech miar magicznymi. – Muszę się najpierw zastanowić.

– O tym porozmawiacie sobie później – powiedziała Jagienka. – Teraz mów, co pamiętasz.

– Zahipnotyzowały mnie – podjęła opowieść Ola. – I pytały... pytały... Chyba mnie pytały o lubelską mafię i tego bandytę z pomidorów.

Dokładnie nie wiem, bo byłam zahipnotyzowana i wszystko pamiętam jakoś niewyraźnie.

– To moja wina! – wyrzucał sobie Michał. – Gdybym go nie przywiózł, moja siostra nie skończyłaby jako wampir.

– Zahipnotyzowały mnie wampiry... – powtórzyła z namysłem Ola. – Czy to znaczy, że ja też umiem tak hipnotyzować? – Złapała Idéeфика i uniosła go na wysokość swojej twarzy. Jej oczy zaślniły złowrogą czerwienią.

Piesek szczeknął i znieruchomiał, wpatrzony w nią szklistym wzrokiem.

– O rany, udało mi się – ucieszyła się.

Michał wyglądał na kompletnie załamanego. Patrzył na siostrę z rozpaczą.

– Każ mu oddać książkę – wtrąciła przytomnie Monika.

– Idéefix, oddaj książkę – powiedziała Ola, patrząc pieskowi prosto w ślepka.

– Każ mu to zrobić na zewnątrz! – zawołała Jagienka. – Nie tutaj!!!

– Idéefix, na zewnątrz. – Oleńka postawiła psa na podłodze i delikatnie popchnęła go w kierunku okna.

Piesek posłusznie wyskoczył do ogródka. Jens i Monika jak na komendę rzucili się do drzwi wyjściowych. Za nimi powoli podążył przygnębiony pan Sprawiedliwość. Jagienka zadowolona się wyglądem przez okno. Na samym końcu z domu wybiegła Oleńka, owinięta w pięć metrów zasłon.

– Natychmiast wracaj do środka! – wrzasnął jej brat. Momentalnie odzyskał wigor i chęć działania. Jak zawsze, gdy jego mała siostra próbowała z uporem wpakować się w tarapaty.

– Daj spokój, też chcę popatrzeć – wymamrotała zza zasłony Ola.

Idéefix, ciągle ze szklistym, nieprzytomnym spojrzeniem, przeszedł sztywnym krokiem na środek trawnika, tam zatrzymał się i zaczął trząść. Poborcy, którzy byli najbliżej, wycofali się na wszelki wypadek, pamiętając, co piesek zrobił poprzedniego dnia w klinice. Oleńka, która i tak nic nie widziała przez materiał, dalej szła w stronę, gdzie, jak jej się wydawało, powinien być jej ulubieniec. Michał załapał ją wpół i



wepchnął na zacienioną werandę.

Idéefix trząsał się coraz bardziej, aż w końcu eksplodował. Przez jedną chwilę na trawniku stał duży, biały smok porośnięty gęstym futrem. Czknął i wypluł księgę. Potem implodował z powrotem w małego, białego pieska.

Zafascynowani obserwatorzy po chwili odzyskali zdolność ruchu. Monika rzuciła się sprawdzić, co z Idéefiksem. Jens pobiegł do księgi. Oleńka zaczęła się nerwowo miotać po werandzie, pytając, co się stało. Michał starał się ją złapać i uniemożliwić wyjście na słońce. Jagienka przeteleportowała się z kuchni do ogrodu. Obejrzała szczątki szklarni i ogrodu.

– To by było na tyle, jeśli chodzi o pomidory – stwierdziła filozoficznie. – Trzeba będzie naprawić płot, zanim wrócą sąsiedzi.

Monika porwała na ręce Idéefiksa.

– Żyje. Wygląda na to, że nic mu nie jest – odetchnęła z ulgą. Zdążyła już polubić pieska.

– Kto żyje? – dopytywała się Oleńka.

– Idéefix, nic mu nie jest. – Michał wepchnął ją na wiklinowy fotel stojący pod ścianą. – Ale teraz przestań się w końcu miotać, bo słońce cię spali.

Jens podniósł z ziemi książkę, ale zaraz upuścił ją, krzywiąc się z odrazą.

– Nie wiecie, czym się czyści magiczne księgi? – zapytał.

– Wiemy. – Jagienka podniosła zwalony przez Idéefiksa płot, przez chwilę próbowała ustawić go w poprzedniej pozycji. – Wybielaczem.

Przytrzymując chwiejący się płot, kilkakrotnie stuknęła w niego ręką, aż wreszcie stanął teoretycznie prosto, choć gdzieś do połowy zagłębił się w ziemi. To jednak nie przeszkadzało Jagience specjalnie. Podniosła z trawnika pobrudzoną księgę i przeteleportowała się do domu. Monika zaniósła Idéefiksa do kuchni, postawiła na stole. Piesek jednak pozostał sztywny i nie reagował, nawet gdy podsunęła mu pod nos talerz z ciastkami. Jens i Michał przytargali owiniętą w zasłony Oleńkę. Przyszło im to z niejakim trudem, ponieważ wewnątrz swojego niecodziennego kokonu dziewczyna wykazywała nieustanną aktywność.

Pan Sprawiedliwość troskliwie usadził siostrę w miejscu, gdzie nie docierały promienie słońca.

Wampirzyca wygrzebała się ze zwojów materiału.

– Klffy my roszną – oznajmiła, natychmiast też dokonała demonstracji. Michał jęknął i usiadł ciężko na krześle.

– Nie chce jeść – stwierdziła jednocześnie Monika, z niepokojem patrząc na Idéefiksa. – Odhipnotyzuj go – podała psa Oleńce.

– Idéefiz, odhipnotyszofuję czę – powiedziała Oleńka, świecąc czerwonymi oczami.

Idéefix szczechnął, polizał ją po twarzy i zajął się kawałkami ciastek podtykanymi mu przez rusałkę.

– Co z księgą? – Jens popatrzył wyczekująco na wchodzącą do kuchni Jagienkę. Przez moment miał nadzieję, że cała ta dziwaczna sprawa właśnie tutaj i teraz znajdzie swój finał. Jednak wyraz twarzy demonicy natychmiast powiedział mu, że była to wyjątkowo płonna nadzieja.

– Czyści się. Trochę to potrwa.

Michał spojrział na Oleńkę z głęboką dezaprobatą.

– Co ci odbiło, żeby wylązić na słońce? – zapytał.

– Nie będę uposzledzona tylko dlatego, że jestem wampyrem – oznajmiła niezbyt wyraźnie, ale za to z godnością Oleńka. – Żresztą niedługo zaczyna się rok akademicki.

– Nie myślisz chyba, że pójdziesz w takim stanie na studia – zdziwił się pan Sprawiedliwość.

– Nie możesz mi odmawiać prawa do edukacji.

– Ma rację – poparła ją nieoczekiwanie Jagienka. – Niech się realizuje. Wampir czy nie, ma swoje prawa.

– Właściwie to niezupełnie – wtrącił się Jens. – Wampiry nie tylko płacą podatki według specjalnych stawek, ale też podlegają specjalnym regulacjom prawnym.

– Prawo nie nadaża za współczesnością. Nie pierwszy raz – zauważyła Monika, rzucając Jensowi kontestujące spojrzenie spod zmarszczonych brwi, potem z przyganą popatrzyła na Michała. – Nie możesz jej zamykać na cztery spusty tylko dlatego, że jest wampirem.

Mina pana Sprawiedliwość świadczyła, że owszem, może.

– Żamierzam sze realizować – upierała się Oleńka.

– Rób sobie, co chcesz, bylebyś wyprowadzała Idéefiksa – zezwoliła Jagienka i, co było dla niej samej sporym zaskoczeniem, przyjaźnie poklepała dziewczynę po ramieniu.

Michał zajął się gromieniem wzrokiem siostry i byłej żony. Na żadnej z nich nie zrobiło to wrażenia.

– Jak masz zamiar się realizować, skoro nie możesz wychodzić na słońce?

– Można to chyba rozwiązać magicznie. – Jens pogładził z namysłem bródkę, łowiąc, całkiem przypadkiem, ciepłe spojrzenie rusalki. – Wydaje mi się, że jest to możliwe, chociaż oczywiście żaden mag oficjalnie nie przyłoży do tego ręki. Takie praktyki potępia zarówno sąd magów, jak i same wampiry.

– Walczę z szarą strefą magii, nie mogę z niej korzystać! – zaprotestował słabo Michał.

– Weź pod uwagę, że to w końcu twoja rodzona siostra – wtrąciła Monika.

– Jedyna – dodała Oleńka wyjątkowo płacziwie.

– A co z zębami? – Pan Sprawiedliwość jeszcze próbował się opierać.

Jagienka popukała się pogardliwie w czoło.

– Dentysta – odpowiedziała z politowaniem. – Najbliższy gabinet jest dziesięć minut drogi stąd. Zawieziesz ją, jak zrobi się ciemno.

Michał rzucił spojrzenie spode łba, usiadł przy stole i zabrał Idéefiksowi sprzed nosa talerz z ciastkami.

– Stracę wiarygodność jako obrońca uciśnionych – powiedział kwaśno.

– Ani się ważcie komukolwiek o tym wspomnieć. – Spojrzał gniewnie na Poborców. – To musi pozostać między tymi ścianami.

– I między tymi wampirami i mafią warszawską – dodała Ola.

Pozostali odwrócili się do niej.

– Co ma do tego mafia warszawska? – zapytał Jens z niepokojem.

– No, przeczeż tu była – odparła wampirzyca.

– Razem z wampirami? – upewniła się Monika.

– Wszyscy przyszli razem. Ale wampiry mnie pogryzły, a mafia nie. Szmerdzała papierosami.

– Mafia? – zdziwił się Jens.

– No przecież mówię. Szmerdzała. Nie lubię, jak papieroszy szmerdzą. Tamte wampiry też nie lubiły. Trzymały sze jak najdalej od tej mafii.

– Nie trzeba było wypuszczać tego bandyty – westchnęła Jagienka. Poniekąd z satysfakcją odnotowała, że dobre uczynki mają katastrofalne skutki. Nie zwalniało jej to wprawdzie z obowiązku ich popełniania, ale mile potwierdzało słuszność jej przekonań względem tego właśnie obowiązku. – Trzeba go było zakopać pod pomidorami.

– Nic straconego – powiedział twardo pan Sprawiedliwość.

– Owszem, straconego. Idéefix zmiażdżył szklarnię i pomidory.

– Mafia warszawska to jedno, ale mafia warszawska z wampirami to już zupełnie coś innego – stwierdził Jens. – Musimy chyba zawiadomić zwierzchników.

– Znowu powiedzą, że wykańczamy przełożonych. – Monika pogłaskała Idéefiksa na pożegnanie. – A to przecież wcale nie nasza wina.

– Możemy pożyczyć miednicę? Musimy jakoś przewieźć książkę.

– Bierzcie – zgodziła się Jagienka.

– Tylko nikomu ani słowa – przypomniał pan Sprawiedliwość.

– Jasne. I powodzenia z odwampirzaniem czy co tam będziecie robić.



Jens postawił miednicę na tylnym siedzeniu obok ciągle śpiącego Ślipiaka. Wodnik otworzył jedno oko.

– To dla mnie? – ucieszył się.

– Nie, dla książki – wyjaśniła Monika, zapinając pasy.

Samochód ruszył i trochę wody z miednicy chlapanęło na Ślipiaka.

– Brrr...! – Otrząsnął się ze wstrętem i odsunął na drugi koniec siedzenia. – Chemia! To szkodliwe!

– Książce nie powinno zaszkodzić. – Monika wyjrzała zza zagłówek.

– Macie księgę? – Ślipiak przemógł odrazę i zajrzał do miednicy. – Smok ją wypluł?

– Tak.

– Widać. – Wodnik ze wstrętem odsunął się od oparów unoszących się znad powierzchni wody. – To kłopoty z głowy?

– Nie mów hop – mruknął ponuro Jens. Złe przeczucie nie opuszczało go ani na chwilę.



– Warszawska mafia wynajęła wampiry i wszyscy razem zwalili się do Lublina? – zapytał podejrzliwie Łukasz, oderwany od medytacji i skłoniony do przeteleportowania się do lubelskiego Urzędu.

– Mamy informację z pewnych źródeł – powiedział Jens. Upór Łukasza odnośnie zachowania postawy zadowolonego z życia obserwatora zdążył już dać się Niemcowi we znaki. Skłaniał się ku pogładowi, że tak jak nie lubił „starego” Łukasza, tak i „nowy” nie przypadł mu bynajmniej do gustu.

Zebrali się w gabinecie Piotrka. Na biurku stała miednica, w której moczyła się księga. Nad obiema unosiły się opary.

– Jakich źródeł? – zainteresował się podejrzliwie Piotrek.

– Pewnych – odpowiedziała enigmatycznie Monika. Ostatnią rzeczą, jaką chciałyby zrobić, to wtajemniczyć przełożonych w wydarzenia dzisiejszego poranka. Bliskie kontakty z panem Sprawiedliwość oraz zażyłość z jego rodziną mogłyby wyprowadzić z równowagi nawet Łukasza. Piotrek oczywiście bolałby nad tym faktem, bo z reguły ubolewał na wszelkimi faktami, ale Monika mocno podejrzewała, że tym razem jego cierpienie osiągnęłoby niebywałą skalę. Swoją drogą, o co w tym chodziło? Pan Sprawiedliwość, nie, Michał Sprawiedliwość był przecież zupełnie sympatycznym gościem.

– Mamy tajnych informatorów – mruknął Jens, który najwyraźniej doszedł do tych samych wniosków. Owa jednomysłność przywołała na twarz rusałki pełen rozmarzenia uśmiech, ale tylko na chwilę. Sytuacja

wyjątkowo nie sprzyjała marzeniom.

– Zbudowaliście sobie siatkę donosicieli? – nie dowierzał Piotrek.

Rusałka wzruszyła ramionami.

– Nie twoja sprawa, co robimy w wolnym czasie.

– Czyli informacja jest bardzo, bardzo pewna? – powtórzył Łukasz. Ku uldze pozostałych zaczął wreszcie wykazywać objawy niejakiego zaangażowania.

– Podobno nawet zaczęli już nękać zwykłoczków. Tylko patrzeć, jak będziemy tu mieli inwazję wampirów – przepowiedziała ponuro Monika.

– Możemy na to spojrzeć z jaśniejszej strony – zaproponował Łukasz. Jego zaangażowanie wciąż było raczej marnej jakości. – Wampiry płacą wyższe podatki.

– Ale jak ciężko je od nich ściągnąć. – Piotrek stanowczo nie podzielał optymistycznego nastroju zwierzchnika. – Duże zużycie Poborców.

– Dlaczego? – zainteresowała się odruchowo Monika.

– Wampiry gryzą – przypomniał jej Jens.

– To ugryziony Poborca nie może być już Poborcą? – zdziwiła się. W końcu sama, jak się okazało, nie była zwykłoczką, nie wspominając o Ślipiaku, który człowieka przypominał tylko w swoich najlepszych momentach. Urząd z pewnością nie dyskryminował mniejszości magicznych.

– Wykluczone. – Piotrek zdecydowanie pokręcił głową. – Mielśmy na to sporo skarg mniej więcej w szesnastym wieku. Poborcy-wampiry ściągali nie tylko podatek, ale przy okazji spuszczały z płatnika krew. Ciężko w takich warunkach realizować politykę Urzędu przyjaznego obywatelowi.

– Dowiem się od kumpli z Centralnego Biura Magii Śledczej, czy nie słyszeli o jakichś wampirach pracujących dla mafii – zaoferował się Łukasz, którego, nie wiedzieć czemu, właśnie ta informacja wprawiła w radosne ożywienie.

– A propos służb mundurowych. Czego wczoraj chcieli tajniacy? – Jens w zasadzie nie miał wątpliwości. Kogo jeszcze zwabiła ta przeklęta księga?

– Nie uwierzycie. – Piotrek odsunął szufladę biurka i wyciągnął arkusz pergaminu. – Przyszli złożyć oficjalne przeprosiny. Na piśmie. – Podał papier Monice. – Ktoś na górze niezłe ich objechał za porwanie maga. Przepraszali i chcieli wiedzieć, czy wystąpisz o odszkodowanie. Chcieli osobiście, ale powiedziałem, że doznałaś urazów psychicznych i dalszy kontakt bezpośredni z Tajnymi Służbami Magicznymi jest dla ciebie niewskazany. – Nieoczekiwanie zachichotał złośliwie. – Więc zgodzili się zostawić to u mnie.

– O rany! – Rusałka obejrzała z przejęciem pieczęcie i ozdobne, prawie nieczytelne litery. – A ja myślałam, że im wolno każdego obywatela tak bez powodu i konsekwencji porwać i więzić.

– Każdego obywatela owszem – mruknął Jens z przekąsem. – Ale nie maga.

– To skandal – oburzyła się Monika. – To znaczy, że gdybym była zwykłą rusałką albo zwykłą człeczką, mogliby mnie porwać, przetrzymywać, a nawet zakopać w ogródku?

– Mogliby – potwierdził Łukasz, wystukując numer na komórce.

– Zaczynam popierać pana Sprawiedliwość! – oznajmiła gwałtownie Monika. – Może nawet rzucę pracę i się do niego przyłączę!

– Zwariowałaś? – Piotrek wytrzeszczył na nią oczy, a wychodzący z pokoju Łukasz popukał się w czoło. – To przestępca! Szaleniec!

– Nie popełnia przestępstw, tylko walczy o sprawiedliwość społeczną, której, jak widać, nie ma! – zaperzyła się rusałka. – Tak jak Robin Hood!

– Żeby on był całkiem jak Robin Hood! – Piotrek ze zboląłą miną wzniosł oczy do nieba. – Anglicy Robin Hooda w końcu się pozbyli, może i nam się uda.

Przez uchylone drzwi zajrzał Łukasz ze słuchawką przy uchu.

– Znacie rysopis wampirów? – zapytał.

– Łyse, spiczastouche, długie zęby i niezdrowa cera – odpowiedział automatycznie Jens. Oświadczenie Moniki nieco go zaskoczyło i bynajmniej nie było to zaskoczenie przyjemne. Przyglądał się jej uważnie, czekając na kolejne rewelacje, ale rusałka pochwyciła jego

chmurne spojrzenie, uśmiechnęła się nagle jakoś tak niepewnie i zamilkła.

Łukasz powtórzył opis do słuchawki i niemal natychmiast zakończył rozmowę.

– W Warszawie nic o nich nie wiedzą. Mają pod obserwacją wszystkie polskie wampiry, ale żaden nie zbliżył się nawet do Lublina. Za to policja dostała donos, że wczoraj po zachodzie słońca na lubelskim dworcu PKS trzech łysych młodzieńców pobiło trzy łyse indywidua.

– To oni – stwierdził Jens stanowczo. Monika poderwała się z fotela.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Piotrek.

– Intuicja Poborcy – wyjaśnił z uśmiechem. – Musimy już iść.

– Zaczekajcie. – Piotrek wyciągnął z szuflady trzy zaostrome paliki. – Osikowe kołki – wyjaśnił. – Na wypadek, gdyby zrobiło się gorąco.

– Możemy tu zostawić księgę? – upewniła się Monika.

– Możecie. – Łukasz zajrzał do miednicy i powąchał unoszące się znad niej opary. – Niezłe – ocenił.

Przechodząc przez hol, zabrali ze sobą Ślipiaka, który z ponurą miną tkwił przy telefonie.

– Nie podnoszą słuchawki – zaraportował ponuro. – Myślicie, że obraziły się o ten męski wieczór?

– Nie martw się żabami – Monika wzięła go za rękę. – Będziemy tańczyć.

– Musimy tylko popytać ludzi – zaprotestował Jens.

– Jedno nie wyklucza drugiego. – Uśmiechnęła się zagadkowo rusalka.

A Jens odruchowo podłubał w uchu. Znowu słyszał Wagnera.



Zanim dojechali na dworzec, wokół palców Moniki lśnił już cały kłębek splecionej starannie sieci.

– Upierasz się, żeby tak to zrobić? – zapytał Jens, parkując samochód.

– Będzie wesoło – odparła. – A zresztą, kto mi zabroni? Tajne Służby Magiczne? – Wyciągnęła z kieszeni złożone pismo z przeprosinami. –



Wampiry latają po mieście i gryzą ludzi, a my się mamy hamować?

– Właściwie to masz rację – zgodził się Jens z miną człowieka, który na siłę niejako zapomina o skrupułach.

Monika wyjęła z plecaka płytę i dała ją Ślipiakowi.

– Mają tu chyba jakiś radiowęzeł albo przynajmniej mikrofon i głośniki. Znajdź je.

Wodnik chwycił płytę i pobiegł do budynku dworca. Rusałka wysiadła i zaczęła krążyć wśród podróżnych, oplatając ich srebrną nicią. Jens został za kierownicą w towarzystwie kupionego po drodze czosnku i kartonu papierosów, które podobno odstraszały wampiry. Niestety, urok rusałki, a przynajmniej jakaś jego pozostałość, ciągle na niego działał i strasznie ciężko było przemóc się, żeby wypalić chociaż jednego.

Monika skończyła swoją wędrówkę; stała pomiędzy ludźmi i obserwowała, jak stopniowo, prawie niezauważalnie, zaczynają poruszać się w harmonii ze sobą nawzajem, płynnymi, prawie tanecznymi ruchami.

Dworcowe głośniki prychnęły nagle, zakrztusiły się, a potem ryknęły: *Polne kwiaty we włosy...*

Ludzie przez chwilę wydawali się zdumieni, ale już po chwili zaczęli się lekko, leciutko kołysać. Z budynku wypadł Ślipiak. Rozejrzał się po falującym tłumie.

– No co jest?! – wrzasnął. – Tańczymy!

Wszyscy, jakby na to czekali, ruszyli za nim w radosny, obładowany bagażami korowód. Monika tańczyła z samego brzegu, zarzucając sieci na przypadkowych przechodniów, którzy zwalniali, żeby się pogapić.

Jens wysiadł z samochodu i obserwował przez chwilę tańczących. W tłumie mignęły mu nawet żaby Ślipiaka. Zauważył pierwszego łysego, potem następnego i jeszcze kolejnego. Łapał ich i wyciągał z korowodu, oszołomionych i zaskoczonych. Po kilku minutach miał już kilkunastu, szarpających się w zakłęciu wiążącym.

– Tańczyć! – ryczeli.

– Za chwilę – uspokoił ich. – Tylko odpowiecie na parę pytań, potem was wypuszczę.

Przestali się szarpać.

– Kto był tu wczoraj wieczorem? – Kilku podniosło ręce do góry, jak w szkole. Jens ruchem dłoni uwolnił pozostałych.

– Kto kogoś pobił? – Zostało mu jeszcze dziesięciu.

– Kto pobił innych łysych? – Zostało pięciu.

– Kto pobił łysych ze spiczastymi uszami i kłami? – Zostało tylko trzech.

– Babcię nam molestowali – powiedział defensywnie jeden z nich. – Trzeba było gnojom zryć mordy.

– Nie mówię, że źle zrobiliście – zapewnił go Jens przyjaźnie. – Ale chciałbym poznać szczegóły.

Łysi byli wyjątkowo skłonni do współpracy.

– Patrzymy, a tu jakichś trzech łapie babcię, to przylecieliśmy i kazaliśmy im się grzecznie wynosić. Cieniasy to były. Ale jaką mieli brykę!

– Jaką?

– Limuzynę, jak z filmu. Tylko że w oknach były jakieś szmaty zamiast szyb. Długo tu stali, ale wysiedli dopiero, jak się zrobiło ciemno.

– Sami byli?

– Nie, był jakiś gość, co prowadził, i jeszcze panienka. Oboje na czarno. Ona cały czas paliła, jeden papieros od drugiego. – Najbardziej rozmowny z łysych skrzywił się z niechęcią. – Paląca kobieta to takie wulgarne. Nie to co za czasów Mickiewicza: „Słuchaj dziewczeczko – ona nie słucha”. Wtedy to były kobiety – rozrzewnił się.

Jensa zatkało. Uchwycił się myśli, że romantyczne ciągoty dresiarza musiały być skutkiem ubocznym działania sieci, co pozwoliło mu skupić się na przesłuchaniu.

– A babcia gdzie? – zapytał słabo.

– Tańczy! – Wszyscy trzej wskazali żwawą staruszkę w kapelusiku. – My też możemy iść tańczyć?

– Idźcie. – Zdjął z nich zakłęcie.

Od razu rzucili się w sam środek korowodu. Jens poszedł za nimi, precyzyjnie się do babci i wyciągnął ją poza tańczących.

– Puść, bo zawołam wnusiów! – zagroziła. – Chcę tańczyć!

– Za chwilę – powiedział cierpliwie. – Wczoraj panią napadnięto?

– A tak! – Wyrwała mu się i wykręciła piruet. – Trzech zboczeńców, ale moi wnusiowie ich przepędzili. Łodriridi uha! – Wycięła hołubca jak się patrzy.

– Czego chcieli ci zboczeńcy?

Staruszka popatrzyła na niego jak na idiotę.

– Mnie, oczywiście.

– A o co pytali?

– A o taką miłą dziewczynkę, co przywiozła rano jakiegoś chłopaczka, związanego jak baleronik. Moi wnusiowie pomogli jej wsadzić go do autobusu. Zatańczysz ze mną, młodzieńcze? – Mrugnęła figlarnie.

– Dziękuję, może jednak innym razem. – Jens stanowczo wepchnął ją z powrotem do korowodu.

Potem wsiadł do samochodu i mnąc w palcach papierosa, czekał, aż rusalka i wodnik skończą się bawić. Trwało to jeszcze prawie dwie godziny. Ludzie wychodzący z przyjeżdżających autobusów, niczego nieświadomi, byli wciągani w falujący, rozradowany tłum. Jakiś starszy pan, na oko pamiętający nie tylko cały wiek dwudziesty, ale i początek dziewiętnastego, z zapałem wykonywał wariację na temat góralskich tańców z przytupem i ciupagą, z braku tego ostatniego rekwizytu pomagając sobie parasolem.

Kontrolerzy, którzy wysiedli obok dworca z autobusu miejskiego linii 57, też dołączyli do zabawy, spotykając się z życzliwym przyjęciem społeczeństwa, które w każdej innej chwili życzyłoby im jak najgorzej. Na samym środku placu uformował się szereg wykonujący rumbę, albo może sambę, albo i własną interpretację calypso. Przewodziła mu roześmiana blondynka w ogrodniczkach, pchająca podwójny wózek o podwójnej zawartości: dwóch identycznych chłopczyków, żywo zainteresowanych rozwojem wydarzeń. Za nią, wykonując podskoki i wydając okrzyki, tańczyło kilku policjantów, przybyłych na dworzec w celu opanowania niesfornego tłumu. Kierowcy busików weszli na dach autokaru i radośnie wykonali własną wersję kankana. Do korowodu zaczęli dołączać klienci z pobliskiego targowiska, zwabieni muzyką,

która grała dalej, chociaż ulubiona piosenka Moniki już dawno ucichła. Wszystko mogło trwać jeszcze długo i skończyć się zbiorowym płasem wszystkich trzystu pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców Lublina, a także prze – i przyjezdnych, ale rusalka przypominała sobie o obowiązkach. Ledwo wyszła z korowodu, ludzie zaczęli padać ze zmęczenia na swoje bagaże.

– Nieźle ich wymęczyłaś – zauważył Jens, kiedy wsiadła do samochodu.

– Gdyby mogli, to by mi podziękowali – odparła z przekonaniem rusalka. – Ożywiłam ich szare życie. Dowiedziałeś się czegoś?

– Niewiele, ale zawsze coś. Gdzie Ślipiak?

– Spotkał żaby. Chciały złapać autobus i wrócić nad jezioro, ale jak go zobaczyły w korowodzie, to zrozumiały, że nadal jest tym samym wodnikiem, który tak je zauroczył. Chyba poszli razem kupować poradniki, coś w stylu „Wodniki są z Jowisza, a żaby z Saturna”.

Jens po namyśle postanowił nie komentować.

– Trzech łysych chłopaczków ocaliło wczoraj babcię, molestowaną przez łysych, spiczastouchych zbrojeńców – zrelacjonował zdobyte informacje. – Z tego, co mówiła babcia, wypytywali ją o Olę Sprawiedliwość.

– Tylko tyle? – rozczarowała się rusalka.

– Wampiry jeżdżą czarną limuzyną w towarzystwie dwojga ludzi, w tym nałogowej palaczki.

– To teraz będziemy jeździć po mieście i szukać czarnej limuzyny? Niby tu takich samochodów na ulicach nie ma, ale i tak będzie z tym dużo roboty.

– Możemy wynająć różdżkarza – zaproponował Jens.

– Znajdzie limuzynę? Myślałam, że różdżkarze są od żył wodnych.

– Jak mu się dobrze zapłaci, to znajdzie wszystko – westchnął Jens. – Tyle że nie jestem pewien, czy Urząd ma fundusze na opłacanie poszukiwań.

Telefon w jego kieszeni zadzwonił, wygrywając nieskomplikowaną melodię. W słuchawce odezwała się Baśka.

– Lepiej przyjeździe – powiedziała i rozłączyła się.



Pierwszą osobą, jaka rzuciła im się w oczy, gdy weszli do gabinetu Piotrka, był Łukasz. Przykurzony, obszarpany, obrzucony prawdopodobnie jajami, mąką, a także jakąś ciemną mazią. Na ramieniu przylepiła mu się skórka od banana.

– Byłem w wydziale nielegalnej imigracji – oznajmił dumnie.

Piotrek nalał mu kawy do kubka. Łukasz wypił, nawet nie patrząc, co pije.

– Strasznie tam było – powiedział tonem myśliwego, opowiadającego bandzie laików o safari, podczas którego lew-ludożerca skonsumował mu połowę tubylczych przewodników. – Przez granicę próbował przedostać się gang słoni-rabusiów z Tajlandii. Podobno miały wysypywać zboże na tory. Na szczęście nasi chłopcy je zatrzymali. Ale była demolka! Pół aresztu poszło w trociny. Dobrze, że wszystko olewam, bo byłbym strauumatyzowany doszczętnie – dodał filozoficznie.

– Wiedzą tam coś o wampirach? – Monika pominęła milczeniem ewentualną traumę zwierchnika.

– Nic kompletnie. Jeśli ktoś sprowadził tu bandę krwio pijców, to nielegalnie i bez uiszczania opłat celnych. A nie wolno unikać Podatku. – Łukasz zatarł ręce z wyjątkowo, jak na niego, złowrogą miną. – To nikomu nie uchodzi bezkarnie. Będziemy ich ścigać z urzędu.

– My sami? – przestraszyła się rusałka. – Z kołkami osikowymi?

– Ani się ważcie potraktować ich kołkiem – zagrzmiał Łukasz. – To są płatnicy albo dowód rzeczowy w sprawie, zależy, od kogo będziemy ścigać ten Podatek.

– To co z nimi zrobimy? – zapytał ostrożnie Jens.

– Pani Halinka znalazła klucze od cel – wtrącił Piotrek. – Nasza brygada remontowa robi tam porządek.

– To cele też mamy? – Monika nawet się już nie zdziwiła.

– Wszystko mamy, tylko o tym nie wiemy – mruknął Piotrek. – Ostatnia inwentaryzacja była w 1758, myszy zeżarły ponad połowę

spisu. Nikomu się nie chciało odwalać tej papierkowej roboty od nowa, więc przed Centralą udajemy, że jest okay.

– Właśnie powiedziałaś Centrali, jaki jest stan faktyczny. – Jens wskazał na Łukasza.

Piotrek machnął lekceważąco ręką.

– On się nie liczy, jemu i tak wszystko wisi.

– Fakt – zgodził się Łukasz. – Możecie wysadzić cały oddział w powietrze, mnie to nie obchodzi. Ale jakbyście złapali wampiry, to dostałbym awans, a jak o tym myślę, to czuję, że zaczynam trochę mniej wszystko olewać.

– Kołków nam nie wolno użyć, to mamy te potwory łapać gołymi rękami? – zaprotestowała Monika.

– Skąd! Wy będziecie tylko urzędnikami nadzorującymi. – Piotrek nacisnął guzik interkomu. – Przysłijcie tu komando. Uprzedzając pytanie – dodał, widząc, że rusałka już otwiera usta – komando też mamy.

Nagle, z hukiem i w kłębach dymu, w gabinecie zmaterializowało się komando. Zrobiło się bardzo ciasno. Piotrek włożył z nogami na krzesło, Łukasz na biurko, o mało nie zrzucając przy tym miednicę, w której wciąż moczyła się księga. Jens i Monika cofnęli się pod samą ścianę.

Najwięcej miejsca zajmowały dwa trolle. Żująca zapamiętała gumę strzyga rzucała się w oczy głównie za sprawą czerwonego irokeza. Mały skrzat nie wpadał w oko i desperacko walczył, żeby nie wpaść też pod czyjeś obuwie.

– Oto nasze komando. – Piotrek otworzył okno, żeby pozbyć się dymu. – Czy wy tak zawsze musicie? – zapytał z wyrzutem. – Jeszcze mi meble nie wywietrzały po ostatnim razie.

Strzyga lekceważąco nadmuchała różowego balona, który pękł, oblepiając jej całą twarz gumą. Nie zraziło jej to i nadal żuła zapamiętała, a nawet z pasją. Trolle patrzyły się tępo w sufit. Skrzat wspiął się po kablu od komputera na biurko. Do ust przystawił sobie miniaturowy megafon.

– Nie zwracajcie na nich uwagi – powiedział, wyciągając zatyczki z

uszu. – Ostatnio całkiem ogłuchli. To przez to przybywanie z hukiem i w oparach. Dwóch naszych jest już na zwolnieniu lekarskim. Dowódca ma uczulenie na dym, a mój brat, cóż, miał nieszczęśliwy wypadek. Chłopcy go nie zauważyli. – Kiwnął głową w stronę trolli. – Za tydzień mamy zabukowany pobyt w sanatorium dla ukojenia nerwów i bębenków słuchowych. Mamy to w kontrakcie. – Wyciągnął z kieszeni karteczkę nikczemnych rozmiarów.

Piotrek bez słowa sięgnął po nią, wygrzebał z szuflady lupę i zaczął studiować warunki kontraktu.

Strzyga puściła oko do Łukasza i zrobiła następnego balona.

– I jeszcze na samym dole, drobnym druczkiem – podpowiedział skrzat. – Stoi jak byk: nie wolno narażać na szwank naszej psychiki ani fizyki.

– Przecież jesteście komando? – zdziwił się Jens. – Wasza praca to narażanie się! W komandach niemieckich i angielskich...

– My nie jesteśmy komando niemieckie ani angielskie – przerwał mu twardo skrzat. – Jesteśmy komando czysto polskie i mamy na to papiery! – Zaprezentował naszywkę „Właśnie Polska”, którą miał na ramieniu. – Mamy za sobą lata doświadczeń naszych praszczurów w dziedzinie dywersji i podstępu, a także w kwestii walk o przywileje i ustępstwa.

– Nie przejmuj się – powiedział Łukasz, klepiąc Piotrka po ramieniu. – Moi komandoski warszawscy też tak mają, ale mnie to wisi.

Piotrek podniósł głowę znad lupy i oddał skrzatowi kontrakt.

– Tego... Może pójdziecie sobie odpocząć? Na lody albo coś? – zaproponował.

Komandoski zasalutowali i z hukiem i w oparach dymu wyparowali. Monika zaczęła nerwowo wachlować się jakimś pismem urzędowym.

– Czy to znaczy, że jednak mamy wampiry łapać ręcznie? – zapytała.

– Możecie w siatkę – zezwolił Łukasz, pochylając się nad miednicą. Od powierzchni wody oderwała się blad różowa bańka.

– Myślicie, że to już? – Piotrek popatrzył pytająco po twarzach zebranych.

Jens bez słowa wyszedł z gabinetu, a po chwili wrócił, niosąc parę gumowych rękawiczek. Włożył je i sięgnął do miednicy.

– Ostrożnie! – Łukasz prawie podskoczył, zlął z biurka i schował się za fotelem. – Już możesz.

Piotrek na wszelki wypadek też odsunął się z krzesłem jak najdalej. Monika popatrzyła uważnie na obu swoich zwierchników, wreszcie wstała i stanęła obok Jensa.

– Wyciągaj – ponagliła go. – Wcześniej nie wybuchła, teraz też nie powinna. Niech to się wreszcie skończy!

Poborca ostrożnie zanurzył dłonie w wodzie z wybielaczem. Wyjął księgę, ociekającą wodą i pomarszczoną od wilgoci. Monika sięgnęła po wiszącą przy drzwiach marynarkę Łukasza i bez wahania wytarła nią książkę. Łukaszowi słowa protestu ugrzęzły w gardle, bo przypomniał sobie, że to też mu wisi.

Rusałka pieczołowicie ułożyła wytarty wolumin na biurku. Piotrek i Łukasz, nie doczekawszy się wybuchu ani apokalipsy, powolutku podeszli bliżej.

– Jak na coś, czego poszukuje tyle osób, wygląda marniutko – ocenił Łukasz.

– Odwal się – zaproponowała księga. – Też byś wyglądał marniutko po wycieczce po smoczych wątrobach i żołądkach.

– O, mówi – zdziwił się Piotrek.

– Przecież jest magiczna. Wszystkie księgi magiczne mówią, prawda? – Monika już tylko pokręciła z dezaprobatą głową. Zachowanie zwierchników w stosunku do księgi wyraźnie nie znalazło uznania w oczach rusałki.

– Nie wszystkie, tylko te najbardziej magiczne – wyjaśnił łagodnie Jens.

– O, to wy – ucieszyła się księga. – Co słychać?

– Znacie tę księgę? – Łukasz zmarszczył brwi i rzucił im podejrzliwe spojrzenie.

– Przecież sami ją wykradliśmy, na twoje zresztą polecenie – przypomniała Monika.

– I przy okazji poznaliście moje tajemnice – dodała księga.



– Że jak? – Łukasz na chwilę zapomniał, że nic go nie obchodzi.

– A, możliwe. – Tym razem Piotrek zaprezentował postawę głęboko filozoficzną i nawet wcale nie cierpiętniczą. – Ale oficjalnie ja nic o tym nie wiem.

– Skoro wiecie, co w niej jest, to wyjaśnijcie mi, dlaczego wszyscy się tak za tą książką uganiają.

– Żebyśmy to wiedzieli. Sami cały czas próbujemy się w tym połapać.

– Jens wzruszył ramionami. – Zakłęcia owszem, interesujące, ale żeby aż tak? Bez urazy – dodał pod adresem woluminu.

– Nie czepiam się – oznajmiła łaskawie księga.

– Może temu magowi, który miał weksel, coś się pomyliło? – myślała głośno Monika. – Plotka poszła w naród i teraz widzimy konsekwencje.

– I tak nie ma jak go o to zapytać, bo wymazałem mu pamięć – westchnął ciężko Jens. W duchu zganił się za pochopność. Z drugiej strony jednak, wtedy porwali Monikę. Nawet gdyby bardzo chciał, nie zdołałby zachować wewnętrznego spokoju.

– Może by dać ogłoszenie w prasie, że z tą księgą to jedna wielka pomyłka i niech się od nas magowie, mafia, wampiry i pan Sprawiedliwość odczepią? – zaproponował dość beznadziejnie Piotrek.

– Nie powiedzieliśmy ci? – Monika zamachała rękoma, minę miała nieco zakłopotaną, a nieco przepaszającą. – Pana Sprawiedliwość mamy z głowy.

Piotrek rzuciłby się na nich, ale na drodze stanęło mu biurko.

– Unieszkodliwiliście go? – Ogrom nadziei, brzmiącej w jego głosie, przyprawił Poborców o gwałtowny atak wyrzutów sumienia.

– Niezupełnie – odparł pospiesznie Jens, starając się nie patrzeć Piotrkowi w oczy. – My... tego... Zawarliśmy chwilowy pakt o nieagresji.

– Księga wcale mu nie była potrzebna – uzupełniła Monika. – Więc zgodził się uprzejmie nie wtrącać, ale chyba będzie się wtrącał w wampiry – dodała niepewna reakcji przełożonego. – Nie aprobeuje ich. Nawet bardzo.

– Gdyby tak pan Sprawiedliwość wykończył wampiry, a wampiry pana

Sprawiedliwość – westchnął w rozmarzeniu Piotrek.

– Przepraszam bardzo – wtrąciła się nagle księga, przez kilka ostatnich minut trwająca w pełnym zadumy milczeniu. – Powiedzieliście „weksel”?

Wszyscy spojrzeli na nią wzrokiem, który można było opisać jako jeszcze-nie-ale-niedługo-morderczy.

– Tak – zaryzykowała po chwili Monika. – Mówimy o wekslu na księgę, ściślej biorąc na ciebie, który miał pewien mag.

– To macie problem – poinformowała ich księga beztróskim tonem. – Bo na mnie weksla nikt nie miał. Jestem własnością rodziny od, pi razy oko, dwudziestu pokoleń. Legalnie.

– Weksel był sfałszowany, ukradliśmy księgę nielegalnie – załamał się natychmiast Piotrek.

– Nie powiedziałam, że weksel był fałszywy. Powiedziałam tylko, że nie był na mnie – sprostowała księga z godnością.

Piotrek poderwał głowę, pozostali wbili w inkunabuł spojrzenia, które już stały się mordercze.

– Sieroty saskie – powiedziała z politowaniem księga. – Trzeba się było zapytać, powiedziałabym, że nie o mnie chodzi. Ta druga leży w garażu, pod oponami.

– Ta druga? – zapytał słabo Piotrek. Przeniósł spojrzenie z książki na swoich podwładnych.

– Nie przyszło nam do głowy, że mogą mieć drugą księgę – usprawiedliwiła się Monika niemal z płaczem.

– Jak pytaliśmy, to wskazali na wędzarnię – dodał Jens.

– Nic dziwnego. – Księga zdawała się być rozbawiona sytuacją. – Zanim przyszliście, leżałyśmy tam obie. Ale gospodyni chciała uwędzić rybki i zaczęła nas przenosić. Tamtą zdążyła, a potem wy się zwaliliście.

– Kto mógł przypuszczać? – Jens zaczynał czuć narastającą irytację. Przez głowę przemknęła mu myśl o wyjątkowo brutalnym wyrywaniu kartek. – Powinniśmy byli przeszukać cały dom!

– Nie mogliśmy, policja przyjechała – przypomniała mu rusalka.

– Czy to znaczy, że ta właściwa księga ciągle tam leży? – zainteresował

się Piotrek.

– Myślicie, że zdążyli ją ukryć gdzie indziej? – Monika też już dostrzegła możliwość naprawienia pomyłki.

– Nawet o niej nie pamiętają, przecież wymazaliśmy wszystkim pamięć.

– Nie wszystkim. – Tym razem rusałka obiecała sobie nie dać się ponieść zbytniemu optymizmowi. Tym razem obiecała sobie załatwić sprawę cholernej księgi jak należy. – Został pan Sprawiedliwość, mafia i wampiry.

– Trzeba tam będzie pojechać na wszelki wypadek. – Jens składał w duchu identyczne obietnice. – Mafia i wampiry myślą, że księgę mamy my, więc chyba nawet jej tam nie szukali.

– Został jeszcze pan Sprawiedliwość, ale z nim macie podobno jakieś tajemnicze układy. – Piotrek skrzywił się z niechęcią. – Miejmy nadzieję, że jeśli ma tamtą księgę, to ją wam odda równie chętnie jak tę niewłaściwą – dodał złośliwie, choć wciąż zboliałym tonem.

– Przeszukajcie ten garaż od razu, jeszcze dzisiaj – zażądał stanowczo Łukasz, na chwilę porzuciwszy swój stoicki spokój. – Chciałbym się dowiedzieć, co w niej jest takiego, że wszyscy chcą ją mieć.

– Mogę powiedzieć – zaoferowała się księga z biurka. – Trochę magii podatkowej, jakieś stare przepisy skarbowe...

Łukasz rzucił się na wolumin, porwał go, zamarł na chwilę, ściskając oburącz tak, że aż pobiegały mu palce i wpatrując się w okładkę straszonym wzrokiem, po czym wepchnął Jensowi w rękę.

– Jedźcie – powiedział zdławionym ze wzruszenia głosem. – Jeśli to jest to, co ja myślę, to zostanę dyrektorem Urzędu Skarbowego! – Wypchnął Poborców za drzwi.

Przy biurku Baśki Monika zatrzymała się i złapała słuchawkę telefonu.

– Co robisz? – Jens z rozpędu zrobił jeszcze kilka kroków.

– Nie ma sensu szukać książki, jeśli ma ją pan Sprawiedliwość. – Wyciągnęła z kieszeni notes z numerami, znalezienie tego do Jagienki nie trwało nawet chwili. – Dzień dobry, tu Monika z Urzędu Skarbowego – przedstawiła się grzecznie. – Co słyhać?

– Głównie borowanie – westchnęła po drugiej stronie Jagienka. – Robią Oleńce nowe ząbki.

– A jest tam może pan Sprawiedliwość? – zapytała rusalka.

– Jest, ale wątpię, żeby na coś wam się przydał – poinformowała demonica. – Wydeptał już dolinkę w dywanie, a jak nie depcze, to wznosi ręce do nieba i klnie się na wszystkie moce. Gdyby już przedtem nie był nienormalny, to powiedziałabym, że mu odbiło.

– A na jedno pytanie nie dałoby się uzyskać od niego odpowiedzi?

– Mogę spróbować coś od niego wyciągnąć – zgodziła się Jagienka. – Będę miała dobry uczynek.

– Chcemy wiedzieć, czy wie coś o drugiej księdze.

Wrzask demonicy usłyszał nawet Jens:

– Michał! Druga księga! Wiesz coś o niej!

Odpowiedziało jej mamrotanie pana Sprawiedliwość zakończone gromkim „odczep się”.

– Nie wie – przekazała uprzejmie Jagienka. – I odmawia dalszej współpracy.

– Nic nie szkodzi, już wiemy to, co nam potrzebne.

– To świetnie! Mam dobry uczynek – ucieszyła się demonica i rozłączyła się natychmiast.

Rusalka odłożyła słuchawkę mniej gwałtownie, odruchowo poprawiła wysuwający się zza ucha kwiatek.

– Nic nie wie o drugiej księdze – powiedziała. – Trzeba będzie jej poszukać.



Jagienka schowała komórkę do torebki, zaznaczyła dobry uczynek w kalendarzu i sięgnęła po kolorowe czasopismo. Oprócz działu „moda”, który obejrzała z zainteresowaniem, nie było w nim nic ciekawego, tylko same bzdury. Niemniej ilość gazet tego typu zaścielających poczekalnię pozwalała przypuszczać, że właśnie owe bzdury są ulubioną lekturą ludzi odwiedzających pracującego tu sadystę.

Jakieś dwie godziny wcześniej Michałowi skończyła się cierpliwość, złapał zasłonę, w zasłonę zaś złapał Oleńkę, a demonicy kazał prowadzić. Zważywszy na upodobanie Jagienki do prędkości, do gabinetu dentystycznego dotarli po czterech minutach, złamawszy kilkadziesiąt przepisów ruchu drogowego. Ale Michała nie obchodził jakiś głupi kodeks i wyraźnie przestał odczuwać przymus pozostawania w zgodzie z prawem, gdy w grę wchodziły zęby Oleńki.

Przekraczając próg gabinetu, stanowili dość dziwny widok: elegancka kobieta i wyjątkowo ponury mężczyzna, taszczący zawinięte w zasłonę, miotające się ciało. A jednak to nie stomatolog zamarł ze zdumienia, a oni, zaledwie weszli do środka. Wampirzyca miotała się nadal, bo przez zasłonę nie widziała pana doktora.

Dentysta, odziany w twarzową zieloną koszulkę i także spodenki, trwał w pozycji kucznej za fotelem. Twarz, na której zastygł wyraz maksymalnego skupienia, przykrywała mu przezroczysta maska ochronna, w prawej ręce dzierżył dmuchawkę. W pewnej chwili poderwał się i rzucił do przodu, raz po raz strzelając sprężonym powietrzem.

– Co... – zaczął Michał, ale nie zdołał wykrztusić całego pytania. Jednak mimo to Jagienka zrozumiała doskonale.

– Mucha... – odpowiedziała zduszonym głosem, z trudem przełamując zaskoczenie. – On goni muchę...

Dentysta w piruetach, jakich nie powstydziliby się rosyjski baletmistrz, przemierzył gabinet, próbując trafić powietrzem w natrętnego owada. Musze wydawało się to nie przeszkadzać. Na twarzy lekarza zacięty wyraz ustąpił nagłemu olśnieniu. Rzucił dmuchawkę, dopadł szafek i wyciągnął z jednej chlorek etylu w sprayu.

– *Hasta la vista, baby* – wykrzyknął z satysfakcją, mierząc w muchę.

Sekundę później zamrożony owad z cichym stukiem uderzył o podłogę.

– Ha! – Dentysta odstawił spray, a zlodowiałego trupka troskliwie podniósł z podłogi i wrzucił do małej lodówki, stojącej w kącie. – Będzie impreza, będzie żarełko – oznajmił radośnie w przestrzeń.

– Jaka impreza, jakie żarełko? – Oli udało się wyplątać głowę z zasłon i teraz rozglądała się po gabinecie.

Lekarz chyba dopiero teraz ich zauważył. Ściągnął rękawiczki i maskę, przyglądził włosy i uśmiechnął się nad wyraz zachęcająco i przyjaźnie. W swoim mniemaniu.

– Co, trudna pacjentka? – Łypnął opętańczo lazurowymi oczkami w stronę Oli.

Wampirzyca skuliła się natychmiast.

– Ja chce do domu! – pisnęła.

Dentysta sięgnął za siebie i podniósł wiertelko.

– Nie ma się co bać. – Pogłaskał narzędzie z nieskrywaną czułością.

– Ja chce do domu! – powtórzyła Ola, tym razem głośniejszym i bardziej histerycznym głosem. – Ten psychopata żrobi mi z zębów jesień średniowiecza!

– Wręcz przeciwnie! – Dentysta wyszczerzył się radośnie, prezentując, absolutnie śnieżnobiałe i doskonale równe ząbki. – W średniowieczu stan uzębienia ludzkości był katastrofalny. KA-TA-STRO-FAL-NY! A ja pani z zębów tę jesień średniowiecza usunę, zastępując ją świtem dwudziestego pierwszego wieku!

– No, szkoro tak... – Oleńka też wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Może nie lśniły tak jak u doktora, ale niewątpliwie były równie efektowne. Przede wszystkim długie.

Na szczęście psiknięcie w twarz chlorkiem etylu nie było szkodliwe dla wampirów. Michał rzucił się na dentystę.

– Zostaw. – Jagienka złapała go za ramię i nie bez trudu odciągnęła od lekarza.

Oleńka z lekkim zdumieniem obmacywała swoją zamrożoną twarz.

Stomatolog wciąż celował w nią sprayem.

– Satanistom uzębienia nie przerabiam – zastrzegł. – Jest napisane na drzwiach.

– Oleńka...

– Mmmm? – wymruczała pytająco wampirzyca z za zamrożonych warg.

– ...oczka ci działają? – upewniła się demonica.

– Mhmmm – przytaknęła Ola.

– No to bierz go. – Jagienka jednym krokiem pokonała odległość dzielącą ją od wystraszonego lekarza, ucapiła za kark i przysunęła jego twarz do twarzy wampirzycy, której oczy zaślniły złowrogą czerwienią.

Zahipnotyzowany dentysta bez dalszych oporów wziął się do pracy, Michał zaczął wydeptywać ścieżkę w poczekalni, a Jagienka po chwili wahania dopisała sobie kolejny dobry uczynek. Uratowanie szanowanego dentysty z łap oszalałego pana Sprawiedliwość to w końcu naprawdę coś. Gdyby jeszcze zauważyła, że Michał ukradkiem przywłaszczył sobie chlorek etylu, tak na przyszłość i wszelki wypadek, mogłaby dodać do listy swoich zasług i zapobieżenie kradzieży. Ale zbyt była zajęta artykułem o nowych trendach wśród projektantów apaszek.

## Rozdział 9

**M**onika i Jens usiedli na murku naprzeciwko białego domu na Tulipanowej i popatrzyli z troską na ogrodzenie.

– Do trzech razy sztuka – westchnął poborca, szukając woli działania w starych powiedzonkach.

– W garażu, tak? – upewniła się Monika.

– Przecież mówiłam – przytaknęła z irytacją księga.

– Wygląda na to, że nie ma ich w domu. – Stwierdziwszy ów fakt, Jens poczuł się nieco lepiej. – Gotowa?

Monika poruszyła palcami, przygotowując sieć.

– Gotowa – potwierdziła.

Podeszli do furtki. Natychmiast zostali obszczekani przez psy, ale te zamilkły z cichym skowytem, gdy tylko Monika zarzuciła na nie sieć. Otworzyli furtkę i weszli do środka. Rusałka pilnowała, czy nikt nie idzie, a Jens przy pomocy magii i wytrychów otworzył garaż.

W środku oboje oparli się o drzwi z westchnieniem ulgi. Monika zapaliła błędny ogień. Rozejrzeli się po skąpanym w niebieskim świetle pomieszczeniu.

– Trochę dużo tych opon – oceniła Monika. – Zrobili sobie jakiś skład, czy co?

– Trzymaj.

Jens wręczył jej księgę, a sam zajął się przerzucaniem zużytych opon. Monika, wstrzymując oddech, patrzyła mu na ręce. Żadne z nich nie zauważyło, jak drzwi, prowadzące z garażu do domu, uchylają się wolno. Ktoś nacisnął włącznik i jasne światło z żarówki umocowanej pod sufitem załało pomieszczenie.

– Ruszcie się, a zacznę wrzeszczeć tak, że w ratuszu usłyszą – zagroził



skołtuniony przedstawiciel współczesnej młodzieży. – A głos ćwiczyłem w moim zespole heavy-metal-hiphopowym z domieszką jazzu, The Pandarkchiockies, gdzie jestem głównym wokalistą – zakończył z dumą.

– A możemy chociaż się odwrócić? – zapytała Monika.

Młodzian przyjrzał jej się dokładnie.

– Ja cię znam – przypomniał sobie. – Wtedy, jak wybuchła ta straszna awantura... Kazałaś mi się uczyć! Najlepsze mnie ominęło! A podobno któryś sąsiad wlaźł na dach i rwał stamtąd dachówki i włosy z własnej głowy. Taki show! – westchnął z żalem.

– Przepraszam. – Rusałka poczuła się winna. Faktycznie, taki show!

– Nie ma sprawy. – Młodzian okazał się nad wyraz łaskawy. – Przez to wszystko starzy zapomnieli, że miałem szlaban na trzy tygodnie. A potem to w ogóle zapomnieli, że zabronili mi jechać na zlot miłośników szarad i krzyżówek, więc w sumie jestem wam wdzięczny. Wymazaliście im magicznie pamięć, tak? Jak nauczycie mnie tej sztuczki, to nie będę krzyżeć i nikomu nie powiem, że tu znowu byliście.

– Nie bardzo możemy cię tego nauczyć. – Jens podrapał się w głowę. – Ale jest inny sposób – dodał pospiesznie, widząc, że młody nabiera powietrza. – Ta księga – wskazał wolumin trzymany przez Monikę – zawiera o wiele więcej niż tylko zaklęcia modyfikujące pamięć. Zabraliśmy ją twoim starym przez pomyłkę i mieliśmy z tego powodu trochę nieprzyjemności. Teraz powinniśmy ją zwrócić i zamiast tego zabrać inną, tę, o którą nam od początku chodziło, z przepisami prawnymi, a nie z zaklęciami. Ponieważ twoich rodziców nie ma, a zresztą nawet gdyby byli, to i tak nie mieliby pojęcia, czego od nich chcemy, to ty, jako przedstawiciel rodziny, mógłbyś oddać nam tę drugą księgę, a my zostawimy ci zbiór zaklęć i wszyscy będą zadowoleni.

Młody zastanowił się głęboko.

– Może być – zgodził się. – A nie wiecie przypadkiem, gdzie jest ta druga księga?

Jens wskazał na opony. Kolejne pół godziny Monika spędziła, siedząc na pudle po odkurzaczu i kierując poszukiwaniami. Wreszcie młody wynurzył się spod sterty desek, szmat i nie wiadomo czego jeszcze,

triumfalnie trzymając owiniętą w szary papier paczkę kształtu mniej więcej księgi magicznej.

– Mam! – ryknął radośnie.

Jens wziął od niego znalezione i ostrożnie przerwał taśmę, którą było oklejone.

– To chyba to – stwierdził lekko drżącym głosem.

– Pewnie, że to – wtrąciła się księga z zaklęciami. – Więcej nas tu nie było.

– To mamy problem z głową – Monika odetchnęła z ulgą.

Wręczyła młodemu księgę z zaklęciami i oboje z Jensem pospiesznie wyszli z garażu. Na zewnątrz zrobiło się już ciemno.

Spojrzeni sobie w oczy i trzymając się za ręce, ruszyli w górę ulicy. Nie musieli rozmawiać. Oboje czuli dokładnie to samo. Nareszcie sprawa tajemniczej księgi miała szansę doczekać się swojego zakończenia. Uczucie ulgi chwilowo zagłuszało wszelkie inne (no może z pewnym wyjątkiem, ale ten akurat nie dotyczył się kwestii księgi). Jednak było na tyle ogromne, że ani Monika, ani Jens, maszerujący przez wieczorny Lublin, nie pomyśleli o tym, by sprawdzić, o co było to całe zamieszanie. Niemiec raz za razem rzucał spojrzenia na profil Moniki, myśląc, że tylko rusałki potrafią tak pięknie się uśmiechać. Monika uśmiechała się do siebie, myśląc, że teraz wreszcie będzie mogła poświęcić więcej czasu swoim prywatnym sprawom. Dotąd magiczna księga, choć nieosiągalna, zdawała się wypełniać sobą każdą chwilę.

– Dobrze, że do otworzenia księgi potrzeba dwóch magów – powiedział nagle Jens, kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości od Tulipanowej. – Ten smarkacz ma zadatki na tysego maniaka hodującego białe persy i dążącego do przejścia władzy nad światem.

– Dwóch kart magów – sprostowała rusałka, a w jej oczach pojawił się błysk, zupełnie jakby odległe skojarzenie obudziło w niej dociekliwość.

– Nie sądzę, by był to dla niego jakikolwiek problem. Dzisiejsza młodzież jest wszechstronnie uzdolniona.

Po twarzy Jensa przemknął wyraz autentycznej grozy. Nie zdążył wyartykułować swoich obaw, kiedy nad nimi rozległ się odgłos

uderzenia i coś małego spadło im prosto pod nogi. Coś większego podniosło się z podjazdu i podpełzło kawałek na czworakach, aż zderzyło się z kolanami Moniki.

Oleńka podniosła głowę. Pod lewym okiem miała kształtny fioletowy siniak, ładnie kontrastujący ze śmiertelnie bladą cerą. Jej źrenice lśniły w ciemności czerwienią.

– A, to wy – powiedziała z ulgą. – Już myślałam, że rymnęłam na kogoś obcego.

– Dobrze się czujesz? – zatroskała się rusałka, gdy Oleńka chwiejnie i niepewnie próbowała stanąć na nogach. Iskierki ciekawości zgasty bezpowrotnie, teraz w spojrzeniu rusałki była jedynie autentyczna troska.

– Nie wiem – wyznała szczerze wampirzyca. – Znietoperzowałam się i chyba miałam podczas lotu zderzenia czołowe. Nie umiem obsługiwać radaru, sonaru czy co taki nietoperz tam ma. Muszę sprawdzić w encyklopedii zwierząt. A w ogóle to wołałabym zamieniać się w jakieś mniej zaawansowane technicznie zwierzątko.

Jens pochylił się i zajrzał jej w zęby.

– Ładne – ocenił. – Ani śladu po kłach.

– Dziękuję. Michał już nie mógł wytrzymać, zawinął mnie w zasłonę i zawiózł do gabinetu. Dentysta był trochę w szoku, ale go zahipnotyzowałam – wyjaśniła dumnie. – Trochę się boję, czy ta hipnoza mu nie zaszkodziła, no bo Idéefiksowi owszem. A propos, nie widzieliście gdzieś Idéefiksa?

– Zgubił się? – natychmiast zmartwiła się Monika. – Byliśmy cały czas w budynku, mógł tędy przechodzić, a my nie zauważyliśmy.

– Jakby przechodził, to byście zauważyli – stwierdziła Ola melancholijnie. – Wszystko się trzęsie, jak on przechodzi.

– Idéefix?! – zdziwił się Jens.

– Właśnie Idéefix. – Oleńka wyglądała na zmieszaną, zakłopotaną i zmartwioną zarazem. – Uwarunkował się, jak go zahipnotyzowałam. Wystarczy powiedzieć „na zewnątrz” i zamiast psa mamy smoka. Rozwalił ścianę w kuchni i gdzieś pobiegł.

– I ciebie wysłali, żeby go szukać? – Jens nie zdołał ukryć niedowierzania. Na temat możliwości Oleńki w tym zakresie miał już ugruntowany pogląd.

– Nie bardzo miał kto iść – wyznała uczciwie Ola. – Jagienkę szlag trafił i odmówiła współpracy, Michała też szlag trafił. Jeszcze zanim się dowiedział, że po jego mieście biega sobie luzem smok, wsiadł do samochodu i gdzieś pojechał. I do szukania Idéefiksa zostałam tylko ja. Akurat się zrobiło ciemno, a widziałam w telewizji, że wampiry zmieniają się w nietoperze i latają, więc się zmieniałam i poleciałam. Tylko że od razu na coś wpadłam, a potem jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze pięć razy. I trochę mi się kręci w głowie od tego wpadania.

– Pomożemy ci go znaleźć – pocieszyła ją Monika. – Nie mógł pójść daleko, rzuciłby się komuś w oczy i już mielibyśmy w okolicy policję, straż pożarną, prasę i Tajne Służby Magiczne.

– O rany, może go nikt nie zauważył! – Przedstawiony przez rusałkę scenariusz zdarzeń zrobił na Oli piorunujące wrażenie. – Jak ktoś zauważy i zrobi się heca, to Jagienka i Michał mnie chyba zabiją.

– Już nie żyjesz – zauważył przytomnie Jens.

– To mnie potraktują kolkiem. – Wampirzyca miała dość konkretne poglądy na temat możliwego rozwoju sytuacji. Definitywnie nie było tu miejsca na *happy end*.

– Nie martw się, znajdziemy go – powtórzyła Monika. Jens ujął ją stanowczym gestem pod ramię i odprowadził kilka kroków w bok.

– A co z księgą? Łukasz na nią czeka – przypomniał półgłosem.

Rusałka machnęła lekceważąco ręką.

– On i tak ma wszystko gdzieś, więc parę minut czy godzin więcej nie zrobi mu różnicy. A Idéefix się uwarunkował w pewnym sensie przez nas. Chcieliśmy odzyskać książkę i to ja kazałam Oli go zahipnotyzować tak, żeby ją oddał. A poza tym, Jens – jej głos zawibrował ciepłem i czułością – nie możemy jej zostawić samej. Przecież sam widzisz, co ona wyprawia. – Popatrzyła na niego prosząco. – Jak raz została sama, to zaraz ją pogryzły wampiry. Nie można jej pozwolić, żeby tak błąkała się nocą po mieście, zupełnie sama, masz pojęcie, co może się stać? Do

końca życia nie mogłabym spokojnie zasnąć!

– To Lublin, nie metropolia pełna przestępców ani amerykańska prowincja pełna psychopatów. – Jens miał dość kwaśną minę. Stanowczo wolał zakończyć tę całą aferę jak najszybciej. Jednak niewątpliwie rusałka miała rację, nie mógł jej tego nie przyznać, szczególnie gdy popatrzył na malowniczy siniak pod zerkającym niespokojnie okiem Oleńki.

– W tej chwili po Lublinie pęta się warszawska mafia, nielegalne wampiry z zagranicy i wściekły psychopata, uważający się za ramię sprawiedliwości – wyliczyła Monika z nadzieją, że jej towarzysz nie będzie pamiętał, iż jeszcze niedawno chciała się do owego wściekłego psychopaty przyłączyć i sama stać się częścią ramienia sprawiedliwości. I nie pamiętał. Patrzył na nią tylko, zrezygnowany. – I to są te niebezpieczne osobniki, o których wiemy – dodała złowieszczo, wiedząc, że wygrała.



W ciemności rozbłysnął płomień zapalniczki, a po chwili rozżarzyła się końcówka papierosa. Czarna Kasieńka stała oparta o zaparkowaną za krzakami limuzynę. Mały siedział skulony pod kocem i świecąc sobie latarką, czytał program telewizyjny. Nieopodal, przy pustej drodze na skraju miasta, obok przystanku autobusowego, trzy wampiry czatowały na swoje ofiary.

Kasia patrzyła na nie nieżyczliwie. Jej zdaniem, były za okrutne, zbyt niechlujne i nieestetyczne i nade wszystko solidnie potłuczone, nie tylko fizycznie, ale i umysłowo. Nie podobała jej się współpraca z nimi. Oczywiście nie miała zamiaru zawieść ojca, ale wykonywanie obowiązków służbowych ostatnio przestało być zabawne.

Wyrwała z programu telewizyjnego Małego jedną stronę i z nudów czytała ją przy nikłym świetle żaru z papierosa. Jej wzrok zatrzymał się na opisie dwieście szesnastego odcinka serialu z Ameryki Południowej (Jose Antonio dowiaduje się, że Maria Manuela nie jest siostrą Jose

Armanda, ale córką Marii Esmeraldy, która oszalała po tym, jak porzucił ją Jose Pedro, i porwała dziecko Marii Luizy, która okłamała Jose Carlosa, że jest ojcem jej córki, ale w rzeczywistości sama porwała dziecko Marii Esperanzie i Jose Gunterowi, którzy zaginęli na morzu po tym, jak Maria Consuela uszkodziła silniki ich awionetki) i na zdjęciu towarzyszącym opisowi. Kasia doszła do wniosku, że o wiele lepiej niż widoczne na nim aktorki nadawałaby się do roli zbrodniczej Marii Consueli czy przebiegłej Marii Luizy. Na razie była to tylko luźna myśl, ale Kasia na wszelki wypadek postanowiła nauczyć się hiszpańskiego.

Stojące przy przystanku wampiry wystawiły z ukrycia głowy, wypatrując nadjeżdżającego autobusu. Zamiast odgłosów silnika usłyszały jednak sapanie i czyjeś wyjątkowo ciężkie, spieszne kroki. Z ciemności wynurzył się ogromny, kudłaty wilkołak sadzący w ich stronę z wyszczerzonymi zębiskami.

– Won!!! – ryknął. – Mój teren!!!

Dopał wampirów. Tego, który był najbliżej, cisnął na drugą stronę jezdni, pozostałe zderzył ze sobą łysymi czaszkami, jednego rzucił na ziemię i chwilę po nim poskakał, drugiego złapał za kark i zaczął nim walić o pobliskie drzewo. Po kilku minutach upuścił go, rozejrzał się wokół i zaczął węszyć. Nos doprowadził go do ukrytej limuzyny. Kasiénka, dotąd spokojnie, a nawet z pewną dozą satysfakcji obserwująca tłuczenie wampirów, od niechcienia sięgnęła do schowka w samochodzie. Wyciągnęła pistolet i ostentacyjnie, patrząc prosto w przekrwione oczy wilkołaka, załadowała srebrnymi kulami. Potem wycelowała. Wilkołak błyskawicznie ocenił swoje szanse, podkulił ogon i zwiął. Kasia szturchnęła ukrytego pod kocem Małego.

– Idź, pozbieraj wampiry. Dzisiaj krwi nie będzie. Kupisz im na stacji benzynowej napój energetyzujący, może puszką nie zrobią sobie krzywdy – westchnęła. W brazylijskich telenowelach, była tego pewna, nie występowały wampiry. W ogóle nic nie słyszała o wampirach w Brazylii czy Argentynie. Oba te kraje zaczęły się jej wydawać coraz bardziej kuszące.



– Zostawiłby jakieś ślady, gdyby przeszedł między domkami. – Monika próbowała swoich sił w dedukcji. – Musiał pójść za miasto.

– Myślisz, że ruszył na stolicę? – ucieszył się Jens.

– Do stolicy daleko – westchnęła Rusałka. – A po drodze są miasta, wioski i sama nie wiem, co jeszcze. Rolnicy się zdziwią, jak rano znajdują w zbożu koła.

– Nie koła, tylko smocze łapy – sprostowała zdenerwowana Ola. – Trochę się boję, że on mógł polecieć.

Wszyscy troje zadarli głowy.

– Niebo ciemne, gwiazdy świecą, wielki biały smok rzucałby się w oczy – stwierdził Jens.

Monika pokiwała głową i obejrzała się, którą na wszelki, bliżej nieokreślony wypadek plotła od kilkunastu minut. Cienkie niteczki połyskiwały wokół jej palców.

Ciszę wieczoru przerwał głośny, nietypowy odgłos czyichś pospiesznych kroków. Zza zakrętu wypadł wilkołak, rozczochrany i na pierwszy rzut oka przepełniony pragnieniem krwi. W pełnym pędzie nie zdążył wyhamować. Roztrącił ich, przy okazji wyrwijąc rusałce z ręki sieć. Monika, Jens i Ola upadli na asfalt, a bestia kilka metrów dalej zatrzymała się, odwróciła i z oczami wbitymi w swój nieoczekiwany łup i rozczapierzywszy pazury, zaczęła się zbliżać, oblizując się przy tym niepokojąco.

Oleńka pisnęła i nerwowo przetransformowała w małego czarnego nietoperza, który zaczął miotać się po ulicy. Jens, przyciskając do piersi opakowaną w papier księgę, pospiesznie recytował jakieś zaklęcie. Rusałka zamarła z przerażonym spojrzeniem wbitym w wilkołaka, który był coraz bliżej. W świetle gwiazd zaślniły oplątane wokół jego łba sploty sieci.

– Tańcz – rozkazała zdławionym głosem, zastanawiając się gorączkowo, czy jej uroki działają na wilkołaki.

Działy. Bestia ryknęła wściekle i pobiegła w dół ulicy dziwnym, ni to

spazmatycznym, ni to tanecznym krokiem, podskakując od czasu do czasu. Monika jęknęła i jak siedziała, tak padła płasko na asfalt. Nietoperz-Oleńka przestał się miotać i zamarł, mrugając czerwonymi oczami. Jens przerwał recytację.

– Nie wiedziałam, że mamy tutaj wilkołaki – powiedziała słabo Monika, wpatrując się w gwiazdy. Potrzebowała chwili, by odzyskać równowagę i władzę w nogach. Kolana wciąż miała zupełnie miękkie.

– Właściwie to nic nadzwyczajnego. – Jens podniósł się i odruchowo zaczął obmacywać kieszenie w poszukiwaniu paczki papierosów. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że przestał palić. – Cywilizacja się rozprzestrzeniła. Lisy, na przykład, żerują na wysypiskach.

– Nie mam nic przeciwko lisom. – Rusałka dalej leżała na ulicy. – Chyba że akurat są wściekłe. Ale wilkołaki, i to nie na wysypisku, ale w mieście, budzą mój żywiołowy sprzeciw. – Usiadła gwałtownie. – Myślicie, że ich może być więcej? Chodzą stadami? Są jeszcze gdzieś w okolicy?

Jens zaczął rozglądać się nerwowo. Nietoperz podpełzł bliżej i zamienił się w Oleńkę, która przycupnęła za plecami Moniki.

– Może ich tu nie ma więcej – powiedziała cichutko. – A jeśli są?! A jeśli Idéefix zmienił się w pieska i one go dopadły?

– Jeśli się nie zmienił i dalej jest smokiem, to poradzi sobie z nimi lepiej niż my – stwierdził ponuro Jens.

– Nie wiadomo. Po tej hipnozie mogło mu się coś w głowie pomieszać. To wszystko moja wina. – Oli zbierało się na płacz.

– Daj spokój. – Monika poklepała ją po ramieniu. – Nie ma co desperować. Znajdziemy go lada chwila i wszystko będzie dobrze.

– A co z wilkołakami? Nie mamy srebrnych kul. – Oleńka bynajmniej nie czuła się pocieszona.

– Mamy komórkę – zauważyła przytomnie Monika. – W Urzędzie powinni jeszcze na nas czekać – zwróciła się do Jensa, który właśnie pomagał jej wstać. – Dzwon i zapytaj, czy wilkołaki zapłaciły Podatek według specjalnych stawek.





Ciszę panującą w opustoszałym Urzędzie przerwał wrzask Piotrka.

– Pani Haaaaliiiinkooooo!!!

Kilka minut później pani Halinka śpiesznie wkroczyła do gabinetu zwierzchnika. Nieliczni pozostali jeszcze w pracy urzędnicy podsłuchiwali pod drzwiami.

Piotrek siedział za biurkiem, przy uchu trzymał słuchawkę telefonu. Stojący obok Łukasz z napięciem wpatrywał mu się w usta.

– Pani Halinko, mamy w rejonie wilkołaki? – zapytał kierownik. – W komputerze mam niekompletne dane.

Pani Halinka zastanowiła się głęboko.

– Chyba mamy – powiedziała po chwili. – To starzy płatnicy, jeszcze ich nie wprowadziliśmy do systemu.

– Ilu?

– W województwie?

– W mieście i najbliższych okolicach.

Pani Halinka dokonała w pamięci pospiesznych obliczeń.

– Będzie ze trzydzieści sztuk.

Piotrek lekko zbladł.

– Złe wieści – powiedział do słuchawki. – A, słyszałeś? No cóż, trzymajcie się, coś wymyślimy.

Łukasz walnął w biurko najpierw pięścią, a potem głową.

– Co im strzeliło do głowy, żeby pętać się w nocy po terenach wilkołaków z cennym woluminem?! – zapytał retorycznie.

– A kto ich tam wie? – westchnął Piotrek, któremu umknęła retoryczność pytania i poczuł się zobowiązany do udzielenia odpowiedzi. Jakiegokolwiek. – Nie wiem, dlaczego nie chcą się teleportować. Podobno mają coś do załatwienia, ale konkretów brak. Trzeba im będzie zorganizować jakąś grupę wsparcia.

– Byle uzbrojoną – zażądał stanowczo Łukasz. – Pani Halinko, niech pani poszuka w magazynie jakichś srebrnych kul.

– I jak? – Monika otrzepała dzinsy i sweter. Ulica nie była klinicznie czysta.

– Jeden pobiegł tańczyć, zostało dwudziestu dziewięciu.

Oleńka, która właśnie wstawała, natychmiast z powrotem usiadła.

– Wszystkie tutaj?

– Patrząc z perspektywy, nie jest tak źle – powiedział pocieszająco Jens.

– Jest nas troje, wampirzyca, rusałka i eksmag...

– Znamy zaklęcia – dodała Monika.

– A ja umiem hipnotyzować – pochwaliła się Ola, podniosła się na drżących nogach i zrobiła parę kroków. Runęłaby na nos, gdyby nie złapała się ramienia Moniki.

– ...a wilkołaków jest dwadzieścia dziewięć w mieście i okolicach. Co oznacza, że wcale nie muszą być wszystkie tu.

– No właśnie – ucieszyła się rusałka. Zaczęła już poruszać palcami, plotąc kolejną sieć. Starła się, by ta była mocniejsza i wytrzymalsza niż zwykle. – Im szybciej pójdziemy, tym szybciej znajdziemy Idéefiksa, tym szybciej wrócimy do domu i przetopimy moje bransoletki na kule. Nie bardzo chcę mordować te biedne wilczki, ale mam poważne obawy, że one nie wykażą się równym brakiem chęci, jeśli chodzi o mordowanie nas.

– Mogę polecieć i wypatrywać Idéefiksa z powietrza – zaofiarowała się Oleńka.

– Przecież jako nietoperz nie widzisz nawet przeszkód – przypomniał Jens, powstrzymując westchnienie.

– No tak, ale to chwilowe – zgodziła się wampirzyca. – Kiedyś się nauczę.

– Nie dzisiaj. – Monika pociągnęła ją za rękaw. – Idziemy.

W opustoszałym Urzędzie Skarbowym Piotrek siedział za biurkiem jednego z pracowników z nosem prawie wetkniętym w paprotkę i z nader tępyim wyrazem twarzy oglądał wciąż rosnącą stertę złomu, którą pani Halinka składała w recepcji. Łukasz, niczym wielki ptak brodzący, krążył pomiędzy tymi skarbami, zapadając się po kolana w stosy naramienników, tarcz i innego żelastwa.

– Nieźle tu macie rzeczy – ocenił. – U nas w Warszawie nic by się nie znalazło. Wszystko wyrzuciliśmy, żeby zrobić miejsce na komputery.

Piotrek pokiwał w zamyśleniu głową, sięgnął ręką w stosik, piętrzący się tuż obok niego, i wygrzebał solidną, wyraźnie często niegdyś używaną strzelbę.

– Kul do niej nie ma – zwrócił mu uwagę Łukasz. – Chyba żeby coś z tego złomu przetopić.

– To nie złom, to zabytki – obruszył się Piotrek. Podniósł się zza biurka, podszedł do stojącej pod ścianą szafki na akta i z jednej z szuflad wyciągnął pudło zielonych kul. Rozmiar kul pozwalał zamknąć dwie z nich w dłoni. Wszystkie były pokryte emalią i na każdej widniał wizerunek czegoś, co przy odrobinie dobrej woli można by uznać za słonia. Kiedy się nimi poruszało, wydawały dziwne dźwięki.

– To też zabytek? – zapytał Łukasz.

– Niezupełnie. To *feng shui*. Parę miesięcy temu, w ramach nowej polityki firmy „Urząd przyjazny urzędnikom” mieliśmy tu specjalistę. Miła mumia... znaczy... miły staruszek. Kazał nabyć od swojego praprapra-i-tak-przez-dwa-tysiące-lat-prawnuka po komplecie dla każdego pracownika. Mieli nimi kręcić i się odstresowywać.

– To czego nie kręczą?

– Bo kolidowało to ze starą polityką „Urząd przyjazny petentom”. Ciągłe ktoś te kule wypuszczał, bywało, że w petentów właśnie. A do tego wyobraź sobie, jaki dźwięk wydaje sto kompletów takich kul. Mieliśmy skargi od innych firm działających w sąsiednich budynkach. Podobno ściany im wibrowały. – Piotrek przymierzył kulę do lufy strzelby. Pasowała.

– Wiem, że na wilkołaki działa srebro. Nie wiem, czy działa *feng shui*. –

Łukasz najwyraźniej pełen był wątpliwości.

– Jak się nie ma, co się lubi, to się strzela, czym się ma – rzucił w natchnieniu Piotrek, wręczając zwierchnikowi pudło pełne brzęczących kul.



– Trochę tu ciemno – skrytykował Jens. – Co to za miejsce, żeby nie było ani jednej latarni.

Szli wąską uliczką, zabudowaną z obu stron eleganckimi domkami jednorodziinnymi. Domki miały zgrabne balkony, otoczone były ascetycznymi wyrafinowanymi płótkami, a sama ulica była równo wyłożona kostką. Brakowało tylko oświetlenia, o którym najwyraźniej ktoś w szale projektowania zapomniał. Okna domków, to przysłonięte grubymi zasłonami, to gigantycznych rozmiarów tujami, też nie sprawdzały się najlepiej jako ewentualne źródła światła. Najjaśniejszym punktem w ciemności były czerwone oczka Oleńki.

Monika rozejrzała się i z lekkim wahaniem rozpała kilka błędnych ogników.

– Jakie śliczne! – ucieszyła się wampirzyca.

– Nie jestem pewna, czy powinnam... – Monika machnęła ręką, a ogniki zatańczyły wdzięcznie. – Jesteśmy teraz trochę za bardzo widoczni.

– Wilkołaki i tak widzą w ciemności. – Jens wypuścił z dłoni kolejne prawie dokończone zakłęcie, które dołączyło do pozostałych, podążających w rzędzie za swoim twórcą. – Słyszą lepiej niż my, o węchu nie wspominając. Skradanie się w ciemnościach nie daje nam żadnej przewagi.

– Patrzcie!

Oleńka podbiegła do furtki jednego z domów. Niebieskie płomyczki ruszałki natychmiast podążyły za nią. W ich świetle dostrzegli wyraźny ślad, odcisnięty z dużą siłą w brukowej kostce tuż przed bramą wjazdową. Ślad miał kształt smoczej łapy. Monika pochyliła się, a razem

z nią ogniki. Metr dalej na trawniku widać było odciski małych psich łapek.

– On tak biega po tych ulicach: pif – biegnie smok, paf – biegnie piesek – stwierdziła ze zgrozą rusalka.

– Pocieszające jest, że wilkołak rzuci się na małego pieska, który nagle zrobi mu „paf” i przy odrobinie szczęścia rozdepcze go na miazgę – stwierdził Jens.

– Dobrze, że te ulice są nieoświetlone – zauważyła z zadowoleniem Monika. – Jakby go ktoś zobaczył...

– Myślisz, że gdzieś by zadzwonił? – Oleńka przechyliła głowę na bok i pograżyła się w zadumie. – Bo to by było tak trochę głupio: „Halo, policja, przed moim domem przebiegł biały smok, który zmienił się w białego pieska”. To się nazywa delirium.

– Mamy niewątpliwie szansę na przeprowadzenie wyjątkowego eksperymentu – przyświadczył Jens. – Ale może z niej nie korzystajmy.

Rusalka i wampirzyca zgodziły się bez wahania.



Domki stały coraz rzadziej, aż w końcu ustąpiły miejsca pustym parcelom, w najlepszym przypadku ogrodzonym siatką. Ulica nie kończyła się, ale płynnie przechodziła w polną drogę niknącą między drzewami. Na ziemi widać było wyraźne ślady małych łapek.

– To Idéefiksa? – upewniła się Ola.

– Czy ktoś z nas wygląda na Winnetou? – Monika i Jens prawie zderzyli się głowami nad tropem.

– Jak dla mnie, równie dobrze mógł to być jakiś jamnik – ocenił Niemiec.

– Albo cokolwiek innego – uzupełniła Monika równie kwaśnym tonem. – Ale chyba raczej pies. Nie rotweiler.

Ruszyła polną drogą, po kilku krokach zatrzymała się i spojrzała wyczekująco na Oleńkę i Jensa.

– Nie boisz się iść nocą przez las? – zapytała wampirzyca.

– Nocą w lesie tańczy się w najwspanialszych korowodach. – W oczach rusałki pojawiło się rozmarzenie. – Czuję to. We krwi. Jak zew natury.

Zrobiła kilka tanecznych kroków, zakręciła się i ocknęła, szarpnięta gwałtownie przez Jensa, który złapał ją za rękę i nie puszczał.

– Tańczą – powiedziała niezbyt przytomnie. – Nie słyszycie?

Jens przez chwilę odruchowo nasłuchiwał, ale szybko przypomniał sobie, czym to grozi, i zaczął szykować zakłęcie głuchoty.

– Też potrzebujesz? – zapytał Ole. – Wampiry tańczą w korowodach?

Oleńka zastanowiła się.

– Żadnych korowodów – stwierdziła stanowczo. – Tylko balet klasyczny. Ta wspaniała subtelność ruchów. – Zaczęła wyginać się niczym konający łabędź.

Podczas gdy Ola płażała pod sosenkami, demonstrując, jak tańczą wampiry, a Monika wierciła się na pieńku, patrząc tęsknie w stronę lasu, Jens skończył splatać zakłęcie.

– Możemy iść – oznajmił tak gromko, że obie aż podskoczyły.

– Ciszej, nie musisz wrzeszczeć.

– Co?!!!

– Ci...!!!! – Monika zrezygnowała z krzyków i po prostu położyła palec na ustach.

Jens pokiwał głową na znak, że zrozumiał. Oleńka przestała płaścić i wyraziła gotowość do wymarszu.



Z talerza pełnego ciastek, które Jagienka zaczęła pochłaniać kilka godzin wcześniej, nie zostało wiele. Tylko kilka okruszków. Demonica spojrzała na nie z żalem, bohatercko powstrzymała się od zajrzenia do lodówki i dopiła herbatę. Zanim zdążyła rozważyć ewentualne dalsze działania, trzasnęły drzwi wejściowe i po chwili do kuchni wparował Michał, ciągnąc za rękaw opończy radosnego staruszka.

– Nie było łatwo – oznajmił z satysfakcją. – Musiałem się włamać do domu spokojnej starości dla niezrównoważonych, sterroryzować obsługę

i dokonać porwania. Ale udało się! – Popchnął staruszka lekko do przodu i zaprezentował demonicy niczym psa na wystawie.

– Aha. – Jagienka wysiliła się na entuzjazm. – Jego też będziemy przechowywać w pomidorach?

– No wiesz! – oburzył się pan Sprawiedliwość. – Ja się staram, poświęcam, wyjeżdżam, a ty... Za grosz zrozumienia!

– Chyba właśnie dlatego się rozwiedliśmy. – Demonica wzruszyła ramionami dla podkreślenia całkowitej obojętności względem zgłaszanych pod jej adresem pretensji. – Ale wracając do tematu, jeśli masz zamiar zwozić do szklarni następnych, to najpierw musisz ją odbudować, bo mnie się nie chciało. A w ogóle po tym, co wynikło z magazynowania bandytów, to się nie zniechęciłeś?

– To jest druid – wyjaśnił z urazą Michał.

– Nie lubię druidów. – Jagienka zgarnęła z talerza okruszki i rzuciła staruszkowi nieufne spojrzenie. – Tańczą w koszulach nocnych, chrzanią o jedności człowieka z wszechświatem i rozmawiają z kwiatkami, o! – Oskarżycielskim gestem wskazała starowinę, który właśnie z anielskim uśmiechem gładził liście sztucznej roślinki, zwieszającej się z szafki. – Po co ci w ogóle druid?

– Nie mnie, Oleńce. Myślałem i myślałem, co tu zrobić z jej wampiryzmem, aż wymyśliłem druida. Tacy jak on znają się na słońcu, księżycu i tym podobnych. Może coś zrobi, żeby mała mogła iść spokojnie na uniwersytet, bo jeszcze zawlecze się tam owinięta w zasłony.

– Jest to jakiś pomysł – zgodziła się demonica.

– To próbujemy. – Michał zatarł ręce. – Gdzie Ola?

– A, to będzie problem. – Jagienka wychyliła się zza stołu i dała klapsa staruszkowi, który właśnie zaczynał taniec deszczu. – Nie ma jej.

– Jak to nie ma? – Pan Sprawiedliwość popatrzył na nią zaskoczony. Z zasady nie brał pod uwagę, że coś może iść nie po jego myśli. Z zasady mało co ośmielało się iść nie po jego myśli. Chyba że w sprawę zamieszana była jego eksmałżonka...

– Poszła szukać Idéefiksa.

– Wypuściłaś ją?!

– Pewnie! Po pierwsze, jest dorosła, po drugie, kto niby ma szukać tego kundla, może ja?!

– To twój smok!

– Nie prosiłam o niego! Wetknęły mi go te głupki z zaopatrzenia. Na siłę!

– Chcesz powiedzieć, że po mieście biega rozregulowany smok i ścigająca go moja siostra wampirzyca? – zapytał Michał nagle podejrzenie spokojnym tonem.

– Jakby cię nie olśniło w strategicznym momencie, to sam byś za nim biegał – wypomniała mu nadąsana Jagienka.

Pan Sprawiedliwość przypomniał sobie, kim tak naprawdę jest jego była żona. Przypomniał też sobie, że wymaganie od niej racjonalności wedle ludzkich standardów nie było pomysłem ani mądrym, ani bezpiecznym. Wziął kilka naprawdę głębokich wdechów i policzył do trzydziestu.

– No to idziemy ich szukać – oznajmił pogodnie z dziwnym błyskiem w oku.

– My? – Jagienka uniosła wypielegnowane brwi.

– A kto musi spełniać dobre uczynki? Pomożesz biednej Oleńce, to raz, i ocalisz miasto przed smokiem, to dwa.

Demonica niechętnie wstała.

– Jak tak dalej pójdzie, to wyrobię normę za cały miesiąc – westchnęła, rozkładając skrzydła.



Uszli dobre kilkaset metrów, zanim zauważyli pierwsze pozostałości po korowodzie. Parę zdeptanych gałązek, rozrzucone kwiatki, dyszący ze zmęczenia turysta, który nie tak wyobrażał sobie poznawanie uroków Lubelszczyzny. Jens szedł zapatrzonej przed siebie, nic nie słyszał i życzył sobie również nic nie widzieć. Monika, obrzucająca zdeptane gałązki, rozrzucone kwiatki i wykończonych wycieczkowiczów tęsknym, rozmarzonym spojrzeniem, streszczała Oleńce cele, trwałość i przebieg



korowodu. Oleńka udawała z grzeczności, że ją to obchodzi, chociaż wraz z wampiryzmem nabawiła się upodobania do baletu i opery, a także łagodnej wzgardy dla wszystkich innych form taneczno-wokalnych.

Monika nagle zatrzymała się, nasłuchiwała przez chwilę, a potem odwróciła się gwałtownie do wampirzycy.

– Oni mogli widzieć Idéefiksa! – Uśmiechnęła się szeroko, poniekąd z uwagi na znaleziony wreszcie pretekst. – Taki korowód krąży po całym lesie i okolicach, jeśli chociaż przez chwilę Idéefix był smokiem, to na pewno go zauważyli. Może nawet tańczy z nimi, chociaż nie wiem, czy smoki są podatne.

– To próbujemy? – zapytała Oleńka.

Monika dogoniła Jensa, który twardo podążał w las, złapała go za rękę i zawróciła.

– Łap za drugą i nie puszczaj! – poleciała Oli.

Wampirzyca posłusznie wykonała polecenie.

– Gotowi? – zapytała Monika, wystukując piętą rytm. – Trzy, dwa, jeden, już!

Ruszyła do tańca, ciągnąc za sobą Jensa. Szarpnięta gwałtownie Oleńka straciła grunt pod nogami i zaczęła przemieszczać się w pozycji poziomej, z całej siły uczeplona ręki Poborcy. Z zainteresowaniem oglądała rozmyty przez pęd powietrza krajobraz. Pomiędzy smugami drzew dostrzegli korowód, składający się z jednej leciwej rusalki, dwóch utopców, kilku leśnych lich, ekipy geodezyjnej i sporej liczby jeszcze bardziej przypadkowych uczestników. W samym środku, wymachując zapamiętałe nogami, rękami, biodrami i brzuszkiem, wirował listonosz, a z otwartej torby wypadały mu listy.

Monika dopadła końca korowodu, wolną ręką złapała się ostatniej osoby i wykrzyczała jej do ucha pytanie. Starszy pan pokręcił przecząco głową, a rusalka, ciągnąc za sobą Poborcę i wampirzycę, zaczęła przesuwać się ku początkowi korowodu, każdej mijanej istocie zadając to samo pytanie. Dopiero chuderlawy geodeta w czapce z daszkiem pokiwał energicznie głową i machnął ręką, wskazując bliżej nieokreślony

kierunek. Monice to wystarczyło, tańcząc coraz wolniej, zatrzymała się w końcu na niewielkiej polance. Oleńka rąbnęła na ziemię.

– Au!!! – wrzasnęła. – Nie lubię korowodów – dodała tonem o wiele bardziej wyważonym, otrzepując się ze ściółki. – Mało w tych korowodach finezji i subtelności – wyznała szczerze. – Mam nadzieję, że więcej się nie będziemy w to bawić. Pamiętajmy, że Idéefix na nas czeka.

Rusałka popukała Jensa w ramię, pokazując mu na migi, że może już zdjąć z siebie zaklęcie.

– Ktoś mi może wyjaśnić, po co braliśmy udział w tych tańcach? – zapytał zdeglustowany, kiedy tylko odzyskał już słuch.

– Widzieli Idéefiksa – wyjaśniła Monika, zanim zdążył zgłosić swoje pretensje. – Poszedł gdzieś tam.

– Dawno?

Rusałka wzruszyła ramionami.

– Skąd oni mają to wiedzieć. Korowód nie ma poczucia czasu. Ci, zdaje się, tańczą tak już trzy dni.

– Trzy dni temu to Idéefix był jeszcze w domu – zauważyła trzeźwo Oleńka. – Więc jak go widzieli, to na pewno dzisiaj. Godzinę temu czy dwie, to nie ma znaczenia. I tak to nasz jedyny trop.



Wieziony samochodem druid bawił się szampańsko, co najmniej jak w trakcie przejażdżki rollercoasterem, chociaż rozglądający się za Olą Michał nie przekraczał prędkości trzydziestu kilometrów na godzinę. Dzięki temu zresztą bez problemu zahamował, kiedy przed maską wylądowało mu zniecka coś skrzydlatego. Staruszek zaczął klaskać z uciechy i ćwierkać coś sobie pod nosem. Skrzydlata postać, która w świetle reflektorów okazała się Jagienką, potrząsnęła rudymi włosami i krokiem modelki na wybiegu podeszła do samochodu.

– I jak? – zapytał pan Sprawiedliwość.

– Po Oleńce ani śladu. Ale za to znalazłam Idéefiksa. I, niestety, nie tylko ja.

❦

Dwie sztuki broni palnej bliżej nieznanego Piotrkowi rodzaju i pudło kulek *feng shui* stanowiły dość duży ciężar. Podzielił się nim z Łukaszem. Każdy niósł swoją strzelbę i podtrzymywał pudło od jednej strony. Trochę to utrudniało poruszanie się i powodowało niezamierzone, acz gwałtowne zbaczanie z obranego kursu. Nadto żaden z nich nie wiedział, w którą właściwie stronę mieli iść. Z całą pewnością wiedzieli, że Monika i Jens byli na Tulipanowej. Ich dalsze poczynania stanowiły jedną wielką tajemnicę. Do tego, mając ręce zajęte bronią i amunicją, ani Piotrek, ani Łukasz nie byli już w stanie posłużyć się mapą Lublina. Z tego powodu zataczali się na ślepo, mając nadzieję, że po prostu wpadną na własnych podwładnych i udzielą im nagany ustnej i pisemnej.

Kiedy zadzwoniła komórka Łukasza, obaj zareagowali dość nerwowo, wskutek czego, kiedy Łukasz rozmawiał, Piotrek ganiał za kulami *feng shui*, które wytoczyły się z upuszczonego pudełka.

– Nie wspominałeś czegoś o jakimś smoku zamieszanym w sprawę? – zapytał Łukasz, wyłączając telefon.

– Wspominałem. Taki mały biały piesek. A co? – Piotrek wsypał do pudełka ostatnie kule.

– Kumple dali mi cynk. Tajne Służby Magiczne właśnie znalazły tu niedaleko smoka, który robi „hau”.

❦

Światła zobaczyli z daleka. Oleńka skrzywiła się i zasłoniła rękawem oczy.

– Co to, jakiś koncert?

Jens rzucił na siebie zaklęcie dalekowidzenia, Monika bez namysłu poszła w jego ślady.

- Tajne Służby Magiczne? – zdziwił się Poborca.
- Wilkołaki też są – zauważyła słabo rusałka. – I Idéefix.
- Idéefix? – ożywiła się wampirzyca. – Gdzie?

Zanim zdążyła pobiec przed siebie, złapali ją zgodnie za ramiona i wepchnęli w krzaki. Stamtąd mogli bezpiecznie obserwować sytuację.

Brzeg lasu i kawałek pobliskiego pola były rzęsiście oświetlone. Wielkie reflektory przywodziły na myśl plan filmowy na przykład takiego „Z archiwum X”. Nawet agenci w garniturach i ciemnych okularach byli na miejscu. Pomiedzy nimi kręciło się kilka wilkołaków, jeden z nich podniesionym głosem składał skargę, dwa inne wtórowały mu, wydając z siebie żałosny skowyt. Agenci chodzili, stali, siedzieli, robili zdjęcia i notatki. Z dziesięciu przemawiało w skupieniu do uniesionych kłap marynarek. W samym centrum tego zamieszania tkwił Idéefix, co mniej więcej pięć minut z donośnym czknięciem zmieniający postać z psiej na smoczą i na odwrot.

– Jagience się to nie spodoba – jęknęła Oleńka.

– Smok jest nielegalny czy co? Złamał jakieś przepisy? – zastanowiła się Monika. – Bo tak poza zamieszaniami, to co oni tu właściwie robią?

– Udowadniają, że są potrzebni – powiedział Piotrek. Jens, Monika i Ola zgodnie nerwowo podskoczyli, a potem popatrzyli na niego ze zgrozą.

– Nic dziwnego, że grupa specjalna musi leczyć nerwy. My też będziemy musieli. – Rusałka skrzywiła się z urazą. – Kto to widział tak się skradać! Mogliśmy wszyscy dostać zawału serca.

– No, ja nie – sprostowała cichutko Oleńka. Nie zwrócili na nią uwagi.

– Jak to „udowadniają, że są potrzebni”? – zainteresował się Jens podejrzliwie.

– Plotki krążą, że będzie restrukturyzacja czy jakieś reformy. Wieje wiatr zmian – skwitował filozoficznie Piotrek. – Wszyscy chcą udowodnić, że bez nich ten świat runie na mordę i zacznie kwiczeć w rynsztoku. My, tak na marginesie, też – dodał uczciwie. – Dlatego lepiej, żebyście mieli tę książkę.

– Mamy – Jens pokazał mu paczkę, którą jeszcze w lesie wsunął za

pasek spodni.

– Mój awansik! – Gdzieś z tyłu rozległ się brzęk i pakunku dopadł Łukasz. Ledwo dostał książkę w swoje ręce, a na jego twarzy rozlał się wyraz czułego roztkliwienia. Niemiec skrzywił się z niesmakiem. Może nie oczekiwał premii, ale przynajmniej „dziękuję” byłoby tutaj na miejscu. Już chciał zrobić sarkastyczną uwagę na temat zasad etykiety, kiedy na oświetlonym terenie, pomiędzy agentami, Idéefix implodował w pieska.

– To przecież ten pies, co zeżarł tamtą księgę! – zorientował się Piotrek, którego zdobycz podwładnych nie pozbawiła przytomności umysłu.

– Ten sam – przyświadczyła Monika. – Szukaliśmy go, dlatego nie mogliśmy wrócić od razu.

– Nie mogła go szukać właścicielka?

– Jest jakby niedysponowana – wyjaśnił ogłędnie Jens. – Idéefiksa szukała w zastępstwie jej...

– Była szwagierka – podpowiedziała rusałka.

– ...była szwagierka. W ramach polityki „Urząd przyjazny społeczności lokalnej” postanowiliśmy jej pomóc.

– A ta szwagierka... – Piotrek rozejrzał się.

W ciemności zabłyśły czerwone oczka i Oleńka wygrzebała się z zarośli. Wyprostowała się i grzecznie dygnęła.

– Ola Sprawiedliwość – przedstawiła się.

Piotrek przyjrzał jej się podejrzliwie, powoli kojarząc fakty. Łukasz oderwał się na chwilkę od książki, spojrzął na Oleńkę i zostawił księgę na dobre.

– Łukasz. – Chwycił jej dłoń oburącz i złożył na niej namiętny pocałunek. – Co takie zjawisko jak ty robi w takim miejscu?

– Szuka pieska. – Monika skinęła głową w stronę polany, na której Idéefix eksplodował w smoka.

Oleńka ostrożnie uwolniła dłoń z uścisku Łukasza.

– Uciekł mi – wyjaśniła, na wszelki wypadek trzymając wszystkie kończyny jak najbliżej siebie. Nigdy dotąd nie była obiektem czyjś takiego ognistego wyrażonego zachwyty. A co najgorsze, wcale nie czuła się

jak bohaterki ulubionych harlequinów. Czują się... ogłuszona.

– Zaraz go złapiemy – obiecał Łukasz szarmancko, najwyraźniej w nastroju do bohaterskich wyczynów.

– Świetny pomysł, ale na razie złapały go Tajne Służby Magiczne – zwrócił mu uwagę Jens.

Łukasz wzruszył beztrudno ramionami.

– Przypuścimy szturm.

Pracownicy zgodnie, choć dyskretnie, odsunęli się o krok od zwierzchnika. W pobliżu została tylko Oleńka, która na wszelki wypadek uśmiechnęła się szeroko, choć z powątpiewaniem. Kły, zaledwie odrobinę dłuższe od przeciętnych, błysnęły złowrogo.

Piotrek popatrzył na nią i nagle się zakrzusił. Rusałka i Jens pospieszyli z pomocą, z oddaniem waląc go w plecy. Łukasz nie zwrócił na to uwagi. Wyszczrzył się w uśmiechu, po omacku sięgnął po strzelbę, załadował ją kulkami *feng shui* i wystrzelił, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać.

Kulki z okropnym brzęczeniem przeleciały nad polaną. Agenci i wilkołaki najpierw zapatrzyli się w niebo, zaczęli nerwowo się wiercić, aż w końcu rzucili się na oślep do ucieczki. Chociaż Łukasz nie celował, kulki trafiły w jeden z reflektorów, rozbijając go doszczętnie. Nie poprzestały na tym. Brzęcząc, odbiły się od resztek obudowy i trafiły w następny, potem jeszcze w następny i następny.

– To *feng shui* jednak działa – zauważył z satysfakcją Piotrek. – Dobrze wydaliśmy państwowe pieniądze.

Po kilku minutach brzęczenie ustało, a polana pogrążyła się w ciemności. Świeciły tylko czerwone oczy Oleńki, no i eksplozje i implozje Idéefiksa rozświetlały okolicę jasną łuną z regularnością do pięciu minut. Kilku wilkołaków zaczęło wyć.

– Teraz! – syknęła rusałka. – Odwróćcie ich uwagę, ja zabiorę Idéefiksa!

Nie czekając na odpowiedź, wbiegła na paluszkach na polaną.

– Jak mamy odwrócić ich uwagę? – jęknął Piotrek.

– Bierz kulki i strzelaj! – Jens wyrwał Łukaszowi strzelbę, naładował i

wystrzelił w niebo.

Rozległo się upiorne brzęczenie, a niebo rozświetliły fajerwerki.

– Jak na Sylwestra! – roześmiała się Oleńka.

– Wielofunkcyjne kulki! – ucieszył się Piotrek.

– Nie o to nam chodziło! – zdenerwował się Jens. – Teraz zauważą Monikę!

Rzeczywiście, w świetle sztucznych ogni doskonale widać było rusałkę, przemykającą właśnie obok grupy agentów. Oni też ją zauważyli. Rusałka na chwilę znieruchomiała, ale zaraz wyciągnęła pogiętą kartkę z urzędowymi przeprosinami.

– Won, bo was zaskarżę! – wrzasnęła.

Sam widok pieczęci wystarczył, by agenci odskoczyli na dwa metry od Moniki. Rusałka dopadła Idéefiksa, który aktualnie był dużym smokiem, złapała go za lewą przednią łapę i zaczęła ciągnąć w nadziei, że bestia pójdzie. Bestia może by i poszła, ale jednocześnie ktoś ją ciągnął za ogon i naprawdę nie wiedziała, w którą stronę ma się udać. Na wszelki wypadek implodowała w pieska.

Monika, ściskająca kurczowo łapę Idéefiksa, wytrzeszczyła oczy na pana Sprawiedliwość, trzymającego biały ogonek.

Zanim którekolwiek z nich zdążyło coś powiedzieć, z zarośli dobiegł ich czyjś wrzask.

– Zabierajcie stamtąd tego smoka, do stu diabłów!!!

Niewiele myśląc, pan Sprawiedliwość chwycił psa pod pachę i ruszył biegiem w stronę lasu i zarośli. Monika dotrzymywała mu kroku. Byli w połowie drogi, kiedy Idéefix eksplodował.

Przez jedną straszną chwilę rusałka była przekonana, że zaraz przygniecie ich parę ton dobrze wypasionego zwierzaka. Podobnego zdania byli czekający w krzakach pracownicy Urzędu Skarbowego. Jens stracił na chwilę głos, Oleńka pisnęła i zakryła oczy, Piotrek i Łukasz swoje dla odmiany wytrzeszczyli.

Smok uniósł się w górę, bynajmniej nie własnym wysiłkiem. Pod jego brzuchem stała Jagienka, w szpilkach i eleganckim płaszczyku, na wyciągniętych do góry ramionach podtrzymująca puchate cielsko.

– Ach, ci ludzie – powiedziała pogardliwie, rzucając niechętne spojrzenie rusałce i byłemu mężowi.

Wdzięcznym krokiem, wciąż niosąc smoka, podążyła w stronę zarośli.

Łukasz już miał oderwać wzrok od bestii i skupić go na Oleńce, kiedy na polanie pośród wilkołaków i agentów dostrzegł znajomą postać.

– Cholera jasna, dziadek! – ryknął, bez namysłu opuścił bezpieczną kryjówkę i rzucił się w kierunku owej postaci.

Radośnie uśmiechnięty staruszek w długiej białej szacie (a może to była koszula nocna) łaskotał właśnie zbaraniałego wilkołaka w nos, mamrocząc entuzjastycznie:

– Gudzigudzi gu!

Zauważył go też pan Sprawiedliwość.

– Miałś pilnować druida!

Jagienka zatrzymała się i odwróciła głowę, potrząsając rudymi włosami.

– Co ja jestem, robot wielofunkcyjny?! Albo was ratuję i spełniam dodatkowy dobry uczynek, albo pilnuję tego wariata.

Łukasz dopadł wreszcie dziadka, ale ponieważ nie odważył się porzucić księgi w krzakach i oburącz przyciskał ją do siebie, brakowało mu wolnej ręki, żeby złapać staruszka i odciągnąć od wilkołaków, więc tylko przestępował nerwowo z nogi na nogę, mamrocząc: „dziadku, idziemy”. Dziadek nie słuchał, a wilkołaki powoli otrząsały się z oszołomienia. Agenci otrząsali się szybciej.

Niesiony przez Jagienkę Idéefix implodował w pieska. Demonica, wciąż trzymając go w górze, zaczęła niecierpliwie tupać zgrabną nóżką.

– Idziecie czy nie? – zgrzytnęła zębami. – Nie mam zamiaru spędzić wieczności, trzymając nad głową smoko-psa.

– Chwileczkę. – Michał zajęty był czujnym obserwowaniem dziadka, Łukasza, agentów i wilkołaków. Rusałka też obserwowała, ale mniej czujnie, a bardziej z troską i niepokojem.

W zaroślach trwała nerwowa narada nad pudłem kulek feng shui.

– Mogłabym zbombardować ich z powietrza – proponowała Oleńka.

– Naucz się najpierw korzystać z radaru – zasugerował Jens, nie szczędząc sarkazmu. – Inaczej możesz potraktować tymi kulkami



naszych.

– Z powietrza? – Piotrek popatrzył na Oleńkę z powątpiewaniem.

– Jestem wampirem – pochwaliła się Ola. – Umiem się zmieniać w nietoperza.

Piotrek trochę zbladł i odsunął się o kilka kroków.

– Tak przypuszczałem – westchnął. – Ale te zęby masz takie krótkie.

– No myślę – powiedziała Ola. – Kosztowały tysiąc złotych.

– Dajcie spokój cenom usług dentystycznych! – ryknął Jens. Monika wciąż przecież nie była bezpieczna. – Tu nie ma czasu na dyskusje! – Złapał strzelbę i zaczął do niej wpychać kulki.

Oleńka entuzjastycznie, błyskając czerwonymi oczkami, chwyciła drugą strzelbę.

– Będziemy w nich strzelać? – zapytała.

– Strzelać na pewno, czy w nich, to podlega dyskusji, niemniej...

– Urząd nie porzuca swoich ludzi – przypomniał sobie Piotrek. Pospiesznie napychał kieszenie kulkami. Skądś wyciągnął scyzoryk. Błysnęło stalowe ostrze. – Jako najstarszy stanowiskiem, ja dowodzę – zastrzegł. – Przygotować się do szarży! – Wybiegł z krzaków i zaczął ciskać w agentów kulkami.

Panika nie wybuchła od razu. Najpierw wszyscy osłupieli na widok Piotrka w garniturze, który ciskał kulkami, gdzie popadnie. W dodatku wydawał bojowe okrzyki, zupełnie niezrozumiałe, gdyż w zębach, wzorem filmowych komandosów, trzymał scyzoryk. Jens i Oleńka nie zostawili go samego. Poborca, wciąż niepewny, czy strzelać do rzekomych wrogów, na wszelki wypadek celował w niebo, rozświetlając je fajerwerkami. Jego zapomniane, niedoplecione do końca zakłączenia wlokły się za nim niczym ogonek z obłoczków. Wampirzyca chętnie by postrzelała, obojętnie w kogo czy w co, ale nie umiała obchodzić się z bronią. Ku jej wielkiemu niezadowoleniu, Michał, który pierwszy otrząsnął się z osłupienia, wyrwał jej strzelbę.

Jedna z kulek, rzuconych przez Piotrka mało zręcznie, za to z dużym zapalem, trafiła w sam środek czoła Jagienki, krzesząc przy tym snop kolorowych iskier. Demonica wrzasnęła, złapała się za głowę i upuściła

Idéefiksa-pieska, który spadając, czknął i zmienił się w smoka.

Wtedy właśnie wybuchła panika.

Najszybciej ewakuowały się wilkołaki. Te bardziej rozhisteryzowane zostały odprowadzone na bok przez towarzyszy, ktoś wpadł na pomysł, żeby „wypożyczyć sobie” auto Tajnych Służb Magicznych, i już po chwili zabytkowa właściwie czarna wołga odjechała, uwożąc w dal swoich futrzastych pasażerów.

Oleńka wydała z siebie żalosne zawodzenie i rzuciła się podkopywać brzuch Idéefiksa w nadziei wyciągnięcia stamtąd szczątków Jagienki.

Agenci zgłupieli do reszty i zaczęli szarpać dziadka, jedyną osobę, która nie przejawiała chęci natychmiastowej ucieczki ani też nie wykazywała się jakąś przerażającą aktywnością, czego, niestety, nie dało się już powiedzieć o pozostałych uczestnikach zajścia. Zatrzymanie staruszka jako dowodu w sprawie nie bardzo jednak miało szansę dojść do skutku, bo z drugiej strony szarpał dziadka Łukasz, który zdecydował się wypuścić księgę z objęć i poprzestał na przyciskaniu jej łokciem do boku. Stanowczo zamierzał uratować zarówno swój rychły awans, jak i dziadka. Zanim agenci pozbiali się na tyle, by udaremnić te śmiałe zamiary, pan Sprawiedliwość rzucił się Łukaszowi na pomoc. Wyrwaną Oleńce strzelbą roztrącił agentów, dopadł staruszka i złapał go za kołnierz. Wspólnie z Łukaszem pospiesznym truchtem wyprowadzili dziadka z obszaru zagrożenia.

Jens pomógł wstać Monice, która na dźwięk eksplozji wykonała tak zwanego szczupaka w sposób mało elegancki, za to skuteczny. Uniknęła wprawdzie tragicznego końca pod smoczym brzuchem, ale teraz wypływała z uczuciem żdźbła trawy i niezdarnie próbowała oczyścić z piasku twarz, ze szczególnym uwzględnieniem okolicy zaciśniętych powiek. Oleńka, dalej zawodząc rozpaczliwie, kopała metodą „na teriera”.

Idéefix czknął i zmienił się pieska. Zapłakana Ola porwała go na ręce, odgarnęła mu z pyska białą grzywkę i spojrzała prosto w oczy.

– Odhipnotyzowuję cię! – zawołała, pociągając dramatycznie nosem.

Piesek zamerdał ogonem i oblizał jej buzię.

Monika, spluwając dla odmiany ziarnkami piasku, i Jens, wciąż opiekuńczo podtrzymujący ją ramieniem, zatrzymali się nad tym, co zostało z Jagienki. Smok dosłownie wcisnął ją w ziemię. Demonica stęknęła, podniosła się i wypluła kłębek białej sierści. Rude włosy miała ubłocone, z eleganckiego płaszcza zostały jakieś brudne strzępy, a zgrabne przed chwilą szpilki przypominały najgorszy z możliwych koszmar ortopedy. Jagienka przeciągnęła się. Powracające na miejsce kości zachrzęściły nad wyraz nieprzyjemnie. Jednolicie żółte oczy, pozbawione źrenic i białek, spojrzały wściekle na świat. Poborcy zaczęli się powoli wycofywać. Oleńka przestała chlipać, chwyciła mocniej Idéefiksa i uciekła w zarośla. Żółte oczy demonicy spoczęły na agentach.

Łukasz i Michał wepchnęli dziadka w krzaki obok Oli. Dołączył do nich Piotrek, porzucając kulki *feng shui*.

Monika ostentacyjnie usiadła tyłem do polany.

– Nie chcę tego widzieć – powiedziała. – Ani słyszeć – dodała po chwili drżącym głosem. Chwyciła szybujące w powietrzu niedokończone czary Jensa i błyskawicznie splotła je w zakłęcie głuchoty. – Chce ktoś?

Wszyscy chcieli.



Po jakiejś godzinie Michał wykazał się odwagą cywilną i obejrzał się. Tylko na chwilę. Gestami pokazał Monice, że może już zdjąć z nich zakłęcie. Po chwili wszyscy odzyskali słuch, ale nikt jakoś nie kwapił się do spoglądania na polanę.

– Gdzie Jagienka? – zapytała rusałka z niepokojem.

– Jak ją znam, to poszła do domu się przebrać – stwierdził Michał. – Trochę się tutaj jednak ubrudziła.

– To my też już możemy iść? – W głosie Moniki zadźwięczała nadzieja.

– Może powinniśmy kogoś wezwać, pogotowie na przykład.

– Pogotowie tu nic nie pomoże. Za parę dni, może tygodni się zregenerują. Tylko że będzie ich trochę... mniej. – Łukasz zerknął na polanę i wzdrygnął się nerwowo. – A poza tym... Pamiętajcie: nas tu nie

było. W ogóle nikogo tu nie było. Takie coś mogłoby mi położyć karierę. – Przycisnął książkę do serca. – Ja wracam do Warszawy. Muszę donieść szefom o sukcesie. Odstawcie dziadka. – Wyciągnął z kieszeni karteczkę, nabazgrał na niej adres i wręczył ją Jensowi, zanim ten zdołał wykrztusić choć słowo protestu. – I zdobądźcie dla mnie jej numer telefonu – dodał szeptem, zerkając na Oleńkę. Zaraz potem się wyteleportował.

– Ja go zabieram. – Pan Sprawiedliwość położył dziadkowi rękę na ramieniu. – Odwiozę go, jak tylko poradzi coś na wampiryzm Oli. A propos, idziemy, bo jeszcze nas tu świt zastanie.

Po chwili pracownicy lubelskiego Urzędu zostali zupełnie sami.

– To co robimy? – zapytał Jens, pakując ręce do kieszeni.

Piotrek wzruszył ramionami.

– Wracamy na miejsce pracy. Nie ma sensu iść spać, i tak zaraz trzeba będzie wstawać. A tak damy dobry przykład innym.

– Nawet nie spojrzymy? – Monika przestąpiła niespokojnie z nogi na nogę. – Nie jesteście ciekawi? W końcu to nasz rejon.

Jens i Piotrek spojrzeli na nią, potem na siebie nawzajem. A potem wszyscy troje odwrócili się w stronę polany.

## Rozdział 10

**S**koro już ugotowałem obiad, to moglibyście go zjeść – zirytował się Ślipiak. – Jak przystało na prawdziwego mężczyznę, nie boję się odsłonić kobiecej strony mojej natury, a wy nie macie apetytu!

– No, nie mamy – przyznała markotnie Monika, grzebiąc widelcem w talerzu.

Siedzący naprzeciw niej Jens smętnie oglądał zielone kluchy.

– Co to w ogóle jest? – zainteresował się niemrawo.

– Gnocchi ze szpinakiem. Pyszne – dodał z naciskiem wodnik, pakując sobie do ust trzy kluchy na raz. – Sami byście się przekonali, gdybyście byli uprzejmi zjeść. Chyba że macie coś przeciwko szpinakowi.

– No niby nie mamy – zaprzeczyła apatycznie rusalka.

– Co wyście robili przez całą noc? – zapytał Ślipiak trochę niewyraźnie, bo mówił z pełnymi ustami.

Rusalka i eksmag jednocześnie zbledli i odsunęli od siebie talerze. Monika zerwała się od stołu i wyszła z kuchni.

– Nie chcesz wiedzieć – mruknął Jens.

– A właśnie że chcę – upierał się Ślipiak.

Kiedy Monika wróciła, po gnocchi nie było śladu, a rozeźlony wodnik zmywał talerze.

– Apetyt potraficie człowiekowi odebrać – warczał znad strumienia wody. – Wracajcie lepiej do pracy.

– Ty nie idziesz? – zdziwiła się rusalka.

– Rzucam to – oznajmił godnie Ślipiak. – Doszliśmy z żabami do wniosku, że ta posada zabija moją indywidualną twórczą kreatywność. Mam zamiar odnaleźć prawdziwego siebie.

– Aha – skomentowała Monika z mocno niewyraźną miną.

– Powodzenia – rzucił Jens, wypychając ją do przedpokoj.



Na widok Łukasza Piotrek zaczął gorączkowo symulować wzmożoną aktywność w ramach wypełniania obowiązków służbowych.

– Daruj sobie – rzucił Łukasz, kładąc na stole księgę.

– Jeszcze cię nie awansowali? – Piotrek natychmiast odgadł przyczynę złego humoru zwierzchnika.

– Nie – warknął nerwowo tamten. – I na razie nie awansują, bo tego cholerstwa – łupnął pięścią w księgę – nie mogą przeczytać.

Piotrek ostrożnie sięgnął po wolumin, otworzył go i przyjrzał się małym czarnym znaczkom, gęsto pokrywającym stronicę.

– Macie chyba w Centrali jakiegoś tłumacza – podsunął.

– Mamy, mamy, co z tego, że mamy – zniecierpliwiał się Łukasz. – Ja przecież mu tego nie mogę dać!

– Nie? – zdziwił się nieśmiało Piotrek.

– Nie!!! Jak tylko się rozniesie, co to jest, to zlecą się zaraz sępy, kruki, wrony, pijawki, gęsi z klucza politycznego. – Łukasz westchnął ciężko i dramatycznie. – Nie jest nam łatwo, tam, na górze. Ciągła walka, niepewność jutra, oko za oko, ząb za ząb, wątroba za wątrobę. Moja jedyna szansa to odczytać tę księgę i położyć ją przed nosem ministrowi razem z interpretacją i planem reform, i to najlepiej przy świadkach.

– My ci tego raczej nie przetłumaczymy – stwierdził niemrawo Piotrek.

– Wiem, że nie. Ale w Lublinie mieszka taki jeden ekspert...

– Tak? – mruknął uprzejmie Piotrek. – Ale chyba nie pracuje u nas?

– Nie. Pracuje na uniwerku.

– Dać ci plan miasta? – ożywił się Piotrek, tknięty nagłą nadzieją, że pozbędzie się zwierzchnika.

– Oszalałeś?! – wzdrygnął się Łukasz. – To musi być załatwione dyskretnie! Mnie tam nikt nie może zobaczyć!

– Nie? – Piotrkowa nadzieja zaczęła ustępować miejsca złym przeczuciom.

– W żadnym wypadku. I pomyślałem sobie, że chcielibyście mieć

przyjaciół tam, na górze.

– Chcielibyśmy? – zmarszczył brwi Piotrek.

– Tak myślałem, że chcielibyście. – Łukasz poklepał go z rozmachem po plecach. – No to już! Gdzie nasza panna z bagien i *Herr Problemmacher*?

– Wyszli. Mają przerwę obiadową.

– Przerwę obiadową? – Łukasz lekko zbladł. – Jak oni w ogóle mogą cokolwiek zjeść...

– Nie możemy. – Monika wetknęła głowę przez uchylone drzwi. – Baśka nakablowała, że Warszawa znowu nas nawiedziła. Czy słusznie przypuszczam, że znowu czegoś od nas chcesz?

– Słusznie – burknął Łukasz. – Jens też tu jest? To włąćcie.

– Znowu nie ta, co trzeba? – Poborca usadowił się w jednym z foteli i spojrzał wymownie na książkę.

– Nie, to tym razem ta. Chyba. – Po twarzy Łukasza przemknął cień zwątpienia.

– Nie umie jej przeczytać – wyjaśnił Piotrek, widząc pytające spojrzenie Moniki.

– My chyba raczej też nie umiemy – rusalka rzuciła okiem na czarne znaczki.

Jens wziął księgę i przyjrzał się uważnie.

– To kod – ocenił tonem fachowca. – Pismo magów. Jedna z ich najściślej strzeżonych tajemnic.

– Zgaduję, że wykopali cię, zanim nauczyłeś się, jak to czytać? – zapytał Łukasz ze zgryźliwą uprzejmością.

– Żeby to odczytać, będziesz potrzebował jakiegoś uczonego, zaawansowanego maga. – Jensowi udało się zignorować gryzący sarkazm.

– I tu się mylisz! – zakrzyknął triumfalnie warszawiak. – Wystarczy mi uczony, nie musi być magiem...

– Mam wrażenie, że wiem, dokąd zmierza ta rozmowa – westchnęła filozoficznie Monika.

– I ten uczony jest tu, w Lublinie. Na uniwerku! I wy go dopadniecie –

dokończył Łukasz.

– Wiedziałam! – stwierdziła rusałka, z jej miny wyraźnie wynikało, że nie jest specjalnie zachwycona sprawdzalnością własnych przeczuć. – To na którym uniwerku jest i dlaczego mamy go dopaść zamiast zwyczajnie zadać kilka pytań.

– Na UMCS-ie. A dopaść go musicie, ponieważ nie możecie go zwyczajnie zapytać. A nie możecie go zwyczajnie zapytać, ponieważ to wszystko jest tajne, cała operacja jest tajna, a fakt posiadania przez nas tej księgi jest najtajniejszy! – wyjaśnił zwierzchnik z mocą.

– A, chodzi o twój awans. – Jens bez trudu połączył fakty i zrewanżował się złośliwością.

Łukasz zgromił go wzrokiem. Wyjął z kieszeni zdjęcie, nabazgrał coś na odwrocie i dramatycznym gestem wręczył je Piotrkowi.

– Tu macie nazwisko – oznajmił. – Przeczytajcie, obejrzyjcie, zapamiętajcie i zniszczcie. Ciao. – Wyteleportował się.

– A właśnie chciałam zapytać, dlaczego znowu my...

– Taki już wasz los. Za dobrze się postaraliście poprzednio. – Piotrek podał jej zdjęcie. – Przeczytajcie, obejrzyjcie, zapamiętajcie, zniszczcie i do roboty.

Jens zajrzał rusałce przez ramię.

– Myślicie, że figuruje w rejestrze płatników?

– Tego nie wiem, ale na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jest w książce telefonicznej. – Rusałka wrzuciła ramionami, wyglądała przy tym na nieco zrezygnowaną. – Miejmy to już za sobą.



Bloki w dzielnicy Czechów były w większości szare, jeśli nie aktualnie, to pierwotnie. Jakiś przeciwnik tej szarości kazał przemalować część z nich i zapewne w założeniu barwy miały być bardziej przyjazne, a może nawet weselsze i odprężające. Miejscami wyszło ładnie, miejscami niekoniecznie. Od pełnego fascynacji wpatrywania się w dom, który kolorystyką przypominał wyjątkowo żółtą jajecnicę, doprawioną



wściekle zielonym szczypiorkiem, oderwało Monikę dopiero energiczne szarpnięcie za rękaw.

– Idę, przecież idę – mruknęła, podążając za Jensem w kierunku niedużego budynku mieszkalnego, przypominającego na pierwszy rzut oka bunkierek.

Eksmag otworzył drzwi klatki schodowej jednym zakłębieniem i uprzejmie odsunął się na bok, puszczając rusałkę przodem. Od wewnątrz bunkierek przypominał wydrażony w środku klocek, przy którego ściankach umieszczono wąskie podesty prowadzące do mieszkań.

– Szczyt socjalistycznej architektury – oznajmiła Monika z podziwem, ale i odrobiną patriotycznej dumy.

Jens zdjął ciemne okulary, obejrzał ów szczyt i nie wygłosił żadnego komentarza. Miał za to dziwny wyraz twarzy.

Tymczasem rusałka przestudiowała listę lokatorów.

– Drugie piętro. – Ruszyła na górę po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Jens dogonił ją pod samymi drzwiami.

– Pukamy czy wchodzimy? – zapytał.

– Pukamy – zdecydowała Monika, pospiesznie splatając palcami sieć.  
– Tak na wszelki wypadek – wyjaśniła.

Wszelki wypadek się nie zdarzył, bo w uchylonych drzwiach, zamiast spodziewanego profesora, ukazała się meduza. Pod wpływem jej przeszywającego, podejrzliwego i nieprzychylnego spojrzenia Poborca i rusałka przywołali na twarze superprzyjazne uśmiechy.

– Dzień dobry – zaszczębiotała Monika. – Zastaliśmy profesora Tubisia?

– Nie ma – chrypnęła wrogo meduza. – A w jakiej sprawie?

– Służbowej – wyjaśnił enigmatycznie Jens. Meduzie enigmatyczne wyjaśnienie nie wystarczało. Krótki pojedynek na spojrzenia zakończył się sromotną przegraną eksmaga. – W sprawie starożytnych kodów tajnych stowarzyszeń mniej więcej z siódmego wieku...

– Nie będzie zainteresowany – oznajmiła meduza i zatrzasnęła drzwi. Stuknęły rygle i zakłęcia ochronne.

– No to leżymy i kwiczymy – westchnęła Monika, obrzucając brązowe

drzwi z połączonym numerem dwadzieścia osiem wyjątkowo ponurym spojrzeniem.

– Z pewnością możemy przyjąć, że w pieleszach domowych nic z nim nie załatwimy – przyświadczył Jens.

– To znaczy... – Monika przystanąła na przedostatnim stopniu.

– ...że zostają nam pielesze zawodowe – dokończył eksmag. – Gorzej, jeśli on rzeczywiście nie będzie zainteresowany.

– Na wszelki wypadek weźmiemy służbową furgonetkę – stwierdziła rusalka z cichym westchnieniem rezygnacji. – Mamy już pewne doświadczenia w tej dziedzinie. Tylko co z nim później zrobimy?

Jens wyciągnął z kieszeni mały kluczyk.

– Do celi 1890 w podziemiach Urzędu. Zapomniałem go oddać.



– Co ci wszyscy ludzie tu robią, przecież są wakacje? – Monika rozejrzała się zdegustowana po miasteczku akademickim.

– Głód wiedzy ich pcha – stwierdził Jens.

Rusalka prychnęła pogardliwie.

– Akurat. Też tu studiowałam i uwierz mi, przez całe pięć lat nie spotkałam się z ani jednym przypadkiem głodu wiedzy. To stwórz mityczny tak jak...

– ...rusalki – dopowiedział z uśmiechem i pełnym czułości gestem poprawił kwiatek, który wysunął się Monice zza ucha. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

Czekali w furgonetce zaparkowanej pod budynkiem Wydziału Humanistycznego, a profesor złośliwie się nie pojawiał. Dopiero równo po godzinie i osiemnastu minutach jego sylwetka zamajaczyła w tłumie młodzieży. Monika i Jens jednocześnie rzucili się na zdjęcie.

– To ten – stwierdzili zgodnym chórem.

– To bawimy się w dyplomację czy od razu go łapiemy? – zapytała rzeczowo Monika.

– Masz sieć?

– Kilka metrów.

– Powinno go złapać, nawet jeśli ma na sobie jakieś zakłęcia ochronne.

– A co ze świadkami? – Rusałka zmarszczyła brwi, w jej spojrzeniu pojawił się błysk nieustępliwości. – Tu jest na oko za dwieście osób. Nie lepiej poczekać i porwać go z ustronniejszego miejsca?

– Może i lepiej, ale na czekanie nie mam cierpliwości – stwierdził twardo Jens. – Chcę, żeby Łukasz zabrał sobie wreszcie tę książkę i żeby cała ta sprawa przestała się za nami ciągnąć. Ty łap profesora, a ja zajmę się świadkami. – Wyciągnął z kieszeni szary obłoczek niewykończonego zaklęcia.

– To do dzieła. – Monika przeszła na tył furgonetki, otworzyła tylne drzwi i ujęła mocniej w dłonie zwiniętą sieć. – Zawsze chciałam spróbować, jak to jest być Old Shatterhandem – dodała już bardziej do siebie, skręcając sieć w sznur i robiąc na jej końcu pętlę.

– Na trzy – powiedział Jens. – Gotowa? Raz. Dwa. Trzy!

Z furgonetki jednocześnie wyprysła barwna chmurka dokończonego zaklęcia i lśniąca, prawie przezroczysta lina. Chmurka poszybowała w niebo, napęczniała i pękła, obsypując cały plac fioletowym śniegiem. Studenci, wykładowcy i przypadkowi przechodnie mieli ułamek sekundy na zdziwienie się, zanim zaklęcie zaczęło działać, a oni sami podążyli za swoimi sprawami, nie zwracając uwagi na otumanionego profesora Tubisia, którego kobieta i mężczyzna właśnie pakowali do furgonetki.

– A teraz gazu. – Jens usiadł za kierownicę, rusałka zamknęła od środka tylne drzwiczki i wgramoliła się na siedzenie pasażera. – Za dużo tu ludzi, zaklęcie już się wyczerpuje.



– Ale ciężki – stęknęła Monika.

– Uważaj! – syknął nerwowo Jens. – Nie walnij nim o framugę.

– Nie moja wina, że tu jest tak wąsko – zirytowała się rusałka.

Pokonanie drzwi do Urzędu Skarbowego okazało się skomplikowane,

ale wykonalne. Panienska w recepcji na widok dwójki Poborców taszcujących podłużny kształt oderwała swe oczęta od kolorowego brukowca zaledwie na chwilę, a gumy nie przestała żuć wcale. Nie takie rzeczy zdarzało jej się tu widywać. Jens kopniakiem otworzył drzwi z napisem OBSŁUGA KLIENTA. Na ciemnych schodkach potknęli się kilka razy, a profesor zaliczył parę zderzeń z podłogą.

– Z tamtym poszło łatwiej – wysapał Jens, kiedy wreszcie dotarli na sam dół.

– A podobno praktyka czyni mistrza – dodała gorzko rusalka, dmuchnięciem próbując pozbyć się wiszącej u nosa kropli potu. Kopnęła w tabliczkę informacyjną. – Pani Halinko, jest pani tam?!

Przejście otworzyło się i mogli wtargać swój pakunek do pokoju trollicy. Z ulgą, odrobinę niedelikatnie, położyli go na podłodze. Pani Halinka uśmiechnęła się do nich życzliwie.

– My do 1890 – wyjaśnił Jens, bohatersko starając się ukryć wrazenie, jakie zrobił na nim ten objaw życzliwości. – Zajmujemy pomieszczenie i prosimy, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

– Oczywiście – pani Halinka uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Monika zapatrzyła się na opakowanego profesora i westchnęła ciężko.

– Nie ma pani przypadkiem jakiegoś wózka? – zapytała.

Pani Halinka zastanowiła się chwilę.

– Mam wózek do transportu akt – powiedziała. – Zawołać?

– Bardzo proszę.

Trollica zadzwoniła wyciągniętym z szuflady biurka małym, porcelanowym dzwoneczkiem. W ciemnym korytarzu rozległo się coraz głośniejsze, energiczne człapanie i po chwili do pokoju wjechał wózek na akta, ciągnięty przez przerosniętego warana w ciemnych okularach.

– Wystarczy państwu? – upewniła się pani Halinka.

– Wystarczy.

Poborcy wspólnie dźwignęli profesora na wózek. Waran przyglądał się im z zainteresowaniem. Rusalka odwzajemniła mu się spojrzeniem z gatunku podejrzliwych.

- Po co mu te szkła? – zapytała nieufnie.
- Przepisy BHP – wyjaśniła pani Halinka, wciąż nieustannie życzliwa.
- Mieliliśmy w przeszłości parę wypadków z bazyliškami.
- Uszkadzały petentów? – Nieufność Moniki wzrosła o kilka ładnych punktów na prywatnej skali rusalki.
- Ach, nie! – Pani Halinka lekceważąco machnęła wielką łapą. – To znaczy, petentów też, ale po tym, jak w Warszawie bazylišek skamienił wicedyrektora wydziału opodatkowania nieruchomości, zaostrozono przepisy. Gdyby kontrola zastała Dżdzo bez szkieł, przywaliliby nam straszliwe kary. Już lepiej wydać te parę tysięcy na okulary.
- Parę tysięcy? – Jens lekko się zadławił.
- Firmowe, oryginalne. – Pani Halinka wyglądała na nieco urażoną podejrzeniem, że Urząd mógłby oszczędzać na jakości wyposażenia specjalistycznego. – Dżdzo nie nosiłby byle czego.
- Jasne – przyświadczyła Monika. – Ma bestia dobry gust. – Pociągnęła eksmaga za ramię. – Dżdzo, do 1890 z tym. – Bazylišek poczłapał, pozornie powoli, ale zaraz znikł im z oczu w ciemnym korytarzu.
- Będzie czekał pod drzwiami – zawołała za nimi pani Halinka, kiedy rzucili się go gonić.



Wchodząc do swojego gabinetu o siódmej trzydzieści rano, Piotrek potknął się o cztery pudełka po pizzy. Z następnym krokiem potknął się o bazyliška. Bazylišek kwęknął donośnie i złapał go za nogę. Piotrek wrzasnął.

- Co?! Gdzie?! – Zaspana Monika poderwała się z fotela. Drzemiący na drugim Jens ograniczył się do otworzenia jednego oka i oceny sytuacji.
- Gryzienie zwierchników jest zabronione! – krzyknął Piotrek, wyszarpując łydkę z pyska bazyliška. Dżdzo zerknął na niego zza czarnych szkieł, wzruszył ramionami i poszedł sobie.
- A, to tylko ty. – Monika przywitała kierownika kiwnięciem ręki.

– Tylko ja? – zbulwersował się Piotrek. – Co wy tu w ogóle robicie? Co to za nocowanie w miejscu pracy?

– Będziesz nam musiał zapłacić za nadgodziny – ziewnął Jens. – I Dżodzo też.

– Nadgodziny?!!! – Piotrek natychmiast poczerwieniał. – Jakie nadgodziny?! Czy wy wiecie, ile ja muszę bulić bazyliżkom za nadgodziny?!

– Wiemy, wiemy. – Rusalka przeciągnęła się i też ziewnęła. – Pół nocy graliśmy w dziale obsługi klientów w makao. Dżodzo nam całe swoje życie opowiedział.

– I za to granie po nocach w karty ja mam wam płacić? – zapytał zgryźliwie Piotrek.

– Nie nasza wina, że pilnowanie więźniów to jest takie nudne, monotonne i mało kreatywne zajęcie. – Jens wzruszył ramionami.

– Porwaliście tego profesora? – Piotrek z rezygnacją opadł na krzesło.

– Siła wyższa. – Monika klepnęła go w kolano w ramach pocieszenia. Sama zaczęła się już przyzwyczajać do nietypowych metod pracy. – Ale mamy też dobrą wiadomość.

Wyraz twarzy Piotrka świadczył o tym, że żadna wiadomość nie mogła być dobra w zaistniałej sytuacji. Mimo to podwładni postanowili go uszczęśliwić.

– Facet wziął się za tłumaczenie sam z siebie – powiedział Jens. – Nie musieliśmy go przymuszać.

– Tak go to pochłonęło, że nawet pizzy nie ruszył – dodała Monika. – A daliśmy mu kawałek. W końcu trzeba być humanitarnym wobec więźniów.

– Baśce też będziesz musiał policzyć nadgodziny – przypomniał sobie eksmag. – Musieliśmy ją tu ściągnąć w nocy.

– Was dwoje i bazyliżek to za mało do pilnowania jednego profesora?

– My dwoje i bazyliżek to za mało, żeby otworzyć składzik – wyjaśniła Monika. – Nie mieliśmy klucza, a głupio tak włamywać się do pomieszczeń we własnym zakładzie pracy.

– Kogo trzymacie w składziku? – przestraszył się Piotrek.

– Nikogo – uspokoił go Jens. – Laptop był nam potrzebny. Na czymś ten profesorek musi zapisywać tłumaczenie, a odręcznie strasznie bazgrze.

– I dobrze mu idzie? – W oczach Piotrka błysnęła nadzieja.

– Rewelacyjnie.

– Cudownie, cudownie, cudownie! – Piotrek zrezygnował z cierpiętniczej postawy i pozwolił sobie na wybuch optymizmu. – Zaraz dzwonię do Warszawy. A wy gdzie? – zapytał, kiedy Jens i Monika, przeciągając się i ziewając, ruszyli do drzwi.

– Do domu, przespać się – odpowiedziała rusalka.

– W godzinach pracy? Nie za to wam płacę. Idźcie odebrać jakiś Podatek! – Rzucił w nich teczkami.



– Mamy problem – oznajmiła ponuro Czarna Kasieńka, stając w drzwiach gabinetu Magika i sypiąc na dywan popiół z papierosa.

Magik nie podniósł nawet głowy, pochłonięty bez reszty swoim zajęciem. Zaintrygowana Kasia podeszła bliżej i zajrzała mu przez ramię. Gangster pracowicie wycinał literki z gazety i przy pomocy pęsetki i kleju produkował anonim.

– Po co ci to? – zapytała Kasieńka.

– Dzwoniła Zdzisia – powiedział z zadowoleniem Magik. – Pamiętasz panią Zdzisię?

Kasia kiwnęła głową. Panią Zdzisię trudno było zapomnieć.

– No więc Zdzisię nawiedzili dziś jacyś ludzie – ciągnął Magik. – Szukali profesora. Odprawiła ich, rzecz jasna, ale kiedy profesor nie wrócił na kolację, zaczęła się martwić. Poszła na uniwersytet i wyobraź sobie, znalazła resztki zaklęcia. Zmartwiona zadzwoniła do mnie, przy okazji podając opis tych dwojga. Duży ich zidentyfikował.

– I? – zainteresowała się Kasieńka.

– Poborcy – ucieszył się Magik.

– Co w tym takiego wspaniałego? – burknęła Kasia.

– Otóż mój drogi przyjaciel z lat dziecińczych... – Magik przerwał na chwilę, by w skupieniu i z wystawionym językiem przykleić „A” – ...został ostatnio honorowym członkiem Niezależnego Stowarzyszenia Magów, Czarownic, Wróżbitów, Wrózek i Druidów Polskich. Formalnie magiem, chociaż talentu w nim tyle, co octu w zupie.

– A magowie bardzo nie lubią, jak ktoś targa się na ich godność i nietykalność osobistą – dokończyła domyślnie Kasieńka.

– Właśnie, córeńko. Nie lubią też, jak ktoś targa się na godność i nietykalność osobistą kogokolwiek, kto ma kartę maga.

– Napuścisz magów na Urząd Skarbowy?

– Tak! – Magik prawie kwiczał z radości. Może przy okazji zdobędziemy księgę, może nie, ale przynajmniej dokopujemy Skarbówce!



– Jeszcze trochę i zapomnielibym, na czym naprawdę polega nasza praca. – Monika ziewnęła i schowała kryształ poboru do plecaka. – Kto następny?

Jens zerknął na listę.

– Sklep z odzieżą damską na Krakowskim Przedmieściu.

Rusałka zajrzała mu przez ramię.

– Kupiłam tam bluzkę. To oni są z niezwyčajnego świata? – zdziwiła się.

– Mamy pobrać Podatek za korzystanie z rzadkich i skomplikowanych rytuałów mających przywabić klientów.

– Więcej tam nie będę kupować – postanowiła.

– Rzuć na siebie jakiś antyurok – poradził Jens. – Inaczej, przechodząc obok, i tak tam wejdziesz.

– Antyurok... antyurok... – zamyśliła się rusałka i prawie wpadła na rycerza w pełnej zbroi, lśniącej w świetle słońca. – O rany! – Cofnęła się o krok. – Jakaś impreza historyczna?

Za zakrętu wyszło jeszcze trzech rycerzy. Jens podniósł głowę znad teczek z dokumentami kolejnego płatnika.



– Czy mnie się to słusznie nie podoba? – zapytała Monika, marszcząc brwi.

– Niech to diabli – zaklął Poborca. – Masz swoją kartę maga?

– Mam.

– To wyciągnij ją i bij ich po oczach. Może się odczepią.

Rusałka pospiesznie wygrzebała z plecaka okładkę na dokumenty.

– A masz! – Podetkała pod nos najbliższemu zbrojnemu kartę. – Co to w ogóle jest? Pokaz jakiś? – Odwróciła się do Jensa.

– Prywatna bojówka Stowarzyszenia Magów.

– Wiejemy? – zaproponowała.

– Nie mamy szans. To najlepsi rycerze świata.

– Serio? – Rusałka zerknęła podejrzliwie. – Trochę przedpotopowi.

– Służą Stowarzyszeniu od czasów Okrągłego Stołu. Merlin ich zwerbował – wyjaśnił Jens.

Monika spojrzała na niego z niedowierzaniem. Potem jeszcze raz przyjrzała się rycerzom. Okrążali ich, powoli i z cichym skrzypieniem, ale nieustępliwie. Nie wiadomo skąd pojawiła się karetą zaprzężona w czwórkę koni, zdobiona i bezwzględnie zabytkowa. Wysiadł z niej jeszcze jeden rycerz. Monika zmarszczyła brwi.

– Sir Lancelot? – strzeliła, powodowana odległymi skojarzeniami.

Zbrojny podniósł przyłbicę. Blask wypolerowanej zbroi był niczym w porównaniu z blaskiem autentycznej męskiej urody.

– A niech mnie – jęknęła rusałka i usiadła na masce najbliższego samochodu. Natychmiast zawył alarm.

Lancelot uciszył go jednym ruchem ręki.

– Jesteście aresztowani za uprowadzenie zarejestrowanego maga – oznajmił stuprocentowo męskim barytonem.

– Goń się w szmaty – zaproponowała Monika niezbyt elegancko za to bohatersko, odgradzając się od jego blasku ciemnymi okularami z filtrem UV. – Bez odznaki policyjnej możesz nam skoczyć.

– Obiema nogami na puklerz – mruknął Jens, który też miał swoje skojarzenia. Zaraz jednak się opamiętał. – Nie wygłupiaj się i nie dyskutuj z nimi, bo będzie źle. Takich jak oni prawo nie dotyczy.

– Cholerni arystokraci – zdenerwowała się rusałka. Machnęła swoją kartą maga przed twarzą Lancelota. – I co teraz powiesz, bucu jeden?

– Zabrać go – polecił rycerz. Pozostali natychmiast chwycili Jensa.

– Co jest?! – Monika zeskoczyła z maski samochodu i chciała biec za nimi, ale drogę zagrodziło jej okryte metalem ramię Lancelota. Przepiękne oczy popatrzyły na nią uważnie.

– Nie aresztujemy magów, ale każdego, kto nie będąc magiem na maga nastaje – pouczył ją rycerz z wyższością. Rusałka poczuła nagle, jak pod wpływem jego wzroku tężeją jej wszystkie mięśnie. Miała wrażenie, że wokół piersi zacisnęła jej się stalowa obręcz.

– Zostawcie go! – wykrztusiła z trudem.

Paladyn zmarszczył brew. Gestem niemalże pieszczotliwym zdjął jej okulary i umieścił w kieszonce żakietu, po czym, bez jednego słowa nawet, wpił się spojrzeniem w zielone tęczówki rusałki. Monice odebrało mowę. Myśl o zemście zakorzeniła się w niej na stałe.

– To akurat trzeba było powiedzieć jemu, zanim ośmielił się podnieść rękę na maga – upomniał ją Lancelot protekcjonalnie. – Teraz już za późno. Będzie musiał zapłacić za swoją zuchwałość.

Rusałka z sykiem wciągnęła powietrze przez zacisnięte zęby.

– Nie martw się, nic ci nie będzie, to tylko zabezpieczenie. Żebyś nie próbowała zrobić czegoś niemądrego, przez co jeszcze mogłabyś ucierpieć – wyjaśnił tym samym tonem. – Przecież tego byśmy nie chcieli, prawda?

Monika odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym nienawiści.

– No, już, już. Za kilka dni nawet nie będziesz o nim pamiętać. – Na twarzy Lancelota pojawił się pobłażliwy uśmiezek. – Jesteś przecież kobietą.

Wściekła, ale bezradna patrzyła, jak ładują Jensa do karety i odjeżdżają w takim tempie, że koniom spod kopyt strzelają iskry. Dopiero gdy zniknęli jej z oczu, odzyskała zdolność ruchu.

– Niedoczekanie twoje! – mruknęła mściwie pod adresem Lancelota i wyteleportowała się do Urzędu.

W holu natknęła się na kolejnego rycerza, który szedł prosto na nią.

Monika natychmiast poczuła w sobie ducha egalitarysty i szowinistki przy okazji. Bez namysłu złapała stojący na biurku recepcjonistki przycisk do papieru i przywaliła zbrojnemu w hełm, aż zadźwięczało. Rycerz usiadł na wykładzinie przy akompaniamencie przeciągłego zgrzytu. Za jego plecami zobaczyła profesora Tubisia.

– Niesamowite – powiedział z przejęciem, rozpoznawszy rusałkę. – Co za odkrycie! Co za subtelne sformułowania! Tam nie ma kruczków prawnych, tam są prawne sępiki!!!

– Już pan skończył? – upewniła się Monika złym głosem.

– Tekst wymaga jeszcze poprawek stylistycznych, ale... – Profesor poklepał się po kieszeniach i wyciągnął dyskietkę. – Ledwo zdążyłem zasejwować, jak wpadli – poskarżył się.

Rusałka bez namysłu wyrwała mu dyskietkę.

– Co pani... – Nie zdążył dokończyć protestu, bo na głowę opadła mu łśniąca sieć. Monika w pośpiechu doplotła jeszcze spory kawałek, upychając między nitki zaklęcie zapomnienia.

– Nic nie będziesz pamiętał – wymruczała, owijając mu sploty wokół szyi niczym szal. – Ani z dzisiejszej nocy, ani z dzisiejszego dnia. Nic o księdze ani o nas. Ale za to – dodała złośliwie – będziesz chciał śpiewać. Ci mili rycerze z chęcią posłuchają twojego śpiewu. Po to przybyli, byś został ich bardem.

Kiedy wchodziła do biura, dogoniło ją dziarskie, choć nieco piskliwe: „Hej! Hej! Hej, sokoły!”. Fałszywe nuty zabrzmiały jej tym razem wyjątkowo mile, nie miała jednak czasu przysłuchiwać się swojej zemście. Niczym chmura gradowa ruszyła do gabinetu Piotрка.

Otworzone z rozmachem drzwi rąbnęły o ścianę.

– Jensa... – Monika przerwała w pół słowa. Gabinet był pusty, a przynajmniej takim się wydawał na pierwszy rzut oka. – Co tu się dzieje?! – huknęła.

Z szafy na akta wystawił głowę Łukasz.

– Poszli już? – zapytał nerwowo.

– Poszli. – Piotrek wyczołgał się spod biurka i wpełzł na swoje krzesło.

– Co się dzieje? – powtórzyła Monika, znacznie ciszej i na pozór

spokojniej. Tylko na pozór. W jej głosie dźwięczały bowiem wyjątkowo groźne nuty.

– Przekłęci magowie. – Łukasz wygrzebał się z szafy.

– Okazuje się, że profesor miał kartę maga – wyjaśnił zgnębiony Piotrek. – Magowie dostali anonim, że go przetrzymujemy. No i jesteśmy oskarżeni o zamach na godność i nietykalność zarejestrowanego maga.

– Jensa zabrali rycerze Okrągłego Stołu! – poinformowała ich z zaciętym wyrazem twarzy.

– Straszne – biadolił Łukasz. – Straszne! Moja kariera pójdzie w strzępy.

– Urząd pójdzie w strzępy – prorokował ponuro Piotrek. – Tego nam Stowarzyszenie Magów nie daruje.

– Trzeba znaleźć dobrego adwokata – stwierdził Łukasz. – I iść na pełną współpracę. To zawsze dobrze wygląda w sądzie.

– List z przeprosinami – podsunął Piotrek. – Będzie wyglądało jeszcze lepiej.

Monika słuchała ich przez kilka kolejnych minut ze wzrastającym niesmakiem i, co gorsza, wściekłością.

– Czy wy nic nie zamierzacie zrobić?! – wrzasnęła w końcu.

Łukasz i Piotrek, lekko ogłuszeni, zgodnie się do niej odwrócili.

– Z czym? – zapytał mało inteligentnie Piotr.

– Z porwaniem Jensa!

– Aresztowaniem – poprawił Łukasz.

– No więc, co zamierzacie zrobić z aresztowaniem Jensa? – zapytała rusałka, podejrzenie cedząc słowa.

– Krótko mówiąc, nic – odpowiedział uprzejmie Łukasz, lekceważąc złowrogie nutki, wibrujące w jej głosie.

– Nic?! – Monika aż się zachłysnęła. – Jak to, do cholery, nic?! A co z „my nie porzucamy naszych ludzi”?!

– To magowie – wyjaśnił cierpliwie Łukasz. – Z magami się nie zadziera. Można wykiwać mafię, można wykiwać Tajne Służby Magiczne, ale jeśli w sprawę wmieszało się Niezależne Stowarzyszenie

Magów, Czarownic, Wróżbitów, Wróżek i Druidów Polskich, to leżymy martwym karaluchem.

– Martwym bykiem – poprawił Piotrek.

– Mówię, że karaluchem, to znaczy, że leżymy martwym karaluchem – wybuchnął histerycznie Łukasz. – Po martwym karaluchu wszyscy depczą!

– Nie wierzę, że to słyszę! – Monika z trudem dobywała głosu.

– Na moim stanowisku... na moim przyszłym stanowisku – poprawił z naciskiem Łukasz – trzeba uważać, żeby się w coś przypadkiem nie w mieszać. Jedna afera i koniec mojej świetnie zapowiadającej się kariery. Źć propos, co z tłumaczeniem?

Monika wyciągnęła z kieszeni džinsów dyskietkę i pomachała mu przed nosem. Kiedy jednak zwierzchnik wyciągnął po nią rękę, natychmiast schowała dysk za siebie.

– To nie jest śmieszne – zdenerwował się Łukasz.

– Pewnie, że nie – zgodziła się Monika tonem, którego z pewnością nie można było uznać za miły lub łagodny. – Dostaniecie dyskietkę, jak Jens będzie wolny.

– Ha, ha, ha! Oddawaj! – warknął Łukasz.

Na palcach drugiej ręki rusałki błysnęła sieć. Zwierzchnicy zgodnie cofnęli się o krok.

– To jest napaść na dyrekcję – zdenerwował się Piotrek. – Nie pozwalaj tu sobie, bo zaraz zawołam ochronę.

– Przypominam uprzejmie, że ja oficjalnie jestem magiem. – Monika zmrużyła oczy. Nagle i zupełnie niezależnie od siebie obaj jej przełożeni doszli do wniosku, że panna z bagien może być istotą wyjątkowo dziką i niebezpieczną. – Nie radzę podskakiwać, bo oskarżę was o napaść.

– Czego ty od nas wymagasz?! Na dobrą sprawę nawet nie wiemy, gdzie szukać! – zirytował się Łukasz. Wciąż jednak zachowywał bezpieczną odległość i usilnie starał się robić wrażenie skłonnego do negocjacji. – Przy dobrych wiatrach może jeszcze zdążylibyśmy się z nim pożegnać. Nie damy rady go uwolnić!

Rusałka zastanowiła się chwilkę, po czym obrzuciła obu panów

krytycznym spojrzeniem.

– Rzeczywiście – schowała dyskietkę z powrotem do kieszeni. – Będę musiała poszukać jakiegoś prawdziwego bohatera.

– Odbiło ci? – zgorszył się Łukasz. – To nie piosenka Bonnie Tyler! Możesz sobie czekać na bohatera, możesz go nawet szukać, ale wątpię, żeby w książce telefonicznej był dział BOHATEROWIE.

– Też wątpię – zgodziła się Monika nad podziw spokojnie. – Na szczęście jeden numer telefonu znam.

– Zostaw chociaż dyskietkę – zawołał za nią Łukasz, kiedy wychodziła.

– Nie ma mowy. – Rusałka zatrzymała się w progu. – To moja gwarancja, że przypadkiem nie pójdziecie na daleko posuniętą współpracę z magami i nie powiecie im, że zamierzam odbić Jensa.

– Zwariowała – jęknął Piotrek.

– Zwariowała, nie zwariowała, kryć ją trzeba. – Łukasz wygrzebał z kieszeni komórkę. – Bo inaczej szlag trafi moją karierę. Ale sobie z tym zabezpieczeniem wykombinowała. Skąd takie pomysły?

– Z amerykańskich filmów – wyjaśnił przygnębiony Piotrek. – Słuchaj, czy ty też słyszałeś Wagnera? – zapytał niepewnie.



Dopiero przed Urzędem, kiedy chłodny wiaterek wionął jej w twarz, Monika uświadomiła sobie, że właściwego numeru telefonu tak naprawdę nie zna, ale wie, gdzie go zdobyć. W związku z tym zadzwoniła po radio-taxi. Po piętnastu minutach była na miejscu. Ledwo zdążyła zapłacić i wysiąść przed dworkiem w stylu Sopliców, kiedy radośnie powitał ją Idéefix, przeskakując dwumetrowy płot i lądując prosto w jej ramionach.

– Też się cieszę – poinformowała go rusałka, wciskając dzwonek przy furtce.

Furtka otworzyła się samoczynnie. Monika pewnym krokiem weszła do ogródka, jednak owa pewność siebie nieco wklęsa, kiedy rusałka dostrzegła uchylone drzwi do domu. Ten widok budził niezbyt

przyjemne skojarzenia. Na wszelki wypadek postawiła Idéefiksa na ziemi i zaczęła pleść sieć.

W holu panował półmrok, ale nie było śladu żywej duszy. Monika ostrożnie przestąpiła próg. Za sobą usłyszała jakiś szelest. Odwróciła się na pięcie, odchyliła skrzydło drzwi i zamierzyła się siecią.

– Nie! Nie, to tylko ja! – pisnął ciemny kształt głosem Oleńki.

Rusałka nawinęła sploty z powrotem na rękę.

– Odbiło ci? – zapytała kwaśno.

– Nie odbiło. – Oleńka wygrzebała się zza drzwi i otrzepała czarną pelerynę. – Wracam do korzeni.

– Chowając się za drzwiami? – zdziwiła się Monika.

– W ciemności, zimnie i mroku lęły się pierwsze wampiry – oznajmiła z godnością Ola.

– Rzeczywiście. – Rusałka zadrżała. – Jakoś tu zimnawo.

– Już podkręcam klimatyzację. – Wampirzyca podkasła płaszcz i podeszła do przełącznika. – Może być dwadzieścia cztery stopnie?

– Może, byleby było na plus, nie minus.

– Staram się wczuć w klimat. – Ola wyglądała na lekko zniechęconą. – No wiesz, odnaleźć prawdziwą wampirzą siebie.

– I jak idzie? – zaciekawiała się mimowolnie Monika.

– Marnie. Chciałam zamieszkać w piwnicy, ale tam mamy areszt tymczasowy dla nielegalnie przekraczających granicę, tę, której Jagienka pilnuje. Z kolei na strychu od rozwodu Jagienka trzyma rzeczy Michała i na mnie nie ma już miejsca. Przemalowałam sobie pokój na fioletowo, ale trumny mi nie pozwolili wstawić. No i jeszcze nie mam kiedy pójść na polowanie – westchnęła ciężko.

– Masz na myśli polowanie na ludzi? – zapytała delikatnie ruszałka.

– No a na kogo? Brzmi wprawdzie obrzydliwie, ale chociaż bym chciała spróbować, jak to jest. Tylko ani słowa Michałowi – jęknęła Oleńka błagalnie. – On tego nie pochwała, już mnie wysłał do Anonimowych Krwiopijców na terapię.

– I jak było?

– Dziwacznie. Ja i dwudziestu polityków. Kiedy przysłała moja kolej na

opowiedzenie o sobie, wszyscy uciekli. Przykre.

– Tragiczne – zgodziła się Monika.

– Myślisz? – zainteresowała się gwałtownie Ola. – Tragiczne... To nawet dobrze pasuje do wampira. Mój tragiczny wampirzy los – zadeklamowała patetycznie. – A tak w ogóle, to Idéefix znowu coś połąnął?

– Nie tym razem – uspokoiła ją rusalka. – Szukam Michała. Jest tu może?

– On tu właściwie już nie mieszka – poinformowała ją Ola. – Chociaż Jagienka mówi, że łatwiej by się było pozbyć pluskiew i karaluchów niż jego. Strasznie często tu bywa. Ale mogę ci dać numer telefonu. – Z zakamarków płaszcz wygrzebała komórkę.



## Rozdział 11

**M**am powiedzieć ci, że żaby tego nie pochwalają – powiedział grobowym tonem Ślipiak.

– Czego? – Monika podniosła głowę znad plecaka.

Była jeszcze odrobinę nieprzytomna. Wstawanie o szóstej rano negatywnie wpływało na ogólny stan jej organizmu i jakość reakcji.

– Wyjazdów o poranku w towarzystwie podejrzanego typu. Uważają, że to psychopatyczny morderca, który cię udusi i zakopie w lesie na trasie Lublin-Lubartów.

Rusalka wysiliła intelekt, co o tak wczesnej porze było zadaniem mocno ponad jej siły.

– Do Krakowa nie jedzie się przez Lubartów – stwierdziła.

– No to na trasie Lublin-Kraśnik. – Wodnik lekceważąco machnął ręką pod adresem subtelności geograficznych. – W każdym razie uważają, że nie powinnaś jechać.

– To niech jadą zamiast mnie – zaproponowała gniewnie Monika. O poranku jej cierpliwość też nie była najwyższej próby. – Wcale mi się nie uśmiecha robienie za zbrojną odsiecz, ale jeśli my nie wyciągniemy Jensa z aresztu magów, to nikt tego nie zrobi. A nie zamierzam go tam zostawić! – zakończyła z mocą.

– Przecież wiem – westchnął Ślipiak. – Ale żaby...

– Nie mają tu nic do gadania – ucięła rusalka. – Podlewajcie kwiatki, jak mnie nie będzie. A! – przypomniała sobie. Z kieszeni dzinsów wyciągnęła dyskietkę. Wręczyła ją wodnikowi. – Pilnuj jej – poleciła. – Jak oka w głowie albo jeszcze lepiej. Mogą przyjść z Urzędu i o to pytać – ostrzegła. – Wtedy powiedz, że nic nie wiesz. Albo jeszcze lepiej daj im to. – Wyrwała z notesu kartkę i zapisała na niej numer telefonu. –

Powiesz, że to dla Łukasza, numer tej wampirzycy, co mu wpadła w oko. Tylko powiedz to głośno.

– Dobra. – Ślipiak troskliwie schował dyskiety i karteczkę.

– To pa. – Cmoknęła go w czubek głowy i zarzuciła plecak na ramiona.

– Żaby jeszcze mówiły... – zaczął wodnik, Monika spojrzała na niego krzywo – ...żebyś im kupiła pod Wawelem miniaturkę smoka wawelskiego. Podobno są z nim spokrewnione – dokończył.

– Nie ma sprawy. – Rusałka z trudem podniosła plastikowy kanister stojący przy drzwiach i wyszła. Ślipiak zamknął za nią drzwi.



Piotrek zatrzymał samochód i spojrzał z obawą na blok, do złudzenia przypominający niewielki bunkier.

– Powinieneś iść tam za mnie – wytknął Łukaszowi. – Albo przynajmniej ze mną.

Ukryty na tylnym siedzeniu za przyciemnianymi szybami i zupełnie czarnymi szklami okularów Łukasz wdrygnął się nerwowo.

– Mnie tu nie ma – przypomniał. – I oficjalnie nigdy nie było. Cała ta sprawa to wynik obłędu jednego z pracowników lubelskiego oddziału.

– Monika miała rację – westchnął Piotrek. – Postępujemy nie *fair*.

– Życie nie jest *fair* – pouczył go Łukasz. – Przestań się martwić o Jensa, a zacznij o własną skórę i karierę. A w ogóle to idź już. Im szybciej będziesz miał to za sobą, tym lepiej.

Piotrek westchnął jeszcze raz, tym razem naprawdę ciężko i głęboko, wysiadł z samochodu i wszedł do bloku. Zatrzymał się przed drzwiami na drugim piętrze, wymacał w kieszeni kulki *feng shui* i obrócił je kilka razy w dłoniach, tak dla uspokojenia. Potem zapukał.

Otworzyła mu meduza, ale na to był psychicznie przygotowany. Przynajmniej tak mu się wydawało. Przewornie odgradził się od niej solidnym wiechem kwiatów.

– Ja do profesora Tubisia – oznajmił mężnie. – Z Urzędu Skarbowego

z oficjalnymi przeprosinami.

Meduza spojrzała na niego nieufnie i złowrogo, ale za próg wpuściła. Odebrała mu bukiet i oddaliła się bez słowa. Pozostawiony sam sobie Piotrek trafił do pokoju, w którym w fotelu siedział profesor.

– W imieniu całego Urzędu Skarbowego a także władz państwowych chciałbym wyrazić głębokie ubolewanie z powodu nieprzyjemnego incydentu... – zaczął recytować Piotrek.

– Nieważne, nieważne. – Profesor poderwał się z fotela. – Co z księgą?

– Księgą? – lekko zająknął się Piotrek.

– Księgą, księgą pełną starożytnych liter, wielkim zabytkiem historycznym – rozmarzył się profesor. – Miałem wrażenie, że ją widziałem, tłumaczyłem... A może to był tylko sen? – zawahał się. – Piękny, nierealny sen?

– Odurzenie narkotykowe – podchwycił Piotrek. – Niestety, został pan odurzony. Stąd zapewne te omamy o starożytnych tekstach.

– Omamy... – Załamany profesor opadł na fotel. – Tylko omamy!

– Jakie omamy? – zapytała podejrzliwie meduza, wnosząc do pokoju wazon z kwiatami. – Przecież byli tu jacyś, mówili o starożytnych tekstach czy jakoś tak. Jak ich opisałam Witusiowi, to od razu wiedział, że to Skarbówa.

– Jakiemu Witusiowi? – zainteresował się Piotrek.

Meduza pospiesznie zamilkła, a profesor pograżył się w rozmyślaniach.

– Wituś... Wituś... A! – przypomniał sobie. – Mój serdeczny kumpel ze szkoły podstawowej, Wituś Magik! Ileż myśmy razem przeszli – rozczulił się. – Ostatnio była w Lublinie jego córeczka. Ależ ona wyrosła. Też pytała o jakieś starożytne księgi... A może to też był tylko narkotyczny omam? Muszę się położyć. Nie najlepiej się czuję i do tego w głowie mi ciągle huczą pieśni legionowe.

– To ja już pójdę – powiedział pospiesznie Piotrek, zostawił na stole oficjalne pismo z przeprosinami i zwiął.

Na widok podwładnego, wybiegającego z klatki schodowej, Łukasz zablokował drzwiczki i wcisnął się głębiej w tylne siedzenie.

– Otwieraj. – Piotrek załomotał w szybę. – Otwieraj! – Ponieważ ani

łagodnie, ani brutalnie perswazje nie odniosły skutku, przeteleportował się na fotel kierowcy. – Przestań się wygłupiać! – Szturchnął zwierchnika. – Mamy niusy!

Łukasz zerknął zza czarnych szkieł. Ponieważ mało przez nie widział, zdjął okulary i zerknął jeszcze raz.

– Chcą nas pozwać? – zapytał tonem tragicznym.

– Nie. To jest, nie wiem, ale to nieważne.

– A co jest ważne? – jęknął Łukasz.

– Chyba wiem, kto na nas nakablował. – Łukasz nadstawił uszu. – Znasz niejakiego Witusia Magika? Albo jego córkę?

Łukasz zamyślił się głęboko.

– Nie przypominam sobie. Myślisz, że to oni na nas donieśli?

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

– W takim razie uruchamiam kumpli z CBMS – zdecydował Łukasz, sięgając po komórkę.



Solidny korek, który zaczynał się już na obrzeżach miasta, zmusił pana Sprawiedliwość do zdjęcia nogi z pedału gazu, co Monika powitała dziękczynnym westchnieniem.

– Drogówka już za nami nie jedzie? – zapytała.

– Odpadli za Annopolem. Pilotuj.

– Dokąd?

– Na Wawel.

– Magowie mają swoją siedzibę na Wawelu? – Zdziwiona rusałka podniosła głowę znad mapy. – To już szczyt megalomanii.

– Nie na Wawelu, ale blisko. – Pan Sprawiedliwość nie odrywał wzroku od sytuacji na drodze. – Tu skręcić?

Monika w popłochu zerknęła na mapę.

– A konkretnie gdzie chcesz dojechać, na dziedziniec na Wawelu czy wystarczy ci parking obok?

– Wystarczy parking.

– To skręcaj. – Monika oparła się o zagłówek i odetchnęła głęboko. Wciąż czuła, jak ze zdenerwowania żołądek zwija jej się w małą kulkę. Jednocześnie od chwili, gdy Michał zgodził się jej pomóc w tej szalonej eskapadzie, czuła się znacznie spokojniejsza. Pan Sprawiedliwość stanowczo lepiej orientował się w zwyczajach magów niż jej zwierzchnicy i miał o wiele więcej woli działania. Może uznał, że w ten sposób zapewni sobie milczenie rusałki w temacie niefortunnego wypadku Oleńki, a może po prostu nie lubił magów. Dopiero wieczorem, kiedy bezskutecznie próbowała zasnąć, skojarzyła, że przecież sprawa Jensa idealnie wpisywała się w ramy działalności Michała. Jens był przecież kolejną ofiarą bezkarności magów. Nie, poprawiła się w myślach, Jens miał być ofiarą, ale ona, Monika, nigdy do tego nie dopuści. Zaciśnęła spotniałe dłonie na mapie. Byleby tylko zdążyli. Może nie należało dawać wiary zapewnieniom Michała, że czasu jest wystarczająco wiele? Może już jest... Nie, nie wolno jej tak myśleć! Zwilżyła czubkiem języka wyschnięte nagle usta. Uda się. Wszystko będzie w porządku. Musi być w porządku! I żadnych, absolutnie żadnych czarnych myśli!

Bez trudności trafili pod Wawel. Kiedy Michał parkował, Monika wychyliła się, żeby przeczytać tabliczkę z nazwą ulicy.

– Smocza – przeczytała, starając się opanować drżenie głosu. – Fajna nazwa.

– Odpowiednia – zgodził się pan Sprawiedliwość. – Zostaw – powiedział, kiedy rusałka chciała sięgnąć do bagażnika po swoje rzeczy. – To na razie rekonesans, jeszcze nie akcja.

– To może pospieszmy się z tym rekonesansem – zaproponowała Monika. – Jens tam czeka.

– Cierpliwości. Takich rzeczy nie można załatwiać od ręki. Niepotrzebny pośpiech może wszystko zepsuć – pouczył ją pan Sprawiedliwość. – Kobiety! Słowa „już” i „jeszcze” to podstawa waszego słownika! Nie martw się, nie urwą mu tej wysmarowanej żelazem głowy, zanim nie będą pewni, że sprawa nabrała odpowiedniego rozgłosu. Muszą dbać o *image*.

Rusałka mruknęła pod nosem coś, czego za nic nie powtórzyłyby głośno, i ruszyła za nim na Wawel.

Mimo wczesnej pory co chwila mijali mniej lub bardziej zorganizowane grupki turystów rodzimych i obcych. Z góry rozpościerał się widok na pół Krakowa, z Kopcem Kościuszki włącznie. Niewątpliwie piękno owej panoramy nie zrobiło na rusałce większego wrażenia. Szła krok w krok za Michałem, pogrążona w niewesołym milczeniu do chwili, gdy dojrzała budynek stojący po przeciwnej stronie Wisły. Cud socjalistycznej architektury wyglądał, jakby zbudowano go tylko i wyłącznie po to, żeby po upadku socjalizmu wieszać na nim reklamy, których zwiedzający zamek turysta nie miał szans przegapić. Reklama aktualna łechtała dumę narodową Polaków i opiewała ich umiejętność warzenia jednego konkretnego gatunku piwa. Wokół budynku latały chmary jaskółek.

– O rany, ale paskudztwo! – Wyraz twarzy rusałki niewiele miał wspólnego z zachwytem. – Co to niby jest?

– Siedziba Niezależnego Stowarzyszenia Magów, Czarownic, Wróżbitów, Wrózek i Druidów Polskich – wyjaśnił uprzejmie Michał.

– Z takim billboardem?! – zdziwiła się Monika. Nie spodziewała się po magach aż takiego zamiłowania do chmielowego trunku.

– Dorabiają sobie, wynajmując powierzchnie reklamowe.

– Te jaskółki też od nich wynajmują miejsca na gniazda?

– Nie, te jaskółki to świetnie wyszkoleni i świetnie opłacani ochroniarze.

– Są ich co najmniej dwie setki. – Rusałka wyteńczyła wzrok. – Jak my tam wejdziemy?

– Mam tu swojego... ehmm... człowieka. Jest mi winien przysługę. Już na nas czeka.

– To chodźmy. – Monika z przyjemnością odwróciła się tyłem do maszkarowanego budynku.

– Nie tędy – zawrócił ją pan Sprawiedliwość. – Zejdziemy przez Smoczą Jamę.

– Niby po co? – zaprotestowała rusałka. – To nie pora na zwiedzanie.

Michał nie słuchał jej i już kupował bilety w pseudonowoczesnym automacie.



– W tej Smoczej Jamie naprawdę nie ma nic do oglądania – narzekała, kiedy schodzili w dół. W zasadzie niewiele ją obchodziła ewentualna atrakcyjność miejsca, ale musiała dać ujście narastającej frustracji. Albo się udusić. – Tylko schody, schody, schody, jeszcze więcej schodów i jakieś sto czy dwieście metrów jaskini. Żeby chociaż z ciemności wyłaniał się nieoczekiwanie smok.

Pan Sprawiedliwość zszedł z głównej ścieżki turystycznej i podszedł do skalnej ściany. Nieprzerwanie marudząc, Monika szła za nim, przeciskając się przez wąski, prawie niewidoczny przesmyk.

– O, tu nie byłam – zdążyła się zdziwić, gdy z ciemności wyłonił się nieoczekiwanie smok. Rusałka wrzasnęła głośno, ale krótko, bo Michał zakrył jej ręką usta.

– Ciii! – syknął nerwowo.

– Spoko – powiedział smok. – Bachory tak się przez cały czas drą, że na jeden wrzask więcej nikt nie zwróci uwagi.

Monika nie próbowała już krzyżeć, tylko wbiła w smoka spojrzenie wytrzeszczonych oczu.

– Wiesz, o co chodzi... – zaczął pan Sprawiedliwość.

– Wiem, dostałem twojego SMS-a. – Smok wygrzebał skądś komórkę.

– Swoją drogą, masz tupet, esemesować o pierwszej w nocy. Zapomniałem ściszyć dzwonek i jak poszło po jaskini echo sygnału, to myślałem, że mi łeb pęknie.

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy – udobruchał się smok. – A ta laska to dla mnie do zjedzenia? Żartowałem – dodał, spoglądając na pobladłą rusałkę i zerechotał tak, że aż jaskinia się zatrzęsała.

– Ale masz wyrafinowane poczucie humoru. – Monika wykrzywiła się w nieszczerym uśmiechu. Przez moment zastanawiała się, czy do świeżo

nabytego egalitaryzmu nie powinna dodać i odrobiny ksenofobii. Dlaczego, do diabła, nikt poza nią nie dostrzegął powagi sytuacji? – A wyglądasz zupełnie jak ta powykręcana, ziejąca ogniem pokraka na pomniku – warknęła.

– Reumatyzm – westchnął smok. – Jak będziesz miała tyle lat co ja, to też tak będziesz wyglądać.

– Do rzeczy – ponaglił Michał.

– Już, już. – Smok wsadził na nos okulary i podstawił sobie pod nos kalendarzyk kieszonkowy. – Zapisalem, żeby nie zapomnieć. Jaskółki zmieniają się za trzy dwunasta. Za dziesięć dwunasta zrobię zamieszanie i odciągnę pierwszą zmianę. Zanim przyleci druga, macie niecałe siedem minut na dostanie się do budynku. W środku będziecie musieli poradzić sobie sami.

– Masz zamiar pożreć te jaskółki? – burknęła rusalka.

– No co ty... – Smok wykrzywił się z odrazą. – Od czasu tej historii z owcą żywię się tylko w renomowanych restauracjach. Jaskółki tu przylecą, jak zrobię małą rozróbę... Zionę ogniem, ryknę na turystę, takie rzeczy...

– Nie będziesz miał nieprzyjemności? – zapytała Monika. Trochę zrobiło jej się niewyraźnie, w końcu smok był po tej samej stronie barykady. A że nie szalał z niepokoju? Jego z pewnością nie dręczyły paskudne przecucia.

– O, ale troskliwa – rozczulił się smok. – Nie martw się, niunia, dla tamtych też jestem zabytek. Rentę mi co miesiąc wypłacają – pochwalił się. – Jak przylecą jaskółki, to powiem, że mi w krzyżu łupnęło albo jakiś szcyl nadepnął na mój ogon, dokładnie na ten pęcherzyk, co mi się zrobił w tysiąc osiemset dwudziestym trzecim. Nie tylko nie będę miał nieprzyjemności, ale jeszcze mi masażystkę zorganizują – zarechotał radośnie. – No idźcie już, bo nie zdążycie na godzinę zero.

Posłusznie wrócili na szlak turystyczny i wyszli ze Smoczej Jamy.

– Ty mu załatwiłeś tę rentę? – spytała domyślnie rusalka.

– Wystarczyło przycisnąć parę osób. W końcu to inwalida. I zawsze dobrze mieć swojego człowieka na Wawelu. Magowie dbają o niego jak



o śmierdzące jajko, bo dodatkowo mogą go sobie wpisać w działalność ekologiczną. „Wymierający gatunek w naszych troskliwych rękach” i tym podobne teksty. Umieszczają jego fotki na swoich kartkach świątecznych.

– I pewnie odliczają sobie to wszystko od podatku – dodała chmurnie Monika.

– Z całą pewnością. – Michał otworzył bagażnik i wyjął z niego czarną torbę. Rusałka zarzuciła plecak na ramię i dzwignęła kanister.

– Woda święcona na nic ci się tam nie przyda – zwrócił jej uwagę pan Sprawiedliwość.

– To nie woda święcona – odparła twardo.

– Sama będziesz to targać – ostrzegł.

– Od początku brałam tę możliwość pod uwagę – uświadomiła go Monika sarkastycznie. – Chodź prędzej, już za dwadzieścia pięć.

Po przejściu przez Most Grunwaldzki zeszli nad brzeg Wisły i starali się nie rzucać w oczy. Nie było to łatwe.

– Niby fajnie, że nie ma tu krzaków, bo żaden bandyta się wieczorem nie przyczai – westchnęła rusałka. – Ale schować się też nie ma gdzie. O dyskretnych podchodach nie ma co marzyć.

– Gdyby nie ten twój kanister, wyglądalibyśmy całkiem normalnie – zwrócił jej uwagę Michał. – Co ty tam właściwie masz?

– Deszczówkę.

– Deszczówkę? – Pan Sprawiedliwość osłupiał. – Po co ci deszczówka?

– Poczekaj, zobaczysz – odburknęła Monika. – Jest już za jedenaście.

Wolnym krokiem zbliżali się do budynku. Gdyby nie kanister rusałki, można by ich było wziąć za zwykłych spacerowiczów. Jaskółki obserwowały ich podejrzliwie. Co chwilę jedna z nich startowała, by zatoczyć nad Moniką i Michałem zgrabne kółeczko i przez moment przyjrzeć się bliżej dziwnej parze. Rusałka nerwowo przełknęła ślinę, nie bardzo sobie wyobrażała, do czego jest zdolna ochrona złożona z jaskółek, ale wcale nie chciała się dowiadywać. Nagle całą okolicą wstrząsnął wydobywający się gdzieś z głębi ziemi ryk. Wszystkie ptaki jak na komendę poderwały się do lotu.

– Prawie jak trzęsienie. – Rusałka z trudem utrzymała równowagę. Jaskółki zwartą chmarą poleciały nad Wawel.

– Teraz! – Michał rzucił się w stronę przeszklonego przedsionka. Targająca kanister Monika potruchtała za nim.

– Ale masz sprzęt – mruknęła, obserwując, jak wycina okrągły otwór w brudnej szybie i ustawia lusterka antyzakłëciowe. – Prawie jak James Bond.

– Lepszy. – Pan Sprawiedliwość otworzył drzwi, wszedł do środka i zamknął je starannie za rusałką. – Stój w miejscu i nie ruszaj się – polecił. – Tu wszędzie mogą być alarmy.

Monika posłusznie zamarła, ściskając kanister, i czekała, aż Michał skończy z powrotem mocować wycięty krążek szkła przy pomocy taśmy klejącej.

– Gotowe. Z zewnątrz nie powinni zauważyć, że weszliśmy – stwierdził z zadowoleniem.

– Ani się waż drgnąć. Muszę wykryć i rozbroić zakłëcia. – Wyciągnął z torby coś na kształt trzepaczki, wydające z siebie monotonne popiskiwania. Drobnymi kroczkami zaczął przemierzać przedsionek.

– Przecież ja je mogę wykryć o wiele szybciej – odezwała się po chwili skupionego milczenia Monika.

– To jest zaawansowana magia – oznajmił pobłaźliwie pan Sprawiedliwość. – Deszczówka ani uroki rusałki tu nie pomogą.

– Jestem zarejestrowanym magiem – powiedziała sucho Monika. – Co, zapomniałam ci o tym wspomnieć? Chyba zapomniałam. Trzymaj. – Stanowczym gestem wcisnęła mu kanister. – Z rozbrojeniem mogę sobie nie dać rady, ale wykrycie to żaden problem – zaczęła splatać zakłëcie.

– Proszę bardzo, pokaż, co potrafisz. – Michał wykonał zapraszający gest. A raczej miał zamiar. Uniósł z rozmachem ramię i wtedy rączka kanistra wyslizgnęła mu się z palców.



Rozmawiający przez komórkę Łukasz prezentował różne podejrzone stany, na przemian bladł i czerwieniał, prawie dostawał spazmów i wyduszał z siebie tylko jakieś chrząknięcia. Wszyscy urzędnicy przerwali pracę i przypatrywali mu się w pełnym zgrozy zdumieniu. Ktoś przyniósł szklanekę wody, ktoś zaparzył kawę, ktoś wyciągnął aspirynę, a ktoś prozac. Kiedy Łukasz skończył rozmawiać, miał przed sobą pełen zestaw środków uspokajających. Zabrakło tylko tych wysokoprocentowych, bo z posiadaniem czegoś takiego w miejscu pracy nikt nie chciał się ujawniać.

Z szerokiego asortymentu Łukasz wybrał wodę, wypił ją, popijając kawą, i w końcu opadł na fotel w gabinecie Piotrka. Opadł tylko na chwilę, bo zaraz wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem.

Piotrek starannie zamknął drzwi i spojrzał z obawą na zwierzchnika.

– Co jest? – zapytał nieśmiało.

– Wiesz, kto na nas doniósł?! Wiesz?! – wybuchnął Łukasz.

– Nie wiem – przyznał się Piotrek.

– Mafia!

– Mafia? – nie zrozumiał Piotrek.

– Tak! Mafia! – potwierdził dramatycznym tonem Łukasz. – Do czego to dochodzi w tym państwie, żeby mafia pisała donosy na Urząd Skarbowy?! To ma być demokracja?! – Poczerwieniał tak, że Piotrek chwycił pismo z ministerstwa i zaczął go wachlować.

Po jakichś pięciu minutach Łukasz odzyskał w miarę zdrowe kolorki.

– Ten cały Wituś Magik – zaczął – to warszawski boss. A córeczka to Czarna Kasieńka, jego straszak na niepokornych.

– Gdzieś nam się tu warszawska mafia plątała – skojarzył Piotrek.

– Już się nie będą plątać – oznajmił zimno Łukasz. – Zadarli z niewłaściwym Urzędem!

– Mieliśmy się już w nic nie mieszać ze względu na magów – przypomniał nieufnie Piotrek.

– Tu chodzi o nasz honor, rozumiesz? – Łukasz złapał go za koszulę i potrząsnął energicznie. – O dobre imię Urzędu Skarbowego, wykute w mrokach dziejów przez tysiące bezimiennych Poborców! Oni teraz na

nas patrzą i pytają, czy damy się wodzić za nos jakiemuś domoroślemu Capone! A odpowiedź brzmi: NIE DAMY SIĘ! Dzwon do Moniki – dodał już normalnym tonem.



Wokół panowały nieprzeniknione ciemności. I cisza, którą mącił jedynie odległy odgłos kapiącej wody. I rwący się oddech Moniki. Zamrugała oczyma. Wydawały się być w porządku, a jednak nie mogła nawet dostrzec własnych kolan, podciągniętych niemal pod brodę. Ostrożnie wyciągnęła rękę. Nic. Wyciągnęła drugą. Też nic. Siedziała skulona na zimnym i wilgotnym kamieniu, otoczona przez pustkę i ciemność.

– Michał? – odezwała się niepewnie. Głos zabrzmiał dziwnie głucho i wrócił nikłym echem. Żadnej odpowiedzi.

Kucnęła ostrożnie, odruchowo starając się zajmować jak najmniej miejsca i jeszcze raz wyciągnęła powoli ręce, najpierw przed siebie, potem na boki, wreszcie do góry. Nic.

A jednak musiały tu być jakieś ściany, czuła to. I słyszała.

– Michał? – zawołała półgłosem. Znów to samo. Dziwny pogłos i żadnej odpowiedzi.

Opadła na kolana i przesunęła się o krok do przodu, badając drogę wyciągniętą przed siebie ręką. Zdrętwiałe palce wciąż trafiały na zimny i wilgotny kamień. Przesunęła się jeszcze kawałek. I jeszcze. Za czwartym razem jej dłoń trafiła na przeszkodę. Coś chlupnęło cichutko. I zanim Monika zdążyła się wystraszyć jeszcze bardziej, dotarło do niej, że właśnie znalazła swój kanister. Pełen deszczówki.

Niemal osłabła z ulgi. Natychmiast też przypomniała sobie, po co targała tutaj ten baniak. Czary rusałek! Skinieniem dłoni przywołała błędny ogień.

Znajdowała się w jakimś korytarzu, na pozór wydrążonym w litej skale, jednak wstrętny liszaj, a może pleśń, pokrywający ściany mógł zasłonić spoiny i kontury kamiennych bloków. Korytarz nie był szeroki. Gdyby

przesunęła się o krok w którąkolwiek ze stron, trafiłaby na ścianę.

Ruchem ręki wysłała błękitny płomynek do góry, oświetlając łukowate sklepienie. Teraz widziała już, że kilka kroków dalej korytarz zakręca ostro, nie to jednak przykuło jej uwagę. Tuż przy załomie leżał Michał. W niebieskim świetle błędnego ognika jego twarz wydawała się nienaturalnie blada.



Po tym, jak Łukasz dziesiąty raz wcisnął nerwowo przycisk domofonu, ten odpadł.

– No świetnie – zirytował się Łukasz. – Jak teraz nam otworzą?

– Myślę, że gdyby byli w domu, to już by nam dawno otworzyli – zauważył Piotrek. – Może nie za pierwszym, ale za drugim dzwonkiem na pewno.

– Hmm... – Łukasz nie wyglądał na przekonanego. – A tak w ogóle, to dlaczego oni mieszkają razem?

Piotrek wzruszył ramionami.

– Nie wiem. I nie chcę wiedzieć.

– Nie obchodzi cię, dlaczego twoi pracownicy mieszkają razem i do tego jeszcze z wodnikiem i płazami?

– Nie obchodzi – stwierdził twardo Piotrek. – I tak mam z nimi dużo kłopotów, jakbym się za bardzo interesował, to może miałbym więcej.

– Niech ci tam będzie. – Łukasz uznał argumenty. Faktycznie, ci pracownicy należeli do wyjątkowo kłopotliwych, lepiej było nie kusić losu. – Które to mogą być okna?

Piotrek zadarł głowę i spróbował policzyć.

– Te – pokazał placem. – Albo tamte. Teleportujemy się po prostu na klatkę schodową – zaproponował. – Znajdziemy właściwe drzwi, w przeciwieństwie do okien są ponumerowane.

– Dobry pomysł – pochwalił Łukasz.



- Zły pomysł – wysapał chwilę później. – Bardzo, bardzo zły pomysł!!!
- dodał, gdy wbiegli na szóste piętro. – Goni nas?
- Piotrek trwożnie zerknął przez poręcz.
- Chyba nie.
- Łukasz też odważył się zerknąć.
- Ależ te staruszki mają krzepę – jęknął. – A jaki wymach. Moglibyśmy je zatrudnić zamiast grupy specjalnej.
- Może lepiej nie – sapnął Piotrek z obawą.
- Może lepiej i nie – zgodził się Łukasz. – Zapisz gdzieś, że przed teleportowaniem się na drugą stronę drzwi trzeba sprawdzić, czy nie schodzi akurat po schodach uzbrojona staruszka.
- Nie była uzbrojona. Miała tylko siatkę.
- Straszna broń obuchowa! – stwierdził Łukasz i wzdrygnął się nerwowo. – Czuję jak mi siniak rośnie.
- Ja widzę, jak ci siniak rośnie – zauważył Piotrek. – Bardzo ładne kolorki. Pasują ci do krawata.
- Dwa piętra niżej zastukały obcasiki.
- Chodu! – wrzasnął Łukasz.
- Stój. – Piotrek złapał go za rękaw. – To te drzwi.
- Zwierzchnik rzucił się na nie i załomotał pięściami.
- Otwierać!!! – wrzasnął. – No pomoc!!! Otwierać!!! Ratunku!!!
- Idzie tu! – panikował Piotrek.
- Pod wpływem łomotów i krzyków drzwi uchyliły się odrobinę i w szparze pojawiło się błękitne oko Ślipiaka. Łukasz i Piotrek zgodnie rzucili się do tej szpary, wyrwali łańcuch, wdarli się do środka, stratowali wodnika i zatrzasnęli za sobą drzwi.
- Nareszcie – westchnął z ulgą Łukasz. Upewnił się przez wizjer, że staruszka poszła wyżej, odwrócił się i w tej samej chwili oberwał patelnią w twarz.



Mimo że sklepienie znajdowało się dość wysoko, Monika nie ośmieliła się wyprostować. Przez moment przed oczyma zamajaczyła jej scena z jakiegoś filmu. Taki sam wąski korytarz i umieszczone w ścianach pułapki na nieproszonych gości.

Dotarła do Michała na czworakach. I natychmiast przywarła uchem do jego piersi. Równomierne kołatanie serca zabrzmiało w jej uszach jak najpiękniejsza muzyka. Był tylko nieprzytomny.

Niewiele myśląc, ruszka cofnęła się po porzucony kanister i ciągnąc go niezgrabnie za sobą, wróciła do leżącego towarzysza. Zaczynały ją już boleć kolana.

Ostrożnie odkręciła baniak i chlapnęła Michałowi w twarz deszczową wodą. Pan Sprawiedliwość przez chwilę walczył o oddech.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał wreszcie, kiedy już zyskał pewność, że się nie topi.

– Nie mam pojęcia. – Ruszka popatrzyła na niego bezradnie. Michał usiadł, jęknął i złapał się za głowę. Pod palcami wyczuł gigantycznego guza.

– Musiałem w coś uderzyć – mruknął, bardziej do siebie niż do Moniki. – Ostatnie, co pamiętam, to lecący kanister i szmaragdowy błysk. Chyba udało nam się uruchomić jakąś pułapkę.

– Zakłęcie teleportacyjne – stwierdziła ruszka ponuro. Pan Sprawiedliwość rozejrzał się dokoła.

– Jesteś ponoć magiem, to wyteleportuj nas stąd. Najlepiej z powrotem do tego holu – zażądał.

– Chyba żartujesz! – prychnęła Monika. – Nikt ci nie mówił, że nie wolno teleportować się w ciemno? Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy, więc nie wiadomo, gdzie wylądujemy!

Michał podniósł ręce w obronnym geście.

– Nie denerwuj się, nie wiedziałem. Jagienka bez przerwy się teleportuje, bez ograniczeń – usprawiedliwił się.

– Przykro mi, jestem ruszką, a nie demonem... – urwała w pół słowa.

Popatrzyli na siebie z identycznym błyskiem w oku.

– Jagienka! – powiedzieli jednocześnie. Michał wyszarpnął z kieszeni komórkę, pospiesznie aktywował klawiaturę.

– Nie ma zasięgu! – stwierdził rozczarowany. Popatrzył ponuro na rusałkę. – Wygląda na to, że jesteśmy zdani sami na siebie...

W oczach Moniki błysnęły łzy.

– Jens – szepnęła.

– Może jeszcze zdążymy. Chodź, nie marnujmy czasu. – Michał wyciągnął do niej rękę.



Z otchłani niebytu wyrwały Łukasza pełne troski głosy.

– Żyjesz? – pytał dość natarczywie Piotrek. – Dobrze się czujesz?

– Żyję – mruknął Łukasz. – Nic mi nie... Oślepiłem! – krzyknął nagle.

– Nic nie widzę! Oślepiłem!

– Spoko – powiedział Ślipiak. – To tylko schabowe. – Zdjął Łukaszowi z twarzy mrożone mięso.

– Widzę! – Łukasz chlipnął z ogromną ulgą.

– Mało pomogły – skonstatował ze smuteczkiem Piotrek.

– No – zgodził się wodnik. – Wygląda jak miś panda, tylko mniej sympatycznie.

Łukasz poderwał się na nogi. Zakręciło mu się w głowie, więc z powrotem usiadł. Na czworakach dotarł do lustra. Z pierwszym spojrzeniem w taflę jego miłość własna została dotkliwie sponiewierana.

– Lewe załatwiła mi starowinka – powiedział ponuro, kiedy już ochłonał po pierwszym szoku. – A prawe?

– Żaby – poinformował flegmatycznie Ślipiak. – Nie spodobało im się, że tak mnie stratowaliście. Są bardzo zaborcze – westchnął.

– Nie przyszliśmy tu, żeby się mieszać w twoje życie prywatne – uciął Łukasz. – Gdzie Monika?

– Nie ma – oznajmił wodnik.

– A gdzie jest?



- Wyszła.
- Dokąd?
- Nie wiem.
- Ja ci... – Łukasz już rozczapierał palce, żeby rzucić się na Ślipiaka, ale powstrzymał go widok dwóch wyglądających z łazienki żab. Jedna miała na głowie perukę í la Uma w „Pulp Fiction”, a druga dzierżyła patelnię teflonową, lekko wgniecioną.
- Piotrek też zauważył żaby.
- Może powiesz po dobroci? – zaproponował smętnie.
- Po dobroci to mogę wam dać numer do... – wodnik wziął leżącą na stole karteczkę – Oli wampirzycy. Mówi wam to coś?
- Dawaj! – Łukasz wyrwał mu papierek i troskliwie schował do kieszeni. – I jeszcze powiedz, gdzie Monika, to sobie stąd pójdziemy.
- Nie wiem – powtórzył Ślipiak.
- Pewnie wiesz – westchnął smutno Piotrek.
- Wiem – skapitulował wodnik – ale nie powiem.
- Wciąż wyglądające z łazienki żaby zarechotały potępiająco.
- Co one mówią? – zapytał podejrzliwie Łukasz.
- Nie przejmujcie się – machnął ręką Ślipiak. – Od rana się mnie czepiają, że ten gość pewnie Monikę już dawno zakopał pod Kraśnikiem.
- Jaki gość? – Łukasz i Piotrek odezwali się wyjątkowo zgodnym chórem. W obu głosach dźwięczała też w równym stopniu nadzieja.
- Oj! – Wodnik ugryzł się w język. – Wypsnęło mi się.
- Mogłoby ci się wypsnąć więcej – zauważył Piotrek. – My tu sobie gadamy, a Monika leży już pewnie pół metra pod ziemią.
- Ślipiak spojrział na niego nieprzychylnie.
- To było zagranie poniżej pasa – stwierdził ponuro.
- Wszystkie chwytaki dozwolone – oznajmił twardo Łukasz. – Tu chodzi o honor Urzędu! Jako nasz pracownik powinienesz nam służyć wszelką możliwą pomocą.
- Były pracownik – sprostował wodnik.
- Były... – zająknął się Łukasz. – A odprawę dostałeś?

– Nie – odparł ostrożnie Ślipiak.

– A chcesz dostać?



Korytarz zdawał się nie mieć końca. Szli od dobrych kilkunastu minut i absolutnie nic się nie zmieniło. W świetle błędnych ogników wciąż widzieli takie same pokryte pleśnią ściany i to samo łukowate sklepienie.

– To nie ma sensu. – Michał zatrzymał się gwałtownie. – Mam wrażenie, że kręcimy się w kółko.

Monika zerknęła za siebie, właśnie minęli kolejny zakręt, może Michał miał rację.

– Co proponujesz? – zapytała ostrożnie.

– Rozejrzeć się dokładniej. – Podszedł do ściany. – Może coś przegapiliśmy? Jakiś znak albo co... Poświeć mi tutaj.

Rusałka posłusznie wysłała do niego ogniki. Przez chwilę uważnie badał ścianę, niemalże wodząc nosem po zapleśniałej powierzchni.

– I? – zapytała z nadzieją Monika.

– Nic tu nie widać. – Zerknął na nią przez ramię. Rusałka stała wciąż pośrodku korytarza, w obu dłoniach ściskając rączkę kanisterka. Wyglądała żałośnie. Nawet w słabym świetle Michał zauważył, że trzęsie jej się broda.

– Hej, nie martw się – pocieszył ją nieco bezradnie. – Pilnuj tamtej ściany, a ja pójdę przy tej, może jednak coś znajdziemy.

Skinęła w milczeniu głową i ruszyła do przodu ze wzrokiem wlepionym w pokryty liszajami kamień. Nie wiedziała, ile uszli kroków i ile czasu minęło, kiedy wstrętne plamy zaczęły niemal tańczyć jej przed oczyma. Nie zdążyła jednak poskarżyć się Michałowi.

– Coś tu jest! – zawołał uradowany, przykucając przy ścianie. Rusałka w mgnieniu oka znalazła się za jego plecami. Faktycznie, w jednym miejscu pleśń wybrzuszała się w regularny kształt. Pan Sprawiedliwość spojrzawszy wyczekująco na Monikę i dostrzegłszy błysk zdecydowania w jej oczach, odwrócił się do ściany. Z grymasem niejakiego obrzydzenia

położył dłoń na wybrzuszeniu i pchnął. Przeciągły zgrzyt wstrząsnął korytarzem i wrócił zwielokrotniony echem. Z powstałej nagle szczeliny wionęło zgnilizną. Niewielki przedmiot wytoczył się z czeluści i zatrzymał wprost pod nogami Moniki. Czaszka zdawała się łytać pustymi oczodołami i uśmiechać przy tym szyderczo. Rusałka pisnęła i odskoczyła, wpadając na przeciwległą ścianę.

Ogłuszający huk niemal pozbawił ich przytomności. Monika, zaciskając kurczowo powieki, poczuła jeszcze, jak grunt ucieka jej spod nóg.



– Zapal światło! – zażądał Michał szeptem.

– Co? – Monika niemrawo próbowała odgadnąć, gdzie się znaleźli. Z pewnością nie był to korytarz. Leżała płasko na czymś, co niby łóżko wodne kołysało się i falowało przy najmniejszej nawet próbie poruszenia się. Na piersi czuła ciężar kanisterka, na którego rączce wciąż zaciskała dłoń, zupełnie jakby była to ostania deska ratunku.

– Monika?! Co z tobą?! – dopytywał się Michał półgłosem. Rusałka westchnęła głęboko i zakołysała się od tego westchnienia.

– Chyba w porządku – odpowiedziała niepewnie.

– No to zapal wreszcie to światło! – zirytował się pan Sprawiedliwość.

Dopiero teraz Monika zwróciła uwagę na echo. Co najmniej niepokojące. Nie zwlekając ani chwili dłużej, wysłała w górę kilka błędnych ogników.

– O żesz... – przekleństwo zamarło Michałowi na wargach.

Grota była ogromna. Migotliwe światełko ogników nie wydobywało z mroku jej krańców, jedynie liczne załomy skał i sterzące niczym zębiska monstrualnego zwierzęcia stalagmity. Monika i Michał unosili się między nimi, zawieszeni gdzieś pomiędzy dnem a sklepieniem jaskini.

Już w chwili, gdy pan Sprawiedliwość usłyszał, jak rusałka gwałtownie nabiera powietrza, wiedział, że coś jest mocno nie tak. Trwali przyklejeni plecami do splotów gigantycznej pajęczyny, która właśnie

uginąła się pod ciężarem właściciela.

– Pająk! – krzyknął Michał.

I wtedy rozpętało się prawdziwe piekło.



Karmienie bajgłem ptaków okazało się wyzwaniem, z którym Piotrek nie umiał sobie poradzić. Przede wszystkim przerastał go dylemat, czy karmić kaczki, czy gołębie. Usiłował dzielić okruszki w miarę sprawiedliwie, ale nie bardzo mu to wychodziło. Kiedy przy trzecim z kolei bajglu do wygłodniałej czeredy dołączyły jeszcze wróble, musiał się poddać.

– Wycieczka do Krakowa fajna rzecz – powiedział, siadając na ławeczce obok Łukasza. – Ale albo idźmy zwiedzać Wawel, albo odbijać naszych.

– Zaraz, zaraz. – Warszawiak nie odrywał oczu od ekranu laptopa, na którym wyświetlała mu się właśnie zawartość dyskietki, przekazanej im przez Ślipiaka za marne sto tysięcy złotych odprawy (początkowo Łukasz proponował pięć, ale żaby okazały się twardymi negocjatorkami).

– Warte to jest przynajmniej tych pieniędzy i tego całego zamieszania? – zainteresował się Piotrek.

– To jest warte wszystkiego – zarechotał radośnie Łukasz. – To jest klucz do władzy nad światem!

– To dobrze, bo z tych stu tysięcy odprawy będziemy musieli się gęsto tłumaczyć. – Piotrek bezskutecznie próbował przepędzić gołębia, który uparcie usiłował konsumować jego nogawkę.

– Sto tysięcy! – prychnął pogardliwie Łukasz. – Co kogo obchodzi marne sto tysięcy?! Wiesz, ile forsy przyniosą te poprawki do przepisów? – Walnął pięścią w klawiaturę. – Miliony, co najmniej miliony, a może i miliardy!!!

– Miliardy? – Piotrkowi aż szczęka opadła ze zdumienia, co natychmiast wykorzystał gołąb, próbując wyrwać mu ząb.



Pan Sprawiedliwość niepewnie mrugał oczyma. Machał ręką, próbując rozpędzić dym snujący się z jego przypalonej odzieży. Niewiele to dawało. Popatrzył na Monikę zza siwiutkich smużek dymu i lepkich pasemek pajęczyny, którymi wciąż był oblepiony. W oczach malował mu się niemy wyrzut.

Owa milcząco wyrażona pretensja nawet do rusałki nie dotarła. Monika ze wstrętem strzepywała z siebie resztki pajęczej sieci, jednocześnie próbując znaleźć się jak najdalej od spadających kawałków. Czynność ta pochłaniała ją bez reszty.

– Nienawidzę pajaków! Nienawidzę robali! Nienawidzę wstrętnych insektów! Nienawidzę pajaków! – mamrotała pod nosem.

Michał nie zaprzeczał, mając świeżo w pamięci pokaz magicznych możliwości rusałki, wierzył bez zastrzeżeń w tę idiosynkrazję. Z westchnieniem rezygnacji przegarnął ręką włosy, usuwając z nich lepkie resztki pajęczyny przynajmniej na tyle, by nie zwisały mu przed nosem. Na kawałki sieci wiszące u rękawa na podobieństwo indiańskich frędzli nawet nie zwrócił uwagi. Przyklepał tylko dymiącą kieszeń i dopiero wtedy rozejrzał się wokół siebie. Nie krzyknął tylko dlatego, że po prostu z wrażenia odebrało mu głos. W spojrzeniu, jakim obrzucił rusałkę, był nie tylko podziw, ale i coś na kształt grozy.

Monika, strząsnąwszy z siebie ostatni strzępek pajęczyny, odzyskała zdolność kontaktu z otoczeniem. W tej samej chwili dotarło do niej, gdzie się znajdują. Poczwała, jak kolana się pod nią uginają. Z westchnieniem niebotycznej ulgi przysiadła na kanistrze z deszczówką.

– A mówiłaś, że nie możesz się teleportować, kiedy nie wiesz, gdzie jesteś. – W głosie Michała słychać było cień wyrzutu.

– Bo nie mogę – odpowiedziała słabo rusałka. – I to nie ja nas tutaj przeniosłam. Musiałam wyzwolić jakieś zaklęcie...

Pan Sprawiedliwość uważnie rozejrzał się po holu. Byli dokładnie w tym samym miejscu, w którym spadający kanister uruchomił pierwszą pułapkę. Z jedną różnicą, teraz wszystkie zaklęcia chroniące wejście

połyskiwały zielenią, rozbrojone i całkowicie niegroźne. Zupełnie jakby ktoś otworzył im drzwi.

– Te pułapki... – zaczął, marszcząc przy tym brwi. – One nie mogą być na magów, prawda? Zupełnie jakby pies nie chciał wpuścić do domu właściciela...

Monika uśmiechnęła się szeroko.

– Sądzisz, że jak użyłam magii, to anulowałam działanie pułapki? – zapytała, czując, że wracają jej siły. Michał skinął twierdząco głową.

– Tym lepiej dla nas – stwierdziła twardo rusałka, ujmując mocniej rączkę kanistra z deszczówką. – Nie zamierzam stąd wyjść bez Jensa!

Pan Sprawiedliwość tylko westchnął i podniósłszy swoją świeżo odzyskaną torbę, ruszył za Moniką. Z niepokojem pomyślał, że musiał uderzyć się w głowę mocniej, niż przypuszczał, bo w uszach dzwoniły mu tony „Lotu Walkirii”.

Na górę prowadziła wyjątkowo obskurna klatka schodowa, jako alternatywę mieli równie brudną i równie niebudzącą zaufania windę.

– Gdzie teraz? – zapytała Monika. – Do jakichś lochów? – zapytała z nerwowym wzdrygnięciem.

– Nie masz już dość? – Pan Sprawiedliwość skrzywił się z niesmakiem. – Lochów tu nie ma. To stary hotel. Twojego faceta trzymają pewnie na piętrze.

– To idziemy? – rusałka skierowała się ku schodom.

– Możemy – odparł pan Sprawiedliwość. – Ale pilnują go rycerze Okragłego Stołu. Na pewno masz na nich dobry sposób?

– Najlepszy – Monika mocniej ujęła kanister. Nareszcie będzie mogła wykorzystać jego zawartość tak, jak to sobie zaplanowała. Tę myśl powitała uśmiechem.

– Bo na wszelki wypadek wziąłem miotacz ognia. – Michał pochylił się nad torbą. – Żeby im stopić zbroje.

– Nie będzie potrzebny – powiedziała rusałka. – A bejsbola może masz? – zapytała, tknięta nagłą myślą.

Michał spojrział na nią z głębokim oburzeniem.

– Mam WSZYSTKO – oznajmił, ruszając przodem.



– Tam są. – Pan Sprawiedliwość zatrzymał się na drugim piętrze. – Pięciu. I co teraz?

Rusałka wyciągnęła z kieszeni spodni złożoną kartkę papieru. Po rozłożeniu kartka okazała się plakatem filmowym.

– Po co ci plakat? – zdumiał się Michał. Zaczynał się zastanawiać, czy mądrze zrobił, oddając inicjatywę rusałce. I to poważnie zastanawiać.

– Nie chodzi o plakat, ale o film.

– Przejmą się, że zrobili o nich film? To raczej nie w stylu rycerzy, zresztą o Okragłym Stole nakręcono masę bzdur.

– Ale ty jesteś niedomyślny – westchnęła Monika. Odkręciła kanister i wylała sobie deszczówkę na głowę.

Pana Sprawiedliwość zatkało. Przed nim stała Ginewra z plakatu, tak samo szczupła, wdzięczna i romantycznie blada.

– Nie rób takiej miny, tylko łap bejsbola – powiedziała królowa głosem Moniki. – Zaraz wyschnę i będzie po maskaradzie. – Wyjrzała zza rogu.

– Sir Galahadzie! – odezwała się słodkim głosem. Jeden z rycerzy obejrzał się.

– Sir Galahadzie, pozwól tu na chwilę!



– Królowo! – Lancelot padł przed Ginewrą na kolana, a jego błyszczące oczy załśniły jak stopione masło. Krótko trwał w stanie rozmarzenia, bo cios bejsbolem powalił go na ziemię.

– Dobrze, że to już ostatni – westchnęła Ginewra. Sukienka skapywała z niej, odsłaniając dzinsy.

– Dobry plan – stwierdził w zamyśleniu pan Sprawiedliwość, gdy rusałka przy pomocy ręcznika przywracała sobie dawną postać. – Tylko skąd wiedziałas, że wszyscy się na to nabiorą?

– Iluś facetów zakutyh w stal i jedna laska? To oczywiste, że wszyscy musieli na nią lecieć jak opętani. Jeden Lancelot zdobył się na działania aktywniejsze, przynajmniej według legendy.

– I tak ryzykowałeś. – Michał odłożył bejsbola i sięgnął po spawarkę. – Ginewra z filmu wcale nie musiała przypominać tej prawdziwej.

– Naprawdę myślisz, że po tysiącu lat z okładem oni jeszcze pamiętają, jak wyglądała ta prawdziwa? – Monika powstrzymała się, żeby nie popukać ostentacyjnie palcem w czoło.

– Pewnie nie – przyznał jej rację pan Sprawiedliwość, przyspawując ostatniego rycerza do kaloryfera. – Gotowe. Możemy iść po więźnia.

Podniósł głowę i aż się zachłysnął. Chyba jeszcze nigdy nie widział, by czyjeś oczy płonęły tak cudownym blaskiem.



– A ja myślałam, że gnijesz w zapyziałym lochu – zgłosiła pretensję Monika, kiedy już przekonała się namacalnie, że Jens jest cały i zdrowy.

– Niestety, wolnych lochów akurat nie mieli. – Niemiec cierpliwie czekał, aż pan Sprawiedliwość upora się z zakłębieniem łańcuchowym.

Hipotetyczny loch okazał się pokojem hotelowym o dość wysokim standardzie, jeśli wziąć pod uwagę kryteria stosowane w socjalistycznej Polsce lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Była nawet łazienka, wyłożona dość upiornymi musztardowymi kafelkami.

Podczas gdy Michał mocował się z magicznym łańcuchem, którym przykuto Jensa do ściany, rusałka zlustrowała pomieszczenie, po czym smętnie zapatrzyła się w okno przesłonięte od zewnątrz wielkim plakatem reklamowym.

– Teraz to się zaczynają schody – mruknęła. – „Ścigany” na żywo, tylko bez Harrisona Forda.

– To znaczy? – zaniepokoił się Jens.

– Będą nas oczywiście ścigać magowie i nie darują – wyjaśniła rusałka. – To raz. Dwa, na Urząd macierzysty nie mamy co liczyć, prędzej nas radośnie wydadzą Stowarzyszeniu, niż narażą własne kariery. Na jakiś



czas możemy się zamelinować na Mazurach, jest tam parę skupisk żywności, a potem to zostanie nam chyba tylko Ameryka Południowa, chociaż osobiście wolałabym Hawaje, ale tam nas chyba bez wizy nie wpuszczą.

– Możecie polecieć do Meksyku, a stamtąd kajaczką wzdłuż Zwrotnika Raka – zaproponował pan Sprawiedliwość. – Traficie w sam środek Hawajów. Mogę wam dać namiary na meksykańskiego producenta kajaków odrzutowych.

– Nigdy mi się nie podobało życie zbiega – zasepił się Jens. Miał zupełnie inne plany na najbliższą przyszłość i bynajmniej nie obejmowały ucieczek, za to spora ich część poświęcona była przebywaniu w jednym miejscu.

– Pociesz się, że będziesz je wiódł bez żab – podsunęła dość markotnie Monika. Ona też nie tak sobie wyobrażała zakończenie tej irytującej afery z księgą. – Nie pojedą do Ameryki Południowej, bo nie zechcą ryzykować, że Ślipiak poderwie sobie jakąś egzotyczną latawicę. *Rhacophorus Pardalis* na przykład.

– *Rhacophorus Pardalis* żyje na Borneo – poprawił ją odruchowo Michał.

– Możliwe – zgodziła się łatwo rusalka. Gatunek żabiej latawicy był jej najzupełniej obojętny. Miejsce zamieszkania też.

– Gotowe – stwierdził z odcieniem dumy pan Sprawiedliwość, gdy łańcuch rozpadł się na kawałki. – To chcecie namiary na te kajaki?

– A co chciałbyś w zamian? – zainteresował się Jens.

– Nic takiego. Powiedzmy, plan Urzędu ze wskazówkami, jak przejść przez zabezpieczenia, zaczynając od pani Alinki.

– Pani Halinki – poprawiła go odruchowo Monika.

Wyszli z pokoju, ominęli przyspawanych do kaloryfera rycerzy i weszli na klatkę schodową. Poborcy wymienili spojrzenia.

– Trochę głupio tak działać na szkodę Urzędu – stwierdził Jens, gdy schodzili na dół.

– Z drugiej strony, Urząd nie zawahałby się działać na naszą szkodę – zauważyła Monika.

– Brawo! – rozległ się radosny okrzyk. – To lubię: prawdziwie cyniczny duch Poborcy podatkowego. To jest ten *tax office spirit*, o którym nam chrzanili na szkoleniu motywacyjnym, w najczystszej postaci.

Przez ciemny hol maszerowali Łukasz i Piotrek. Ten pierwszy ścisnął laptop i promieniał radością życia, a drugi wyglądał jak ostatnie nieszczęście. Miał oberwaną nogawkę od spodni, poszarpany sweter i krawat w strzępkach. Do tego interesujący wzorek czerwonych śladów na twarzy i ramionach. Nieco nawet krwawił. Po raz pierwszy Poborcy pomyśleli, że bolesciwa mina Piotrka jest jak najbardziej na miejscu.

– Znowu osiągnąłeś nirwanę? – Jens obrzucił Łukasza niechętnym spojrzeniem.

– Po co mi nirwana, kiedy mam jasne i świetliste perspektywy awansu. – Łukasz zdawał się świecić własnym światłem adekwatnie do tych perspektyw.

– Wydarliście Ślipiakowi dyskietkę – domyśliła się Monika. – Ale z was świnię!

– Sam oddał – sprostował Piotrek. – Za drobną...

– Nieważne – uciął Łukasz. – Ważne, że wszystko wam wybaczymy.

– Niby co konkretnie? – zapytała podejrzliwie rusałka.

– Wszystko – zapewnił ją radośnie Łukasz. – Witajcie z powrotem w pracy i tak dalej. Każde ręce zdolne trzymać kryształ Poboru się przydadzą. Chyba że koniecznie wolicie się ukrywać.

– Nie wolimy – stwierdził stanowczo Jens, obejmując czule rusałkę.

– Kiedy szaleje bezrobocie, człowiek nie może tak po prostu rzucić pewnej i dobrze płatnej pracy – zawtórowała Monika, opierając mu głowę na ramieniu. – Nawet jeśli szefów należałoby wywiesić za okno nogami do góry.

– Więc chyba nie będziemy potrzebowali namiarów na... Gdzie on poszedł? – Jens rozejrzył się wokoło.

– Kto? – nie zrozumiał Łukasz.

– Pan Sprawiedliwość. Był tu przed chwilą. Nawet nie zdążyłem mu podziękować.

– Nie musisz dziękować – mruknęła Monika.

– No co tam szepczecie – zniecierpliwił się Łukasz. – Wynośmy się stąd, kochani. Podatki czekają.

– Na zewnątrz są jaskółki z ochrony – przypomniała mu rusałka. – I chyba nie lubią nie-magów.

– To była ochrona? – zdziwił się Łukasz.

– Teraz nam mówicie? – Piotrek niemrawo zgłosił pretensje. – A ja im chciałem dać bajgla. Tak mnie urządziły – smętnie spojrzął na resztki swojej odzieży.

– Nieważne – stwierdził ponownie Łukasz. – Wychodzimy.

– Że niby co?! – huknął ktoś i mroczny hol rozświetliło nagle z tysiąc małych płomyków.

W ich świetle widać było wyraźnie pięciu solidnie zbudowanych starców z białymi brodami, w długich, kolorowych, haftowanych szatach. Ten z przodu marszczył groźnie brwi.

– Wdarcie się do naszej siedziby, to raz. Zamach na nietykalność osobistą naszych ochroniarzy, to dwa – wyliczał dudniącym głosem. – Uwolnienie groźnego przestępcy, to trzy. Że już o zbrodniach wspomnianych w liście od szacownego obywatela nie wspomnę, to cztery.

– Należałoby zwiewać, ale nie ma gdzie – szepnęła Monika.

– Na dach i skaczemy – zaproponował Jens.

– Najlepiej do Wisły – dorzucił Piotrek.

Łukasz zignorował pospieszną naradę i dumnie wystąpił do przodu. Otworzył laptopa i zaprezentował pierwszemu magowi tekst wyświetlony na ekranie. Krzaczaste brwi tamtego zmarszczyły się bardziej i groźniej.

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdził ponuro. – Tu trzeba księgowego. Zawołajcie Zygmunta.

– Zygmun! – wrzasnął ktoś z tyłu.

Po chwili przyczłapał kolejny mag, wyglądający, tak jak pozostali, niczym klon świętego Mikołaja, tyle że wyposażony dodatkowo w okularki typu lennonki. Z uwagą przyjrzał się ekranowi laptopa.

– Oj, niedobrze – zasmucił się natychmiast. – Dowalą nam z grubej

rury.

Zmarszczone brwi pierwszego maga poderwały się w górę czoła w wyrazie zdziwienia.

– E, e! – Łukasz pogroził mu żartobliwie palcem, widząc pierwsze sploty zakłęcia. – Tekst poszedł już mailem do ministerstwa. Jak się dowiedzą, że nas zmiotliście z powierzchni ziemi, to nie tylko wam dołożą nowy Podatek, ale i Grzywnę zgodnie z szóstym Prawem Poboru. A wtedy już zupełnie leżycie martwym karaluszkiem.

Mag wydał z siebie pełne niezadowolenia burknięcie.

– Dobra, wynoście się stąd, ale już – wskazał na drzwi. – Ale on zostaje – zatrzymał Jensa. – Napad na maga to nie przelewki.

– Cóż, tru... – zaczął Łukasz, ale zaraz zmienił ton. – Trudno wierzyć insynuacjom zawartym w jakimś anonimie. Może wy zapomnicie o tym... incydencie, a my nie będziemy się czepiali zbytnio tego paragrafu o nieruchomościach, będących terenem praktyk magicznych. Tak na marginesie, niezły macie tu metraż... Gdyby go podliczyć...

– Nie, nie, nie! – Mag Zygmunt złapał się za głowę.

Pierwszy mag obrzucił swojego konfratru pełnym namysłu spojrzeniem.

– Idźcie sobie wszyscy – zgodził się niechętnie.

Poborcy pospiesznie skorzystali z pozwolenia. Zwolnili kroku dopiero, kiedy znaleźli się po drugiej stronie Wisły.

– A tobie co? – zapytał Łukasza Piotrek. – Nagle się zrobiłeś graczą zespołowy?

– Skąd! – Monika strzepnęła z warszawiaka resztki sieci. – Proste pomysły są zawsze najlepsze.

– Zero szacunku dla zwierzchników – zaperzył się uwolniony spod uroku Łukasz. – Gdybyś nie była zarejestrowanym magiem i gdyby zarejestrowani magowie nie byli w Urzędzie towarem deficytowym, to bym ci pokazał.

– Nic byś jej nie pokazał, bo w ogóle byśmy jej nie ruszyli na ratunek – stwierdził Piotrek.

– Mnie? – zdziwiła się rusalka.

– No przecież nie jemu! – prychnął Łukasz. – Takich Poborców mamy na pęczki i z reguły sprawiają mniej kłopotów.

Zignorował wrogie spojrzenie Jensa.

– Możemy wracać? – zainteresował się Piotrek. – Trochę mam podarte ubranie i ludzie się gapią.

Wycieczka japońskich turystów właśnie pstrykała mu zdjęcia.

– My jeszcze zostajemy – wtrąciła Monika. – Obiecałam, że kupię żabom miniaturkę smoka wawelskiego. Może nawet uda się zdobyć dla nich autograf.

– Smoka? – zdziwił się Jens. – Przecież...

– Wszystko ci opowiem – rusalka pociągnęła go pod Wawel.

– Możemy? – przypomniał znękany głosem Piotrek.

– Możemy, możemy – zgodził się Łukasz, znów promiennie radosny. Wyteleportowali się. Flesze aparatów japońskiej wycieczki zaczęły błyskać dwa razy intensywniej, utrwalając puste miejsce, w którym przed chwilą stali.

## Rozdział 12

**M**agik przestał chodzić w tę i z powrotem po gabinecie, zatrzymał się i rzucił gromiące spojrzenie podwładnym. Tylko Mały stał tak jak powinien, zgarbiony, z opuszczoną głową i wyrazem głębokiej skruchy na twarzy. Wampiry, owszem, kuliły się, ale nie z powodu gniewu Magika. Raczej ze względu na siedzącą na krześle Czarną Kasieńkę i jej papierosa.

– Nie jest dobrze – podsumował mafioso.

Wampiry w kącie jęknęły, Mały zrobił się jeszcze bardziej skruszony, Kasieńka zapaliła następnego papierosa.

Ktoś zapukał do drzwi i po chwili czterech osiłków wtaszczyło do gabinetu wielką drewnianą skrzynię. Załadowali do niej kwiczące wampiry jakby były elementem wyposażenia. Potem zajęli się zabijaniem wieka.

– Oni wracają do domu – oznajmił Magik. – Ich mocodawcy chcą z nimi porozmawiać... na temat efektywności, jeśli dobrze zrozumiałem. My też musimy się zbierać. Dostałem cynk z ministerstwa, że coś się ruszy w podatkach. Niekorzystnie!

Kasieńka oderwała spojrzenie od unoszącego się znad papierosa dymu.

– Myślałeś o Ameryce Południowej? Mają tam obiecujący przemysł filmowy. Na pewno dałoby się korzystnie zainwestować.



– Nie jest źle.

Łukasz zjawił się kilka dni później ogolony, w nowym garniturze, z

nowiutką teczką pod pachą i nową posadą naczelnika w przysłowiowej kieszeni.

– My nie zapominamy o naszych ludziach – oznajmił dumnie, kładąc na biurku Piotrka decyzję o dofinansowaniu. – Mamy dodatkowe fundusze. Tajne Służby Magiczne uległy restrukturyzacji *post factum*. Zmniejszyła im się liczba agentów.

– Ciekawe, dlaczego – mruknął ironicznie Jens.

– Nie mam pojęcia – Łukasz zareagował dość nerwowo. – Zresztą i skąd mam mieć, przecież nas tam wcale nie było!

Piotrek wyciągnął z szuflady dwie kulki *feng shui* i zaczął je powoli obracać w dłoni.

– Co się tak gagicie? – obruszył się. – Jakoś się muszę odstresować. I tak to całe dofinansowanie pójdzie na sanatoria dla grupy specjalnej.

– To już wszystko? – Monika odsunęła się od okna. – Bo za godzinę zaczyna się koncert.

– Koncert?

– Ślipiak doszedł do wniosku, że państwowa posada nie jest dla niego i założył zespół hiphopowy. Żaby robią mu chórki – wyjaśnił Jens.

– Naprawdę dobrze grają – dodała rusalka. – I odpalają mi procent za robienie korowodów na koncertach. Wybierzesz się z nami?

– Nie mogę – zaprotestował gwałtownie Łukasz. – Muszę wypełnić papierki, zrobić zakupy, odwiedzić dziadka...

– A dzwoniłeś do Oli? – przypomniała sobie Monika. – Wiem, że to nie moja sprawa, ale jestem z natury ciekawska, no i bardzo lubię *happy endy*. Moglibyście pójść z nami na koncert, Olka z reguły chadza tylko do filharmonii.

– Trochę to nielogiczne – zauważył Jens. – Hiphopowcy są lepiej ukrwieni od melomanów klasycznych.

Łukasz chrząknął nerwowo.

– Ktoś na moim stanowisku... ehm... ehmm... randka z wampirem... – Przeszłoby przez chwilę nerwowo z nogi na nogę. – Mam dużo pracy, muszę wracać do Warszawy... Tylko jeszcze to. – Położył na decyzji o dofinansowaniu gruby wolumin. – Interpretacja nowych przepisów

podatkowych.

Monika obejrzała uważnie tomiszczce.

– Książka, którą znaleźliśmy, była cztery razy chudsza – zauważyła. – A tłumaczenie miało może ze dwieście tysięcy znaków.

– Bo to była zaledwie podstawa prawno-teoretyczna. A to – Łukasz walnął pięścią w twarde okładki – jest to, czym załatamy naszą dziurę budżetową. Tak na marginesie, może nie dowalimy magom Podatku od nieruchomości będących terenem praktyk magicznych, ale to nie wyczerpuje możliwości. Mamy przecież Podatek od zwierząt wykorzystywanych w celach magicznych, wynajmu powierzchni pod cele reklamowe i produkcji kartek okolicznościowych. Nazbiera się niezła sumka. A jak już prześlemy im wezwanie do zapłaty, to załatwię wam przeniesienie do Krakowa. – Uśmiechnął się złośliwie. – W końcu ktoś musi od brodatych ten podatek odebrać, a wy macie już pewne doświadczenie. – Wyteleportował się, nie czekając na odpowiedź.

– Co o tym myślisz? – zapytał Jens, kiedy wyszli z gabinetu Piotrka.

– Na razie do pracy. – Monika kartkowała interpretację przepisów. – A jak się Łukasz nie odczepi... Zawsze możemy być winni Michałowi jeszcze jedną przysługę.

– Zajmuje się usuwaniem irytujących zwierchników?

– Zawsze możemy mu podsunąć myśl o rozszerzeniu działalności.



Był piękny słoneczny poranek. Maciej Pokaczek, znachor spod Lublina, szczęśliwy posiadacz leczącego mrugnięcia, przeciągnął się i z optymizmem spojrzął na drewniany sufit swojego autentycznie zabytkowego domku. Chwilę później rozległo się walenie w drzwi, które zmusiło go do opuszczenia łoża z baldachimem, przyodziania atłasowego szlafroka w kolorze złoto-błękitnym i wyjścia na ganek.

Przed domem stali kobieta i mężczyzna, oboje w dżinsach, czarnych marynarkach i okularach przeciwsłonecznych. Jego okulary były czarne, jej różowe. I jeszcze miała kwiatek we włosach.



– Maciej Pokaczek? – zapytał mężczyzna, spoglądając na niego nad krawędzią ciemnych szkieł.

Znachor kiwnął głową.

– Przyszliśmy po Podatek. Ten DRUGI Podatek – dodał Poborca, mocno akcentując słowa.

Oparta o zabytkowy filar dziewczyna uśmiechnęła się uroczo.

– Według nowej taryfy – uzupełniła.

Wyciągnęła z kieszeni plik pergaminów, pokrytych starannym pismem, informującym o nowych przepisach, dopłatach, możliwości odwoływania się itd. Do ostatniej kartki ktoś przyczepił zszywką małą karteczkę z wydrukiem z komputera. Małymi literkami napisano na niej: KWOTA DO ZAPŁATY. Znachor przeczytał tę kwotę.

I wtedy, po raz pierwszy w życiu, Maciej Pokaczek zemdleł.

**Koniec**

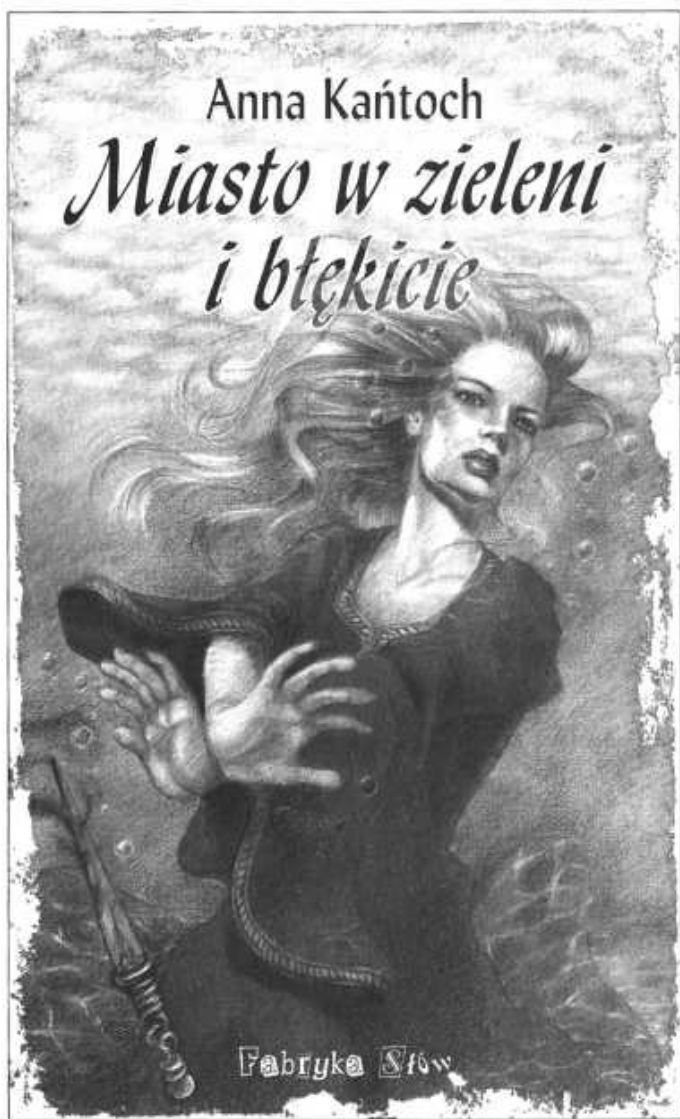
W serii „Kuznia Fantastów” ukazało się:

1. **Anna Kańtoch** *Miasto w zieleni i błękicie*
2. **Dariusz Spychalski** *Krzyżacki poker tom 1*
3. **Szczepan Twardoch** *Oblęd rotmistrza von Egern*
4. **Marcin Wroński** *Tfu, pluje Chlu! czyli Opowieści z Pobrzeża*
5. **Milena Wójtowicz** *Podatek*

W serii ukaze się:

1. **Dariusz Spychalski** *Krzyżacki poker tom 2*
2. **Mieszko Zagańczyk** *Allah 2.0*
3. **Jakub Ćwiek** *Kłamca*

Fabryka Słów poleca



Dariusz Spychalski

# Krzyżacki poker

tom I

Rauchen verboten!



Szczepan Twardoch

Obłąd  
rotmistrza  
von Egern

